

# KOBIETY NIE TYLKO O KOBIETACH

Dzikowska, Frej, Kobiela, Łepkowska, Łętowska, Rydzewska

nr 1 (24), 2018

KWARTALNIK

# Teraz Polska

KREATYWNA POLSKA / NOWOCZESNY BIZNES / ZRÓWNOWAŻONY ROZWÓJ / EDUKACJA



TERAZ POLSKA



ISSN 2299-1395

-DLA MNIE  
MOMENT  
PRZEŁOMOWY  
BYŁ WTEDY,  
KIEDY  
ZROZUMIAŁAM,  
ŻE NIE  
MUSZĘ  
BYĆ  
MIŁĄ  
DZIEWCZYNĄ  
...



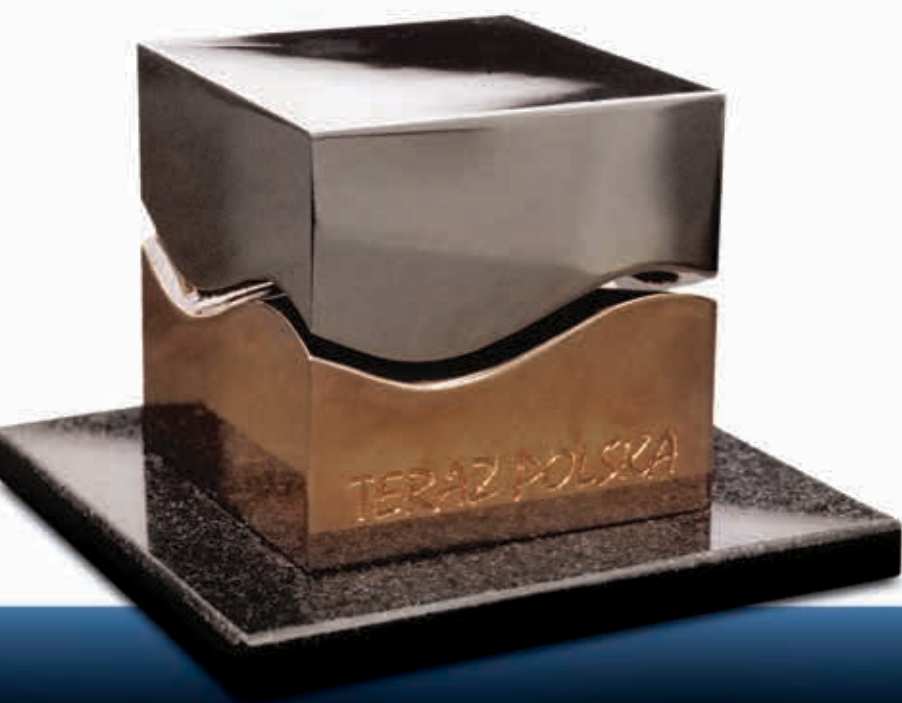
MARTA FREJ

# Teraz Polska

Promujemy  
polskie  
marki



TERAZ POLSKA







## O zasadach świętowania słów kilka

Człowiek, jak twierdzą psychologowie, jest istotą społeczną. Żyje wśród innych, nawiązuje relacje, tworzy zbiorowości. A rozmawiając się w owych zbiorowościach te relacje układają. I znów odwołajmy się do psychologów. Twierdzą oni, że ogromna większość z nas nie jest raz na zawsze zła czy dobra. Przecież oddziałuje na nas kontekst, reagujemy pod wpływem emocji, dokonujemy wyborów, odwołując się do naszej ograniczonej wiedzy o świecie. Bynajmniej nie zwalnia nas to z powinności moralnych, ale każe się zawahać przed nadmiernym moralizowaniem.

Polska sto lat temu odzyskała niepodległość. Rocznicą wielu osobom daje asumpt do rozmaitych przemyśleń krytycznych, często ważkich. Czy jednak warto dawać im upust z okazji wielkiego święta? Miewamy nieraz problem ze zdefiniowaniem naszej relacji z Polską. Wyobraźmy sobie więc, że jest naszym stuletnim wujkiem. Albo lepiej – ciocią. Wybieramy się do owej cioci na okrągłe, setne urodziny. W dniu wielkiego przyjęcia obowiązują pewne zasady. Ubieramy się wytwornie i udajemy na uroczystość. Po przybyciu zachowujemy się odpowiednio do wieku szacownej damy. Nie roztrząsamy, ile faktycznie lat ma jubilatka (czy sto, czy aby nie mniej). Nadto nie wyrzucamy

kuzynkom i szwagrom, że lepiej się im powiodło, bo mieli bardziej operatywnych rodziców. Nie sugerujemy wujkom, że poziom ich świadomości politycznej jest adekwatny do miejsca płazów bezogonowych na drabinie ewolucji. Na takim przyjęciu, co naturalne, niektórzy dobrze się bawią, inni zaś jedynie dbają o konwenanse. Wszyscy jednak powinni trzymać fason. Jeśli nie ze względu na uczucia żywione do naszej wspólnej cioci, to przynajmniej na szacunek, wynikający choćby z jej wieku. I podobnie powinniśmy zachowywać się z okazji wspomnianej wcześniej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. Jesteśmy rodziną, bo mamy wspólny język i kawałek świata, wspólnych przodków i tradycje. Nie musimy się wszyscy lubić, możemy się różnić, nieraz bardzo, ale spotkajmy się na tych urodzinach. I bawmy się, podobnie jak u naszej wiekowej damy, jeśli nie dobrze, to przynajmniej kulturalnie.

Nasz kolejny magazyn ukazuje się w przeddzień Dnia Kobiet. Z pełnym przekonaniem i radością poświęcamy im nasze łamy, bo uważamy, że rolą mass mediów jest dbanie, by ich głos w dyskursie publicznym miał właściwą i należną wagę. Magazyn „Teraz Polska” pokazuje, że jest to możliwe! Zapraszamy do lektury.

*Krzysztof Przybył*

*Redaktor naczelny  
Prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego  
„Teraz Polska”*

## Temat numeru

- 6 **W polskim kotle różni szatani mieszają.** O złych ustawach, aberracji trójpodziału władzy i o tym, dlaczego zgasł zapal protestujących w obronie konstytucji, z prof. **Ewą Łętowską** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 13 **W zdrowym ciele zdrowe jelita.** O tajemniczym mikrobiomie, dietach i chorobach przewodu pokarmowego z prof. **Grażyną Rydzewską** rozmawiają *Kamil Broszko* i *Marzena Tataj*.
- 17 **Nie ruszam z posad bryły świata.** O krytyce politycznej, hipokryzji środowisk twórczych i nieroztropnych celebrytach z **Iloną Łepkowską** rozmawia *Kamil Broszko*.

## Gospodarka

- 21 **Europa ma problem z podejmowaniem ryzyka.** O miejscu Polski na innowacyjnej mapie świata, kobietach w gospodarce i o przyszłości Europy z **Darią Tataj** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 26 **Piękno i brzydota cywilizacji cyfrowej.** *Elżbieta Mączyńska*
- 28 Czy (polska) jakość jest w cenie? *Jarosław Górski*

## Polacy

- 32 **Nasz Vincent.** O niezwykłym XIX-wiecznym artyście i niezwykłym współczesnym dokonaniu artystycznym z **Dorotą Kobiela** rozmawia *„Teraz Polska”*.
- 36 **Moja sztuka służy poprawianiu świata.** O inspiracji, reakcji społecznej i warsztacie twórczym z **Martą Frej** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 40 **Paderewski superstar.** O wielkiej sławie wybitnego wirtuoza i polityka z **Magdaleną Pinker** rozmawia *Kamil Broszko*.

## Idee

- 45 **Opowiadanie o historii piękniejsze niż ona sama.** Z prof. **Jerzym Bralczykiem**, prof. **Michałem Kleiberem** i **Bogdanem Szymanikiem** rozmawia *Michał Ogórek*.
- 48 **Moje zadanie to słuchać, nie tylko słyszeć.** O tworzeniu reportażu, tropieniu szczegółów i niezwykłych kobietach z **Angeliką Kuźniak** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 53 **Innowacyjne miasta.** Debata Fundacji „Teraz Polska”. **Agata Dąmbska**, **Maciej Fijałkowski**, **Radosław Ratajczak**, dr hab. **Mariusz E. Sokołowicz**, **Paulina Wilk**, dr **Jarosław Górski**

## Regiony

- 58 **Przerzuciłam się na groch i kapustę.** O walorach Polski, podróżach dalekich i bliższych oraz o Tonym Haliku z **Elżbietą Dzikowską** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 62 **Design w muzeum.** Galeria Wzornictwa Polskiego w Muzeum Narodowym w Warszawie, czyli pasjonująca podróż przez kolejne epoki polskiego projektowania.
- 65 Muzeum Polskiej Piosenki w Opolu zaprasza.

## Felieton

- 68 **Po drugiej stronie lustra.** *Małgorzata Bonikowska*



MAGAZYN  
FUNDACJI  
POLSKIEGO GODŁA  
PROMOCYJNEGO

[www.terazpolska.pl](http://www.terazpolska.pl)

### Magazyn TERAZ POLSKA

**Redaktor naczelny:**  
Krzysztof Przybył  
**Redaktor prowadzący:**  
Marzena Tataj  
**Redakcja:**  
Kamil Broszko,  
Anna Siedlińska  
**Projekt okładki:**  
Marta Frej

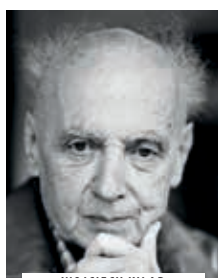
**Adres redakcji:**  
ul. Górskiego 1,  
00-033 Warszawa  
tel. 22 201 26 90  
e-mail:  
[m.tataj@terazpolska.pl](mailto:m.tataj@terazpolska.pl)  
[www.terazpolska.pl](http://www.terazpolska.pl)

**Wydawca:**  
Fundacja Best Place  
– Europejski Instytut  
Marketingu Miejsc  
na zlecenie  
Fundacji Polskiego  
Godła Promocyjnego  
„Teraz Polska”  
[www.bestplaceinstitute.org](http://www.bestplaceinstitute.org)

**Projekt graficzny  
i skład:**  
Tamburyn, [www.tamburyn.eu](http://www.tamburyn.eu)

**Korekta:**  
Justyna Kwaśniok

**Druk:**  
Miller Druk Sp. z o.o.  
[www.m-druk.pl](http://www.m-druk.pl)



WOJCIECH KILAR



HILARY KOPROWSKI



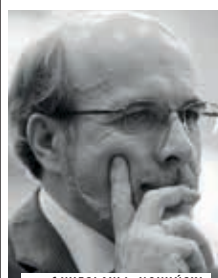
prof. MARIA SIEMIONOW



prof. JACEK JASSEM



ADAM MAŁYSZ



prof. WIESŁAW L. NOWIŃSKI



prof. HENRYK SKARŻYŃSKI



RAFAŁ OLBIŃSKI



KRZYSZTOF PENDERECKI



dr JANUSZ LEWANDOWSKI



prof. MAREK BELKA



ANDRZEJ WAJDA



dr JAN KULCZYK

# Konkurs Wybitny Polak

[www.wybitnypolak.pl](http://www.wybitnypolak.pl)



ZYGMUNT SOLORZ-ŻAK



WALDEMAR DĄBROWSKI



prof. KRZYSZTOF MATYJASZEWICZ



ELŻBIETA WYSZCZAŃSKA



dr IRENA ERIS



JAN A.P. KACZMAREK



KRZYSZTOF PASTOR





O złych ustawach,  
aberracji trójpodziału  
władzy i o tym,  
dlaczego zgwałcił  
zapał protestujących  
w obronie konstytucji,  
z prof. **Ewą Łętowską**  
rozmawia  
Kamil Broszko.

Portret  
prof. Ewy Łętowskiej  
wykonany przez  
artystę malarza  
Andrzeja Okińczycza

# W polskim kotle różni szatani mieszają

**Kamil Broszko:** Jaka była pani pierwsza myśl, kiedy wybuchła afera w związku z niedawną nowelizacją ustawy o IPN?

**Ewa Łętowska:** Historia się powtarza, wraca w karykaturze albo w spotwornieniu. Mówię o dekrete z 31 sierpnia 1944 r., który dotyczył odpowiedzialności za faszyzację kraju i pomoc zbrodniarzom nazistowskim. Ten dekret, tzw. sierpniówka, zyskał złą sławę jako narzędzie do walki z podziemiem niepodległościowym, ale w zamierzeniu dotyczył karania kolaborantów, szmalcowników i granatowej policji za pomaganie nazistom. Dlaczego chcemy równać do ustaw, które powstawały w najgorszym okresie panowania ustroju komunistycznego? I decydujemy się na wielką awanturę, która się rozpętała z powodu nieudolności w stanowieniu prawa.

**KB:** Można powiedzieć, parafrazując łacińską paremię: surowa ustawa, lecz tylko ustawa. W prawie liczy się przecież nie tylko litera, ale też to, jak będzie ono interpretowane i wykonywane.

**EŁ:** Gros protestów przeciwko temu prawu wynika z doświadczenia. Naszym przekleństwem jest, że ilekroć się uchwali jakieś prawo, ono zawsze przyniesie najgorsze spośród możliwych złych konsekwencji. Bo każda zmiana prawa ma swoje negatywne następstwa, jednak jego twórcy bezpodstawnie uważają, że ich unikną. Tymczasem jeżeli jest możliwość, że w wyniku uchwalenia ustawy stanie się coś złego, to u nas na pewno do tego dojdzie. Wcale się nie dziwię, że na całym świecie pomysł luźnego i pozbawionego wyraźnych konturów karania w obronie dobrego imienia Polski wzbudza kontrowersje. Wyobraźmy sobie zatem, jak to będzie. Gdzieś – w kraju lub za granicą – odbędzie się dyskusja na temat szmalcownictwa. Ktoś opowie o doświadczeniach własnych bądź swojej rodziny. Opowieść będzie zdeterminowana subiektywną oceną okoliczności, a nie statystyczną prawidłowością. W takiej sytuacji nasz prokurator – reprezentujący pewien poziom zawodowej mądrości, świadomości, ale też i oportunistu – zdecyduje, czy dany casus trafi do sądu, czy też nie. Sprawę będzie dalej badał sąd. Przepis nie dotyczy działalności naukowej i artystycznej. Ale gdzie się kończy nauka, a gdzie zaczyna popularyzacja? Gdzie leży granica między sztuką a dziennikarstwem? Dla jednych Jan Tomasz Gross jest naukowcem, a dla innych nie. Kto w krytycznym momencie rozstrzygnie taki dylemat? I na jakim poziomie rozpoznania raz wszczętej sprawy?

**KB:** Sztuka jest chyba wtedy, gdy jest wystarczający poziom artyzmu...

**EŁ:** Sztuka z natury rzeczy niesie za sobą ładunek społeczny. Coś, co dla jednych jest katharsis, dla innych jest obrazą świętości, bo wkracza w uznany kanon. Patrząc na sprawę nowelizacji ustawy o IPN ze zdziwieniem. Niestety, po raz kolejny wychodzi brak doświadczenia. Wyręb drzew, ograniczenia sprzedaży gruntów, reperkusje zakazu handlu w niedzielę... Co nowe prawo, to trzeba je natychmiast nowelizować i poprawiać. Jednym z priorytetów

gospodarczych rządu jest walka z niszczeniem środowiska i elektryfikacja przemysłu motoryzacyjnego. To właściwa strategia – nic dodać, nic ująć. Tyle tylko, że inwestycje wymagają nakładów. Zaś wszystkie czyste źródła energii stają się rentowne po dłuższym czasie. Liczono, że nasz flagowy projekt dotyczący aut elektrycznych zostanie sfinansowany przez organizacje międzynarodowe, wyspecjalizowane w tej branży. Jednak właśnie się okazało, że to dokładnie te same organizacje, które zainwestowały w 2013 r. w polskie farmy wiatrowe. Musiały się z owych inwestycji wycofać i ponieść straty, kiedy rząd uchwalił ustawy zmieniające uwarunkowania rentowności tych farm. Być może strategia rządu była uzasadniona, ale wykonano ją źle. Nic dziwnego, że teraz nikt o zdrowych zmysłach nie zainwestuje ani grosza w biznes, którego warunki państwo może zmieniać w dowolny sposób. To już było. W pamiętnikach przedwojennego prezesa Sądu Najwyższego, Aleksandra Mogilnickiego, jest opisane fiasko skomplikowanych rozmów z Belgami, którzy mieli udzielić Polsce pożyczki. Wszystko było dopięte na ostatni guzik, dyskutowano o zabezpieczeniach. Polacy obiecywali hipoteki na nieruchomościach państwowych. Tyle że chcieli jednocześnie w drodze ustawy zapewnić tym hipotekom pierwszeństwo, ze szkodą dotychczasowych wierzycieli. Gdy Belgowie się o tym dowiedzieli, zerwali rokowania. Oslupiałym Polakom powiedzieli, że nie chcą zabezpieczeń od kogoś, kto jest gotów ustawą redukować swoje zobowiązania, bo sami mogą zostać podobnie potraktowani przy następnej okazji. Sprawa farm wiatrowych to wynik podobnego myślenia. Tak jak nieszczęsna nowela do ustawy o IPN. Zabrakło przewidywania i konsultacji. Jeżeli się uważa, że prace przygotowawcze nad projektowaną ustawą muszą obejmować jakiś rodzaj konsultacji, to nie chodzi o to, że zgadzamy się automatycznie na negocjowanie treści naszego prawa z podmiotem obcym. To zwykła ostrożność biznesowa, która nakazuje niepodejmowanie ryzykownych operacji. Taką ryzykowną operacją okazała się też tzw. duża ustawa repriwatyzacyjna. Czytałam projekt. Przyjęłabym każdy zakład, że to byłaby kolejna straszliwa katastrofa. Bo musi być. Znowo założenia są niegłupie, argument podawany przez twórców, że w innych miejscach na świecie również obowiązuje podobna ustawa, także jest aktualny. Jednak przygotowanie tamtych aktów prawnych inaczej wyglądało, były tworzone w innych warunkach, w innym kontekście. I o tym trzeba wiedzieć. Niektórych wpadek można unikać, wystarczy się zastanowić albo zainteresować istniejącymi opracowaniami eksperckimi. Ale niestety nikt nie jest zainteresowany.

**KB:** Skłonność do amatorszczyzny, pracy po łebkach to nie jest przywara wyłącznie obecnej władzy. Podobne tropy można odnaleźć w całej historii polskiej transformacji.

**EŁ:** Byliśmy nieporządnymi nie tylko w okresie transformacji. Działanie na zasadzie „jakoś to będzie” uprawiamy od dawna. Nie ma u nas zamiłowania do porządnego, wdrożeniowego realizowa-



nia projektów. Dowcip z czasów socjalizmu głosił, że Polska była najweselszym barakiem w obozie socjalistycznym, bo u nas nie brano niczego na poważnie. Jeśli chodzi o okres wcześniejszy, może ograniczę się do przytoczenia historycznego przysłowia: Rzeczpospolita nierządem stoi. Na ten nasz „nieporządną gen” nakładają się coraz bardziej skomplikowana rzeczywistość i system prawny. Dzisiejsza multcentryczność prawa, czyli równoległe obowiązywanie wielu standardów prawnych, nakłada na nas konieczność wykonania swoistego slalomu między gęsto usianymi słupkami. Rządzący do owego slalomu przystępują, nie wiedząc, ile jest słupków i gdzie się one znajdują. Startujemy i wychodzimy z założenia, że później się zobaczy. Przychodzi marszałek Senatu i mówi: zbierzemy się i rząd wyjaśni, jakie są cele i założenia ustawy, może nawet przeprowadzimy dyskusję, ale najpierw ustawę uchwalimy. To już nawet nie jest amatorszczyzna, tylko kpiny ze zdrowego rozsądku.

**KB:** Partia rządząca – co oczywiste – zagłosowała za nowelizacją ustawy o IPN, natomiast jedynie pięciu posłów opozycji było przeciwko. Może to wynika z konstatacji, że społeczeństwo w większości opowiedziało się za argumentacją władzy, iż jakoś tego polskiego imienia należy bronić. Tylko jak? Czy mogłaby się pani wcielić w rolę legislatora i powiedzieć, jak zrobić dobrą ustawę? A może nowa ustawa jest niepotrzebna i można dobrego imienia bronić w oparciu o wcześniejszy system prawny?

**EŁ:** Nie zajmowałam się tymi kwestiami od strony legislacji, więc trudno mi o jednoznaczne stanowisko. Co kalkulowała opozycja? Nie wiem. W tego typu sprawach lepiej niż specjalne, nowe akty prawne sprawdza się zwykła konsekwencja w przestrzeganiu tego, co już jest. Wcześniej też niektóre osoby dotyczyło kłamstwo na temat obozów. W takim przypadku najlepiej sprawdza się konsekwentne i beznamienne dążenie do sprostowania. Zaręczam, że efekt byłby lepszy. Emocje szkodzą. Jesteśmy od razu skłonni drzeć szaty i kłaść się Rejtanem. Tak już jest, że w dzisiejszych czasach ktoś nieraz skrzywdzi nasze słońeczko. Żalimy się, że nasze słońeczko krzywdzi się bardziej niż przykładowo słońeczko niemieckie, ale to nic niezwykłego – wszak jesteśmy cokolwiek mniejsi. Natomiast mniejszy może poprzez roztropne działanie i spryt skutecznie wyłożyć swoje racje. My zaś wrzeszczymy. To teatralizacja prawa, według której nie stanowi się go, aby wywołać efekty, tylko po to, żeby zrobić spektakl. Wiadomo, że czasem robi się taki teatr legislacyjny w okresie przedwyborczym. Mogę też uwierzyć w to, co podnoszono w polskich dyskusjach na temat nowelizacji ustawy o IPN, mianowicie, że reakcja Izraela jest elementem jego własnej walki przedwyborczej. Ale skoro tak, to powinniśmy o tym wiedzieć i nie zabawiać się prawem w przeddzień wyborów w Izraelu. Trzeba myśleć. I umieć pisać ustawy w precyzyjny sposób. Tu tego ewidentnie brak: deklaracja intencji nie odpowiada temu, co napisano. To otwiera drogę do ekscesu. Prokurator i ewentualnie

**Ewa Łętowska** (ur. 1940 r. w Warszawie)  
– profesor nauk prawnych, specjalistka w zakresie prawa cywilnego. Od 1985 r. profesor w Instytucie Nauk Prawnych Polskiej Akademii Nauk, od 1997 r. członek rzeczywisty PAN, od 1996 r. członek korespondent Polskiej Akademii Umiejętności. Pierwszy rzecznik praw obywatelskich w Polsce (1987–1992), sędzia Naczelnego Sądu Administracyjnego (1999–2002) i Trybunału Konstytucyjnego (od 2002 r. do czasu przejścia w 2011 r. w stan spoczynku). Należy do komitetu redakcyjnego miesięcznika „Państwo i Prawo”. W 1996 r. odznaczona przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. W 2011 r. prezydent Bronisław Komorowski nadał jej Krzyż Komandorski z Gwiazdą tego orderu. W 1995 r. nagrodzona przez Fundację Friedricha Eberta z Bonn za działalność w zakresie ochrony praw człowieka i umacnianie zasad państwa prawa. W 2000 r. uhonorowana medalem Zasłużony dla Tolerancji, przyznawanym przez Fundację Ekumeniczną „Tolerancja”. Otrzymała doktoraty honoris causa Uniwersytetu Gdańskiego (2008 r.), Akademii Pedagogiki Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej (2012 r.) i Uniwersytetu Warszawskiego. Została wyróżniona tytułem Kobiety Roku przez miesięcznik „Twój Styl”. W 2011 r. władze Polskiego Czerwonego Krzyża przyznały jej Odznakę Honorową PCK I stopnia. W 2013 r. została laureatką Nagrody za Odważne Myślenie, przyznawanej przez Konfederację Lewiatan i Fundację na Rzecz Myślenia im. Barbary Skargi.

sprawdzający go sąd będą musieli się zastanawiać nad różnicą między opracowaniem naukowym i popularyzatorskim, a od ich wniosków będzie zależało wdrożenie ścigania.

**KB:** Czy dziś w Polsce – z kronikarskiego obowiązku muszę odnotować, że rozmowa odbywa się w lutym 2018 r. – zasada trójpodziału władzy jest zachowana?

**EŁ:** W tej chwili nie. Miałam duży kłopot w rozmowach prowadzonych w ciągu ostatnich dwóch lat, bo dziennikarze mają skłonność do poszukiwania wyraźnych cezur czasowych. A u nas występuje zjawisko o charakterze ciągłym, polegające na wygaszaniu państwa prawa, którego jednym z komponentów jest trójpodział władzy. Wyraźniejszą cezurą było ubezwłasnowolnienie rok temu Trybunału Konstytucyjnego. Wtedy – wraz z przystąpieniem do orzekania na mocy ustawy wymuszającej wprowadzenie do orzekania sędziów, co do których istniały wątpliwości, czy ich prawidłowo wybrano – nastąpiła jakościowa zmiana. Jeżeli w tej chwili Trybunał zreduko-







Prof. Ewa Łętowska w swoim mieszkaniu

© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

wał swoją aktywność o niemal połowę w stosunku do roku 2015, wynika to z faktu, że nastąpiło nie tylko ewidentne spowolnienie jego pracy, ale i utrata zaufania do tego organu, co powoduje ograniczenie wpływu wniosków, pytań i skarg. Trybunał z założenia czyni szkody w systemie prawa, ale taka jego rola. On w założeniu ma powstrzymać ustawodawcę przed szaleństwem. Obecnie przestał powstrzymywać i mechanizm kontroli poprzez trójpodział władz jest dysfunkcyjny. Weźmy sprawę zgromadzeń cyklicznych. W moim przekonaniu – mówię to oczywiście jako osoba prywatna, niemająca kompetencji do orzekania, ale mająca kompetencje naukowe – ustawa jest niezgodna z konstytucją, stwarzając z góry przywilej na rzecz wybranych organizacji czy typów zgromadzeń. Trybunał nie dopatrzył się niekonstytucyjności ustawy o zgromadzeniach i w tym przypadku odegrał rolę legitymizującą wobec polityki establishmentu. W tej chwili zawisła w Trybunale sprawa wniesiona przez grupę posłów, która polega na zakwestionowaniu jednego z przepisów ustawy o przerywaniu ciąży. Tego, który mówi o możliwości przerwa-

nia ciąży, kiedy wiadomo, że dziecko jest obciążone poważną wadą rozwojową. Zwolennicy wyeliminowania tego przepisu mówią, że tu chodzi o ochronę dzieci z zespołem Downa. Po co posłowie rządzącej partii wnoszą sprawę do Trybunału przeciwko obowiązującej ustawie, a właściwie jej fragmentowi? Po to, aby od Trybunału uzyskać orzeczenie stwierdzające niekonstytucyjność tego fragmentu ustawy, czyli podjąć działanie przeciwko obecnej ustawie czy też przeciwko kierunkowi ideologicznemu, który nakazuje przychylnie patrzeć na postawę *pro-choice*. To pomysł mający źródło w parlamencie, ale ze względu na opór społeczny zmianę wykonuje się cudzymi rękami. Zaskarżenie do Trybunału nie pełni roli oczyszczania bieżącej produkcji legislacyjnej z aktów, które parlamentowi się nie udały, tylko służy do forsowania polityki legislacyjnej zabarwionej ideowo. Przy czym idzie o to, żeby się nie ubrudził sam parlament. Skoro w takim kierunku wyewoluowała pozycja Trybunału Konstytucyjnego, to znaczy, że pełni rolę inną niż ta, którą pełnił czy miał pełnić dawniej.

**KB:** Dawniej zapewne niewiele osób, nawet wykształconych i światłych, umiałoby określić zadania i kompetencje Trybunału Konstytucyjnego. Jaka jest najbardziej podstawowa idea jego obecności w naszej rzeczywistości prawnej?

**EŁ:** Podział władz w polskiej konstytucji jest ukształtowany według modelu amerykańskiego, czyli mechanizmów kontroli i równowagi (ang. *checks and balance*). To znaczy, że każda władza kontroluje każdą i żadna nie ma wobec innych nadrzędności prawnej. Jeżeli pan sobie wyobrazi trójkąt, który ma pewien obwód, to każda z władz zajmuje miejsce przy boku tego trójkąta. Ten trójkąt ma niezmiennie kąty. Jak się pociągnie za jeden „ogonek”, np. egzekutywę, wówczas zmniejszy się bok przypisany judykaturze. I z takim procesem mamy teraz do czynienia. Służyły mu zabiegi prawne związane ze zmianą zasad składu Krajowej Rady Sądowniczej. Przecież było oczywiste, że KRS miała być reprezentatywna i dla czynników politycznych, i sądów. Zatem 15 sędziów wybierały gremia sędziowskie. A teraz nam się mówi, że co prawda członków tego ciała będzie się wybierało spośród sędziów, ale ma to zrobić sam parlament. I że to bardziej demokratyczne. Kiedy ja studiowałam, obowiązywała konstytucja z 1952 r. i ona przewidywała „wybór” sędziów do Sądu Najwyższego. Ale owego wyboru dokonywała Rada Państwa (choć także spośród sędziów), więc krytykowano go za fikcyjność. Odkrywam pewne analogie pomiędzy ówczesnym i obecnym podejściem.

**KB:** Może władzy łatwiej uzyskać społeczną akceptację dla zmian ustroju KRS, bo wybór sędziów przez sędziów jest trochę wbrew demokratycznej intuicji? To jakby postulować, żeby dobrze urządzony parlament wybierali posłowie.

**EŁ:** Pojawiają się zarzuty, że władza sądownicza jest niedemokratyczna. To prawda. Legitymizacja trzeciej władzy nie wynika z demokratyczności wyboru, ale z fachowości i umiejętności przekonania, że sprawiedliwość rzeczywiście została wymierzona. Oczywiście trzeba sprzyjać rozwojowi demokratycznej kontroli nad judykaturą. Sprzyja jej transparentność, informacja. A jaką transparentność mamy, gdy utajnia się, kto zgłosił kandydatów do KRS? Inna sprawa, że dbać o transparentność do tej pory, niestety, sądy też nie potrafiły i tego muszą się dopiero nauczyć. Natomiast nie można w sądownictwie zarządzać poprzez administrowanie strachem. A tak dziś się usiłuje robić. Mamy problem – my, prawnicy, ale także dziennikarze – z nazywaniem zjawisk ulotnych. Istnieje jednak taki termin jak *chilling effect*...

**KB:** Brzmi jak pojęcie z zakresu gastronomii...

**EŁ:** *Chilling effect* po polsku można przetłumaczyć jako „dziury nie zrobił, a krew wypił”. To efekt, który polega na skłanianiu ludzi, aby nie tylko nie chcieli się narażać, realizując swe kompetencje, ale żeby zrobili coś tak, by władzy było przyjemniej. A jeśli nie zechcą – jak sędzia, który wydaje wyrok w sprawie ocierającej się o politykę, ale niezgodny z przekonaniami obecnej władzy – to zaczynają się kłopoty.

**KB:** Konsekwencje dyscyplinarne?

**EŁ:** Tak. Być może postępowanie dyscyplinarne się skończy, nie stwierdzi się winy i nikomu nic się nie stanie. Ale samo postępowanie jest dolegliwością: jeżdżenie, zeznawanie, „grillowanie” w czasie zeznawania. Doświadczona pani sędzia mówiła mi – i akurat nie dotyczy to okresu obecnych rządów – że zrobiono jej dys-

cyplinarkę za udzielenie wypowiedzi w telewizji. Ostatecznie została uniewinniona, ale podczas postępowania prokuratura stosowała następującą metodę: wzywano ją i kazano czekać przed drzwiami przez dłuższy czas, a w korytarzu nie było nawet krzeselka, na którym można by przysiąść. To taka technika, żeby przeciwnik skruszał. Co z tego, że ją uniewinniono? Na tym polegają działania związane z efektem mrożenia. Jeżeli ludzie nie dostrzegają tego efektu w różnego rodzaju posunięciach władz, to są ślepi. Relacje polityczne w demokratycznym państwie polegają na wypychaniu konkurentów politycznych i ideowych z przestrzeni, którą chcemy dla siebie. Ważne jednak, aby owe działania były prowadzone w zgodzie z konstytucją i fair play. U nas tak nie jest.

Legitymizacja  
trzeciej władzy  
nie wynika  
z demokratyczności  
wyboru, ale z fachowości  
i umiejętności  
przekonania, że  
sprawiedliwość  
rzeczywiście została  
wymierzona.

**KB:** W zeszłym roku odbyło się wiele demonstracji w obronie konstytucji. Ostatnio w modnej kawiarni znalazłem znany i udany plakat z tamtych protestów, ale był przykryty bardziej aktualnymi publikacjami i ulotkami. Polacy protestowali, protestowali i... przestali.

**EŁ:** Łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Uznanie tłumu jest rzeczą ulotną, a ludzie szybko się nudzą. Zapal rewolucyjny nie trwa długo. Sprzeciw społeczny powinien mieć się wokół czego koncentrować. Dziś nie ma takiego ośrodka. Obserwuję różnego rodzaju mniej spektakularne akcje i demonstracje niezadowolenia i sprzeciwu, tyle tylko, że one są rozproszone, nie są masowe.

**KB:** Ale ludzie przecież bronili prawa. Wszak każdy będzie musiał pójść kiedyś do sądu: w sprawie miedzy, spadku, długu.



**EŁ:** Jest daleka droga pomiędzy dostrzeżeniem związku między tym, że dziś nie mogę sprzedać mojego kawałka gruntu, a tym, że nie ma dobrze działającego Trybunału Konstytucyjnego i że niekonstytucyjna ustawa ograniczająca obrót ziemią nie została na czas zaskarżona. Natomiast ten bezpośredni związek istnieje. Skoro powstała ustawa, która jest wątpliwa konstytucyjnie, trzeba ją wylapać i coś z nią zrobić, a jeżeli się jej nie wylapie, to ona działa i szkodzi. Z tym że negatywne konsekwencje można ocenić w perspektywie dłuższego czasu. Dotyka nas konkretna decyzja, dzieje nam się krzywda, ale już nie pamiętamy, że to wynik braku kontroli ustawy zaraz po jej uchwaleniu.

**KB:** Czyli szkody z naruszenia trójpodziału władzy będą odczuwalne dla zwykłego obywatela dopiero w dłuższej perspektywie? Dopiero gdy uzbiera się pewna masa krytyczna niekonstytucyjnych ustaw i rozporządzeń?

**EŁ:** Tak, zdecydowanie.

**KB:** Kiedy to nastąpi? Za 5 lat czy za 50?

**EŁ:** W Polsce Ludowej długo się zbierało. Trudno dokładnie prognozować. Notuję pewne prawidłowości, natomiast nie wiem dokładnie, kiedy objawiają się ich konsekwencje. Demokracja jest bardzo trudnym ustrojem, a demokracja z wątlą liczbą demokratów (jak u nas) staje się niesłuchanie trudna. I to jest nasz pech. Problem naszej konstytucji jest taki, że została napisana na społeczeństwo otwarte. To oczywiście, jak każdy kompromis, zakłada konieczność posunięcia się na ławce, tolerancji dla „nie naszych” – ludzi, poglądów, organizacji. Dopóki coś nie narusza prawa, trzeba to ścierpieć, np. ONR. Specjalnie daję przykład niewygodny dla zwolenników demokracji liberalnej. Dopóki to ugrupowanie nie łamie prawa, może spokojnie działać. W ogóle delegalizacja jakiejś partii czy ugrupowania to bardzo mocne narzędzie, które można stosować wyjątkowo, przy bardzo jaskrawych lub uporczywych naruszeniach. Nie powinno się sięgać po najmocniejsze instrumenty zbyt łatwo, bo to prowadzi do skutków kontrproduktywnych. Należy szanować zasadę maksymalizacji wolności dla wszystkich przestrzegających prawa.

**KB:** Wracając jeszcze do zeszłorocznych protestów – może zapal do obrony trzeciej władzy osłabł, bo społeczeństwo czuje słaby związek z sądownictwem?

**EŁ:** Faktycznie związek jest słaby, bo sądownictwo o to nie zadbało. Od dawna powtarzam, że sądy nie potrafią porozumiewać

się ze społeczeństwem i, co gorsza, nie chcą. Niestety, występuje chyba deficyt naturalnego szacunku dla ludzi. Sytuacja, w której władza się tłumaczy, jest traktowana jako demonstracja jej słabości. Postawa „ani kroku wstecz” jest oznaką słabości, a nie siły. Wyrok wydaje się nie dlatego, że jest się wobec kogoś niechętnym, ale dlatego, że prawo nakazuje sędziemu ważyć różne interesy. W rezultacie często obie strony uważają się za poszkodowane. Trzeba się przynajmniej starać wyjaśniać racje, jakimi sądy się kierują. Sądy w Polsce niezbyt się starały. I nie chodzi tu o podlizywanie się stronom, broń Boże! Podlizujący się sędzia to jest śmierć sądu. On ma pokazać, że sprawuje swoją funkcję najlepiej, jak umie, że jest fachowy i nie jest stronniczy. Są pewne obyczaje sądowe, na przykład doświadczony sędzia nigdy nie dopuści do tego, żeby adwokat jednej ze stron szeptał mu na ucho. Bo to natychmiast u drugiej strony zrodzi podejrzenie, że coś się dzie-

je w ukryciu. Osobnym problemem jest informacja w sądach, której jakość może obrazować dialog: „Kiedy odjedzie mój pociąg? Wtedy, gdy przyjdzie jego pora”. To jest rodzaj arogancji, generowanej również przez personel, sekretarki itd. Dobry prezes sądu pilnuje tych spraw. Sędzia Jarosław Gwizdak z Katowic może być chlubnym przykładem. Dostał niedawno nagrodę za komunikację społeczną. Do-prowadził na przykład do tego, że inaczej redaguje się tzw. zwrotki, czyli pisma, które się otrzymuje z sądu. Postarał się, aby były pisane przystępnym językiem. Braki w komunikacji przełożyły się na brak poczucia związków z sądem, który można zaobserwować w społeczeństwie. Oczywiście nie należy oczekiwać, że każdy oby-watel zrozumie, na czym polega działanie

rękami wiary publicznej ksiąg wieczystych albo hipoteki łącznej, bo to trudno wytłumaczyć, ale każdy sędzia wydający wyrok może się starać czytelnie uzasadnić, dlaczego orzekł tak, a nie inaczej.

Proszę też pamiętać, że w tym kotle różni szatani mieszają. Weźmy rolę adwokatów. Jeśli adwokat coś zawali, zrzuci winę na sąd. Sądy są w pewnym sensie twarzą każdego błędu prawa. W państwie najpierw ustawę się uchwała, później wykonuje, a na końcu na jej podstawie sądzi. Błędy mogą się zdarzyć na każdym etapie, natomiast na końcu to sąd wydaje rozstrzygnięcie, które dotyka bezpośrednio obywatela. Osoba, która odwołuje się do Strasburga w sprawie naruszenia jej praw podmiotowych, ma w rękę wyrok sądu. Zaś sądy są zawsze buforem pomiędzy ustawodawcą i ludem. Biorą na klatę swoje i nie swoje grzechy. Bo ten, z kim się stykamy bezpośrednio, jest reprezentantem całej instytucji. Dziewczyna sprzedająca bilety na dworcu jest dla mnie upostaciowaniem całego PKP. I jeszcze coś. Polska nie jest kra-

Delegalizacja  
jakiejś partii  
czy ugrupowania  
to bardzo mocne  
narzędzie,  
które można  
stosować wyjątkowo,  
przy bardzo jaskrawych  
lub uporczywych  
naruszeniach.



jem uprzejmym. U nas funkcjonują obyczaje folwarczne, zarówno w sądzie, jak też na uczelni, w redakcji, na uniwersytecie. Poza tym w tej chwili płacimy za wszystkie lata niedorozwoju nowoczesnego państwa. W XIX w., gdy w innych krajach uczyli się, jak funkcjonuje parlament, u nas uczyli się, jak zrobić bombę na cara. Może powinniśmy inaczej interpretować historię z wozem Drzymały – widzieć w nim nie tylko symbol germanizacji, ale pochwałę praworządności. Nie wykształcił się u nas patriotyzm konstytucyjny. Orzeł z czekolady może nie był najlepszym pomysłem, żeby go wzbudzać. To nie dla Polaków, z ich głodem podniosłości. Chociaż dziś znów słyszę, że jakieś patriotyczne dwukolorowe ciastka się lansuje. Od podniosłości do śmieszności tylko krok. I to dotyczy każdej formacji politycznej.

**KB:** Czy w Polsce istnieje problem równouprawnienia kobiet?

**EŁ:** Niech pan zobaczy w redakcji. Kto podczas kolegium podaje kawę?

**KB:** Akurat w mojej redakcji przełożoną jest kobieta. A dziś rozmawiam z kobietą, która piastowała najwyższe państwowe funkcje.

**EŁ:** I ja wtedy nalewałam gościom kawę, bo koledzy się z niej ssa nie chcieli ruszyć, ale nie mam zamiaru się żalić. Zdaję sobie sprawę, że nie można mieć wszystkiego. Ale zapewniam pana, że po pierwsze kobiety muszą się u nas więcej napracować na awans, po drugie w przeszłości pilnowano, abym nie dostała sprawy, na którą mieli ochotę moi koledzy. Inne przykłady? Teraz nie mamy problemów z bezrobociem, ale kiedy był problem, kogo najpierw zwalniano? Oczywiście dziewczynę. Wychodzono z założenia, że jeśli jest mężatką, to mąż ją utrzyma, a jak jest ładna, to sobie jakoś poradzi. Gdy w Trybunale toczyła się dyskusja na temat problemu wieku emerytalnego kobiet, usłyszałam opinię, „że ktoś się musi seniorami zająć”. Przecież to oczywista, jawna dyskryminacja kobiet, które muszą wyręczać niewydolne państwo. W przepisach może nie ma nierówności kobiet i mężczyzn, ale w faktycznych zachowaniach i standardach stosowania prawa na pewno ona występuje. Trzeba wspomnieć, że polityki państwowe są kształtowane pod wpływem męskocentrycznego punktu widzenia.

**KB:** Przepisy mogą wyrugować nierówności?

**EŁ:** W wielu wypadkach prawo może łagodzić skutki innego prawa. Ustawa zakazująca pracy części sektora handlowego w niedzielę z jednej strony może być rozpatrywana jako dbająca o interes kobiet, które stanowią gros zatrudnionych w tym sektorze, ale część sieci handlowych już zapowiedziała pracę w sobotę do 23.59 i w poniedziałek od 00.01. Niestety, legislacja wygląda jak budowanie domku z kart. Tak jest również z ustawą reprivatyzacyjną: im więcej grup o sprzecznych interesach ma objąć nowa

ustawa, tym szersze konsultacje trzeba prowadzić. Tymczasem my tego nie robimy. W Japonii istnieje praktyka polegająca na tym, że sporne zjawiska legislacyjne przed uchwaleniem ustawy dyskutuje się do znudzenia. To eliminuje część sporów. U nas obecnie legislacja wyrzeka się takiego narzędzia i w tym tkwi zarzewie naszych kłopotów. Nie twierdzę, że w różnych projektach, które w tej chwili są uważane za buble legislacyjne, nie ma ziarna sensu. Jednak zabrakło chęci, żeby właśnie poprzez konsultacje, dyskusje i analizę opinii powyrzucać plewy i zminimalizować negatywne skutki. Mówiąc to, czuję się trochę jak osoba nie z tego świata. W gruncie rzeczy chodzi o praktykę demokracji deliberatywnej. To jest prawdziwa demokracja, w której obywatele rozumieją, na czym polegają trudności. Musimy się tego nauczyć. Nie ma innego wyjścia.

**KB:** Pani profesor, jest pani ekspertem w dziedzinie prawa, ale również opery.

**EŁ:** Operę lubię. Z racji wieku sporo się nauczyłam i dużo wiedziałam, a jak dużo widziałam, to porównuję i mam wymagania. W operze nie szukam najpiękniejszego głosu, tylko emocji, muzykalności, ekspresji. Na przykład głos Marii Callas – nie był nadzwyczajny z punktu widzenia czystej urody, ale był niezwykłym narzędziem ekspresji.

**KB:** Opera, choć wielu wydawać by się mogła rozrywką archaiczną, niesłychanie ewoluuje. Jak pani ocenia zmiany zachodzące na tym polu?

**EŁ:** Są trzy okoliczności, które zaważyły na obecnym życiu operowym. Po pierwsze, zmierzch przedstawień realizowanych specjalnie w celach fonograficznych. W tej chwili rejestruje się cztery „żywe” przedstawienia i z tego zlepią całość. Dlatego apogeum sztuki fonograficznej przypadło na lata 70. i 80. XX w. Wtedy nagrywano operę, aby zrobić edycję płytową, i nie miało to związku z konkretną inscenizacją sceniczną. Z drugiej strony jesteśmy obecnie obserwatorami ogromnego boomu kooperacji: wiele oper się skrzykuje i wspólnie – z tym samym reżyserem, dyrygentem i scenografią – robi premierę w trzech krajach. Tylko soliści się zmieniają, bo bywają tańsi lub drożsi. Trzecie zjawisko, które determinuje operę, to ogromna demokratyzacja. Dawniej zdobycie nagrań na longplayu z zapisanym konkretnym występem z konkretnego przedstawienia było ogromnym przedsięwzięciem. Teraz wszystko można znaleźć w ciągu kilku sekund na YouTube. Może mi trochę żal radosnego zaskoczenia, które odczuwałam, gdy znajdowałam jakąś operową perełkę. Mniej mam okazji do tych radosnych zdziwień. Natomiast na pewno opera w Polsce dzięki owej demokratyzacji bardzo zyskała na światowości. Są bezpośrednie transmisje z MET, zapisy „żywych” spektakli z La Scali, z innych dobrych oper. Zaś ludzie mają szeroki dostęp do dobrej kultury muzycznej, więc w gruncie rzeczy jest chyba lepiej.





Prof. dr hab. n. med. **Grażyna Rydzewska** – specjalista chorób wewnętrznych, gastroenterolog. Kieruje Kliniką Chorób Wewnętrznych i Gastroenterologii z Pododdziałem Leczenia Nieswoistych Chorób Zapalnych Jelit Centralnego Szpitala Klinicznego MSWiA. Prezes Polskiego Towarzystwa Gastroenterologii, prezes Polskiego Klubu Trzustkowego. Stworzyła krajowy rejestr osób chorych na chorobę Leśniowskiego-Crohna.

© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

# W zdrowym ciele zdrowe jelita

O tajemniczym mikrobiomie, dietach i chorobach przewodu pokarmowego z prof. **Grażyną Rydzewską** rozmawiają Kamil Broszko i Marzena Tataj.

**Kamil Broszko:** Jeszcze 20 lat temu uczyliśmy się na biologii, że jelito to końcówka przewodu pokarmowego, słowem: nic ciekawego. A dziś nawet z mass mediów dowiadujemy się, że jelita to prawdziwy mikrokosmos.

**Grażyna Rydzewska:** Jelito nigdy nie było jedynie końcówką. Proszę pamiętać, że długość jelita cienkiego i grubego łącznie wynosi ponad 6 m, a jego powierzchnia jest większa niż powierzchnia skóry, którą mylnie uważamy za najważniejszy narząd kontaktu ze światem zewnętrznym. To właśnie jelito jest największą powierzchnią, którą stykamy się ze światem zewnętrznym. Gastrologia od dawna docenia rolę jelita, lecz zainteresowanie mediów tym tematem było o wiele mniejsze. Nie ukrywam, że robimy dużo, aby to zmienić, bo zrozumienie roli jelita pomaga naszym pacjentom. Jelito cienkie ma ponad 4 m długości, a grube – około 1,5 m. W jelicie grubym zachodzi proces zagęszczania i wydalania, natomiast w jelicie cienkim następuje wchłanianie wszystkich substancji pokarmowych. Czego nie wchłonie jelito cienkie, tego mamy nie-

dobór, który można zniwelować jedynie drogą dożylną na skutek interwencji medycznej. Nasze jelito musi wchłaniać to, czego nam trzeba, i nie wchłaniać tego, czego nie potrzebujemy. Prawdziwy kłopot i choroba zaczyna się wtedy, kiedy drogą jelitową przedostają się do naszego organizmu substancje toksyczne. Jelito jest największym narządem immunologicznym w organizmie. Od jego pracy zależy nasza odporność. Dlatego ogromną rolę odgrywa stabilizacja wszystkich procesów rozgrywających się w jelicie.

Bywa tak w medycynie, że zapatrzeni w nowinki technologiczne zapominamy o podstawach. Już w 1908 r. Ilja Miecznikow otrzymał Nagrodę Nobla za odkrycie probiotyków, które wyhodował w kwaśnym mleku. Teraz już nie możemy sami zrobić zsiadłego mleka, bo dzisiejsze mleko ze sklepu prędzej się zepsuje, niż zsiądzie. A to dzięki przemysłowi spożywczemu, który lubi wszystko konserwować. Po odkryciu przez Aleksandra Fleminga penicyliny w 1928 r. kompletnie zapomnieliśmy o przyjacielu mieszkającym w jelitach, czyli o mikrobiomie. Aby nasze bakterie jelitowe były

dla nas korzystne, musimy o nie dbać. Oczywiście wynalezienie antybiotyków uratowało wiele milionów istnień ludzkich, ale zafascynowani tym faktem zaczęliśmy zbyt powszechnie je stosować, przez co patogeny zaczęły się na nie uodparniać i naruszyliśmy równowagę naszej flory jelitowej. Jeszcze kilkanaście lat temu o chorobie Leśniowskiego-Crohna i wrzodziejącym zapaleniu jelita mówiło się jako o chorobach rzadkich. Teraz ich częstota gwałtownie wzrasta, tak jak innych chorób autoimmunologicznych i alergii. Jedną z przyczyn tego stanu rzeczy jest zaburzenie mikrobiomu. Natura nie znosi próżni. Wyliminowaliśmy jedne choroby, na ich miejsce powstają drugie. Bardzo trudno utrzymać homeostazę, czyli równowagę organizmu. Lecząc, zawsze coś zaburzamy. Natomiast nie lecząc, ograniczamy czas przeżycia. Tak więc nie mamy wyboru: musimy leczyć, ale z rozważą. Zaburzenie mikrobiomu jelitowego jest podstawą genetyczną między innymi autoimmunologicznych chorób jelit, takich jak choćby zespół jelita nadwrażliwego. Kiedyś szacowaliśmy, że na tę chorobę cierpi jedna czwarta populacji. Teraz, według nowych kryteriów, uważa się, że jest to kilkanaście procent ludzi. To nadal wielka liczba, o wiele większa niż liczba chorych na nieswoiste zapalne choroby jelit. Kiedyś uważaliśmy, że zespół jelita nadwrażliwego jest chorobą psychogenną i dotyczy „księżniczek na ziarnku grochu”. Pierwszy literacki opis tej choroby podała nam Eliza Orzeszkowa w powieści „Nad Niemnem”, w której pani Emilia cierpiała wiecznie na *colitis* i globus.

Według ostatnich badań prawie połowa osób z zespołem jelita nadwrażliwego ma zaburzony mikrobiom, czyli rozrost nieprawidłowej flory bakteryjnej, nadmiernie fermentującej w jelicie cienkim. Zatem zaczynamy poznawać przyczyny chorób, które do tej pory leczyliśmy objawowo. Co więcej, na problem zaburzenia mikrobiomu zwracają uwagę już nie tylko gastroenterolodzy, ale też dermatolodzy, alergolodzy, neurologi, a nawet psychiatry, bo jak się okazuje, szereg defektów psychicznych ma swoje podłoże w zaburzeniu mikrobiomu. Dowiedziono również, że dzieci rodzone drogą cięcia cesarskiego częściej mają niektóre zaburzenia psychiczne i częściej chorują na choroby autoimmunologiczne niż dzieci, które przychodzą na świat drogą naturalną. Dzieci rodzone siłami natury niejako zasysają mikrobiom matki i tym samym własny stabilizują wcześniej. Dzieci urodzone przez cesarskie cięcie przejmują bardzo niewłaściwy mikrobiom „szpitalny” i z dużym opóźnieniem stabilizują własny.

Temat jest bardzo ciekawy i wiele pozostało do odkrycia. Dzisiaj jeszcze nie potrafimy określić prawidłowego mikrobiomu pojedynczego człowieka. Wiemy jedynie, jakie powinny być proporcje niektórych bakterii. A nasz mikrobiom jest jak odcisk palca – jedyny, unikalny, z którym się dobrze czujemy. Na fali zainteresowania tematem pojawiają się jak grzyby po deszczu różne pseudolaboratoria, które obiecują zbadać mikroflorę pacjenta i wyprodukować celowany probiotyk. Tymczasem jeszcze nie ma wiarygodnych badań, z których można byłoby wyciągnąć wnioski kliniczne. Przeprowadzane badania genetyczne służą na razie głównie do badań naukowych. Trzeba być ostrożnym, bo każda nowinka pociąga za sobą rozwój



Mikrobiom

nauki i pseudonauki, która na niedoinformowaniu pacjentów chce po prostu zarobić. Podobnie jest z powszechnie proponowanymi na rynku badaniami nietolerancji pokarmowych. Mają one nikłą przydatność leczniczą, więc nie jesteśmy w stanie określić optymalnej dla danego pacjenta diety. Jako gastrologi zalecamy również rozważę przy stosowaniu probiotyków, bo w różnych sytuacjach chorobowych potrzebne są różne szczepy bakterii. Zawsze zanim przyjmie się probiotyk, warto poradzić się lekarza. Na rynku jest mnóstwo preparatów probiotycznych i nawet nie mamy pewności, że zawierają deklarowane w opisach ilości szczepów bakterii, bo w Polsce suplementy diety nie wymagają weryfikacji przez niezależne ośrodki.

**KB:** Ważnym problemem, którym zajmuje się gastroenterologia, są nieswoiste choroby jelit oraz choroba nowotworowa.

**GR:** To prawda. Choroba Leśniowskiego-Crohna i wrzodziejące zapalenie jelita dotyczą ludzi młodych, a nawet dzieci, które stanowią 25 proc. pacjentów. Przed nimi całe życie z chorobą, która jest przewlekła i nieuleczalna. Takim osobom powinniśmy gwarantować dobrą opiekę, według najwyższych standardów, na jakie stać nasze społeczeństwo. Pierwsze kroki w tym kierunku zostały już podjęte. Dzięki wsparciu Parlamentarnego Zespołu ds. Praw Pacjentów powstał „Model opieki koordynowanej nad pacjentem z nieswoistymi chorobami zapalnymi jelit”, opracowany przez Polskie Towarzystwo Gastroenterologii we współpracy z Fundacją Ekspertki dla Zdrowia. Jestem inicjatorką tego opracowania. Jego sedno stanowią rekomendacje gotowe do wdrożenia przez Ministerstwo Zdrowia. Dotyczą one wprowadzenia jako obowiązujących procedur kompleksowej opieki nad pacjentem, uwzględniających interdyscyplinarny zespół medyczny z gastrologiem, psychologiem i dietetykiem. Rekomendujemy także uzupełnienie katalogu świadczeń gwarantowanych o badania specjalistyczne niezbędne do monitorowania stanu pacjentów w tych chorobach, a także utworzenie krajowego rejestru nieswoistych chorób zapalnych jelit w celu monitorowania wskaźników epidemiologicznych i jakości leczenia. Podstawą do opracowania tego dokumentu były m.in. doświadczenia zebrane w klinice, którą od lat kieruję i w której od 2005 r. prowadzimy pododdział leczenia tych chorób. Dokument spotkał się z przychylnym przyjęciem w Ministerstwie Zdrowia, więc mam nadzieję na jego wdrożenie. Jeżeli jakiś szpital będzie chciał zająć się



leczeniem tych chorób, będzie musiał spełnić wytyczone standardy, co poprawi jakość opieki nad tą grupą pacjentów.

Mówiąc o chorobach jelit, nie unikniemy także tematu raka jelita grubego, który jest najczęściej występującą chorobą nowotworową u kobiet i mężczyzn łącznie. Zachorowalność, niestety, nie maleje, chociaż w Polsce, podobnie jak w innych krajach, przeprowadza się profilaktyczne badania. Kolonoskopia niejednokrotnie ratuje życie, bowiem w jej trakcie możemy usuwać polipy, które w ciągu kilku lat mogłyby się przeobrazić w raka. Każda osoba, która ukończyła 50 lat, powinna poddać się kolonoskopii.

**Marzena Tataj:** Zasadniczy wpływ na jelita ma to, co jemy. Zdrowego zsiadłego mleka już nie zrobimy, ale możemy sobie pomóc, dokonując właściwych wyborów przy sklepowej półce.

**GR:** Zsiadłe mleko możemy zastąpić jogurtem probiotycznym, który w procesie produkcji jest zasiedlany przez odpowiednie kultury bakterii. Można również jeść kiszoną kapustę czy ogórki. Natomiast przestrzegam przed wszelkimi produktami typu light czy „zero cukru”, bo zazwyczaj cukier zastępowany jest innymi substancjami słodzącymi (np. sorbitolem), które jako wysoko fermentujące są prawdziwym nieszczęściem dla naszych jelit. Powinniśmy jeść produkty jak najmniej przetworzone, dostarczać odpowiednią ilość błonnika, pić dużo wody, najlepiej niegazowanej. Nie zachęcamy do modnych obecnie diet eliminacyjnych. Teraz wszyscy wystrzegają się glutenu, a tymczasem ocenia się, że zaledwie 1 proc. społeczeństwa ma nietolerancję glutenu i cierpi na celiakię. Zaś według statystyk w USA aż 17 proc. społeczeństwa stosuje dietę bezglutenową. W pogoni za modą wiele osób uważa, że bezglutenowo to zdrowo. Nic bardziej mylnego. Po pierwsze, jest to bardzo trudna dieta do zbilansowania. Po drugie, z uwagi na wyższą zawartość substancji toksycznych w pewnych grupach produktów może być wręcz szkodliwa dla niektórych pacjentów. Generalnie nie zalecamy diet eliminacyjnych, a jeżeli już, to zawsze ich wprowadzenie powinno być poprzedzone wywiadem lekarskim i wiarygodnymi badaniami. Nawet jeżeli pacjent nie jest uczulony na gluten, może czuć się źle po zjedzeniu bułki czy kromki chleba, ale z innej przyczyny. Być może źle reaguje na produkty wysoko fermentujące i powinien być na diecie Low FODMAP, a może ma nietolerancję pszenicy lub nieceliakalną nadwrażliwość na gluten. Jedynie lekarz może to ocenić i dobrać odpowiednią dietę. Najlepsza dieta dla pacjenta i zarazem najtrudniejsza do wdrożenia to taka, którą pacjent może stosować przez całe życie. Popatrzmy na fenomen diety śródziemnomorskiej. Mieszkańcy basenu Morza Śródziemnego rano jedzą rogalik i popijają kawę, główny posiłek spożywają późno wieczorem, czyli zupełnie odwrotnie niż zalecają nasi dietetycy. A żyją najdłużej w całej Europie! Sekret w tym, że spożywają mało tłuszczów zwierzęcych, jedzą głównie warzywa, owoce, tłuszcze roślinne i ryby, a te produkty wpływają na zmniejszenie ryzyka chorób układu sercowo-naczyniowego.

**MT:** Proszę przybliżyć zasady diety Low FODMAP.

**GR:** Dieta Low FODMAP jako dieta nisko fermentująca jest zalecana przez lekarzy, ponieważ istnieją badania dokumentujące jej skuteczność w zespole jelita nadwrażliwego, a 50 proc. chorych z tym zespołem cierpi również na zespół SIBO, czyli rozrost flory bakteryjnej w jelicie cienkim. Jest to dieta bardzo restrykcyjna w pierwszej fazie i ta postać może być stosowana maksymalnie od 6 do 8 tygodni, kiedy wykluczamy wszystko, co może fermentować. Po tym okresie wracamy do wszystkich produktów, które lubimy i po których dobrze się czujemy, jednak w ograniczonej ilości. I taka dieta już powinna nas obowiązywać przez całe życie. Natomiast przestrzegamy przed dłuższym stosowaniem jej restrykcyjnej postaci, bo poprzez eliminowanie szeregu składników pokarmowych staje się dietą niedoborową. Istnieją także przesłanki, że poprzez zmianę profilu mikrobiomu w kierunku bakterii produkujących nitrozoaminy może w długim okresie stosowania być nawet szkodliwa.

**KB:** Czy jelito mężczyzny różni się od jelita kobiety?

**GR:** Płeć nie wpływa na budowę jelita. Natomiast są choroby jelit zależne od płci. Są choroby dotyczące głównie kobiet, jak choćby mikroskopowe zapalenie jelit, na które kobiety zapadają siedem razy częściej niż mężczyźni. Ale już w przypadku choroby Leśniowskiego-Crohna czy wrzodziejącego zapalenia jelita nie ma przewagi płci. Ze względu na fakt, że dotyczą ludzi młodych, którzy z czasem chcą mieć dzieci, inaczej podchodzi się do leczenia wymienionych chorób u mężczyzn i u kobiet. Jest też pewna różnica, jeżeli chodzi o raka jelita grubego. Z badań prowadzonych przez prof. Jarosława Regułę – które rozpoczął jeszcze prof. Eugeniusz Butruk – wynika, że kobiety średnio pięć lat później od mężczyzn zapadają na raka jelita grubego. Zatem wydaje się, że program badań profilaktycznych mógłby się u kobiet rozpocząć pięć lat później.

Generalnie nie ma różnicy ani w budowie jelita, ani w mikrobiomie kobiety i mężczyzny. Często mówimy, że stare małżeństwa upodabniają się do siebie. Są badania, które potwierdzają, że kilka pocałunków dziennie prowadzi do całkowitej wymiany mikrobiomu. Zatem możemy zapytać, czy faktycznie para się do siebie upodobniała, czy ich mikrobiom stał się taki sam i w związku z tym ich reakcje i zwyczaje są podobne. Prof. Jerzy Vetulani opisywał wpływ mikrobiomu na mózg. Uznane pismo medyczne „Gastroenterology” już w 2005 r. opublikowało badania, które wykazały, że kobiety przyjmujące probiotyki słabiej reagują na emocje, są wyciszone i spokojniejsze.

Kolejna choroba zależna od mikrobiomu to otyłość. Są osoby, które ledwo zbliżą się do ciastka i już tyją, a ich koleżanki czy koledzy mogą zjeść bezkarnie nawet dwa. O tym właśnie decyduje nasz mikrobiom, którego mamy w organizmie aż dwa kilogramy. Może więc być on dobrym przyjacielem, kiedy jest przez nas właściwie traktowany. W odwrotnym przypadku staje się poważnym przeciwnikiem. Jeżeli ktoś po lekach przeczyszczających czy bieguncie mówi, że schudł, to

znaczy tylko tyle, że wypłukał sporo treści jelitowej, a przy tym pozbył się dużej porcji mikrobiomu.

**KB:** Pojawia się coraz więcej doniesień potwierdzających związek jelit z mózgiem. Czy poprzez jelita dojdziemy do odpowiedzi na pytanie o istotę relacji ciało – umysł?

**GR:** Już mówi się o osi jelitowo-mózgowej. Według kryteriów rzymskich rozpoznawania chorób czynnościowych jelit uznaje się za ich przyczynę zaburzenie osi jelito – mózg. Czy będziemy potrafili regulować ten mechanizm? Być może tak, ale do tego jeszcze daleka droga. Jeszcze nie potrafimy modyfikować naszego mikrobiomu. Leczenie probiotykami ma mnóstwo wad, bo dostarczamy za ich pomocą jedynie pewne szczepy, które działają wyrzutowo. Poza tym probiotyki jako suplementy diety nie muszą przechodzić kompleksowych badań, skutkiem czego nasza wiedza na ich temat jest niekompletna.

**MT:** Coraz częściej mówi się o przeszczepie flory jelitowej.

**GR:** Tak, od paru lat w naszej klinice wykonujemy ten zabieg rutynowo w leczeniu nawracającego zakażenia bakterią *Clostridium difficile*, gdyż istnieją mocne dowody naukowe i kliniczne na jego skuteczność. W pozostałych chorobach metoda ta jest na razie w fazie badań, więc trudno jest zalecać jej stosowanie w praktyce codziennej. Na fali mody powstaje w Polsce szereg ośrodków o wątpliwej renomie, które proponują leczenie wszelakich zaburzeń jelitowych tą metodą, ale w takich przypadkach jest to terapia eksperymentalna, bo nie ma dowodów na jej skuteczność w zespole wrzodziejącego zapalenia jelita, zespole jelita nadwrażliwego czy SIBO. Pamiętajmy o jednym: nie wiemy, co przeszczepiamy. Podstawą jest bardzo dobre przebadanie dawców. Nasza klinika zamawia materiał do przeszczepu we wrocławskiej firmie Biotransplant Research, która przygotowuje nam mieszanekę od kilku zdrowych dawców, przebadanych według naszych kryteriów. Pierwszy przeszczep bakterii jelitowych odbył się już w 1958 r. w ramach leczenia zakażenia *Clostridium difficile*. Jako ciekawostkę dodam, że Hitler przez całą wojnę był leczony przez swojego lekarza, dra Morella, amfetaminą oraz... kałem bułgarskiego chłopca. Już w 4 w. n.e. Chińczycy zalecali spożycie „żółtej zupy” przy infekcjach układu pokarmowego. Było to nic innego jak mniej elegancki przeszczep flory jelitowej. Teraz odbywa się to w sposób przyjazny dla pacjenta, przy użyciu zamkniętych woreczków z treścią, podawanych sondą dojelitową, aby uniknąć efektu cofania i nieprzyjemnego zapachu. Czy w tym jest przyszłość? Nie wiem. Uważam raczej, że jest to jakiś pomost do lepszego zrozumienia działania mikrobiomu oraz większej personalizacji i stabilizacji własnego mikrobiomu. Najlepszym probiotykiem byłby własny mikrobiom sprzed choroby, choć też nie mamy 100-proc. pewności, czy w nim nie było już czynnika chorobotwórczego. Na świecie są prowadzone badania genetyczne mikrobiomu i na ich podstawie możemy powiedzieć o jego procentowym składzie w momencie badania. Wiemy, że pewne szczepy bakterii są korzyst-

ne, a inne nie. Ale mimo tej wiedzy nie potrafimy jeszcze stworzyć optymalnego mikrobiomu dla danego człowieka. Wiele ośrodków na całym świecie bada ten problem, więc niewykluczone, że za kilka lat otrzymamy w kapsułce idealny mikrobiom. Być może będzie pochodził od pacjenta, sprzed choroby, a być może zostanie dostosowany do jego potrzeb.

Obecnie ratunkiem i sprawdzoną terapią w stabilizowaniu mikrobiomu jest ryfaksymina. To eubiotyk, który nie niszczy flory jelitowej, ale ją stabilizuje. Jest to lek numer jeden w leczeniu zespołu jelita nadwrażliwego i chorób zapalnych jelit.

**KB:** Jakie są najważniejsze sukcesy pani zespołu i najbliższe plany?

**GR:** Naszym podstawowym zadaniem jest leczenie pacjentów. Nie jesteśmy zespołem uniwersyteckim. Natomiast niewątpliwym sukcesem z punktu widzenia pacjenta było stworzenie w klinice pierwszego (i nadal jedyne) w Polsce oddziału leczenia nieswoistych zapalnych chorób jelit, do którego po ratunek przyjeżdżają pacjenci z całego kraju. Leczymy według wysokich standardów w interdyscyplinarnym zespole, z psychologiem i dietetykiem włącznie. Moją inicjatywą było również opracowanie „Modelu opieki koordynowanej nad pacjentem z nieswoistymi chorobami zapalnymi jelit”, o którym wcześniej wspomniałam. Marzy mi się, aby stał się on obowiązującym standardem w Polsce i aby powstało więcej oddziałów specjalizujących się w leczeniu tych chorób, bo wtedy pomoc dla pacjentów byłaby dostępna w całym kraju. Prowadzimy rejestr pacjentów z chorobą Leśniowskiego-Crohna, których jest już w Polsce prawie 7 tys. Służy on lepszemu poznaniu tej choroby. Chcemy także pełnić rolę edukacyjną, dlatego organizujemy rocznie cztery sympozja poświęcone chorobom jelit i chorobom trzustki, w których również specjalizuje się nasza klinika. Jestem honorowym członkiem stowarzyszeń J-elita i Apetyt na Życie. Pierwsze należy do Europejskiej Federacji Stowarzyszeń Crohna i Colitis Ulcerosa, która zrzesza organizacje z 27 krajów europejskich. Skupiają one osoby chore i rodziców dzieci chorych na wrzodziejące zapalenie jelita grubego, chorobę Leśniowskiego-Crohna oraz mikroskopowe zapalenie jelita. Z kolei Stowarzyszenie Pacjentów z Niewydolnością Układu Pokarmowego „Apetyt na Życie” jest ogólnopolską organizacją skupiającą osoby z chorobami układu pokarmowego, które muszą być odżywiane pozajelitowo.

W naszej klinice prowadzimy także badania naukowe w zakresie chorób trzustki, a zwieńczeniem badań dotyczących czynników prognostycznych w ostrym zapaleniu trzustki będzie rehabilitacja dra Michała Lipińskiego. Myślimy również o zwiększeniu liczby badań z zakresu endoskopii i nieswoistych zapalnych chorób jelit. Mamy jedną z najlepiej wyposażonych w kraju pracowni endoskopii. To u nas wykonano pierwsze w Polsce badanie enteroskopii dwugalonowej, umożliwiające ogląd całego jelita cienkiego. Wprowadzamy też konfokalną laserową endomikroskopię w badaniu dróg żółciowych i guzów wielotorbielowatych trzustki.

# Nie ruszam z posad bryły świata

O krytyce politycznej, hipokryzji środowisk twórczych i nieroztropnych celebrytach z **Iloną Łepkowską** rozmawia Kamil Broszko.

**Kamil Broszko:** Jak pani odebrała hejt na serial „Korona królów”? Chodzi mi szczególnie o fakt, że wiele negatywnych opinii pochodziło od ludzi, którzy nie oglądali serialu ani nawet nie mieli ochoty go zobaczyć.

**Ilona Łepkowska:** Bardzo duża część hejtu nie dotyczyła samego serialu, lecz telewizji publicznej, jej związku z obecnie rządzącą koalicją oraz jej deklaracji dotyczących polityki historycznej. Wielu ludzi uznało, jeszcze przed emisją pierwszego odcinka, że wie, czemu służy ten serial, i że go nie znosi. Jak zawsze, kiedy pojawiają się ostre oceny, dochodzi równocześnie do przeklemań. W serialu nie ma bowiem polityki historycznej lansowanej przez jakąkolwiek partię. Kiedy królowa Jadwiga mówi do Kazimierza Wielkiego: „Licz

tylko na Węgrów”, to – wbrew opinii wielu internautów – nie jest to ukartowane przez Jarosława Kaczyńskiego. Prawda jest taka, że Węgry były wtedy wielkim i silnym krajem, Karol Robert był szanowanym władcą, Elżbieta, siostra Kazimierza, miała silną osobowość, a ich małżeństwo służyło zawarciu sojuszu między naszymi krajami. Spojrzenie na tamtą historię przez pryzmat stosunków Kaczyńskiego z Orbanem można więc traktować tylko w kategoriach humorystycznych. Jeżeli czyjeś negatywne założenia wynikające z polityki są tak silne – nie musi „Korony królów” oglądać.

**KB:** Krytyka – mniejsza o to, czy zasadna – krępuje twórcę?

**IL:** Spodziewałam się szerokiego zainteresowania serialem, jednak zaskoczyła mnie jego skala. Negatywne opinie i dyskusje wokół produkcji to nie tylko darmowa reklama – mają również inne pozytywne skutki. To trochę jak w przypadku niedawnej akcji ratunkowej na Nanga Parbat. Okazało się, że wszyscy Polacy są himalaistami, i można było przeczytać wiele drastycznych wypowiedzi. Ale również bardzo dużo się dowiedzieliśmy o chorobie wysokościowej, o warunkach pogodowych na 8 tys. metrów, o wytrzymałości ludzkiego organizmu. Dowiedzieliśmy się, że w Himalajach nie

## Ilona Łepkowska

(ur. 1954 r.) – scenarzystka i pisarka. Stworzyła najpopularniejsze polskie filmy i seriale, m.in. „Och, Karol 2” (2011), „Nie kłam, kochanie” (2007), „Komedię małżeńską” (1993), „Galimatias, czyli kogel-mogel II” (1989), „Jemiołę” (1988), „Kogel-mogel” (1988), „Kocham kino” (1987), „Och, Karol” (1985), „Wakacje z Madonną” (1983), „Koronę królów” (2018), „Barwy szczęścia” (2007), „M jak miłość” (2000–2007), „Na dobre i na złe” (1999–2001), „Klan” (1997–1999).



© JAN BOGA CZ/TVP



chodzi się jak po Giewoncie i że nie jest tam tylko trochę zimniej niż u nas. Na podobnej zasadzie dzięki naszemu serialowi wzrasta wiedza na temat średniowiecza. Widać to choćby po wynikach wyszukiwania haseł „Kazimierz Wielki” czy „Aldona Giedyminówna” w Google. Wiedza zostaje, nawet jeżeli ktoś czyta hasła z Wikipedii tylko po to, aby wytknąć błąd twórcom „Korony królów”.

**KB:** W toku nabywania doświadczenia skóra robi się twardsza czy mięknie?

**IL:** Pisząc scenariusz, nie można myśleć o tym, co będzie. Robiąc rzeczy popularne dla szerokiej widowni, pracując dla stacji, która ma negatywną opinię wśród sporej części społeczeństwa, muszę zdawać sobie sprawę z potencjalnych reakcji. Jeżeli człowiek nie jest gotowy na przyjęcie takich ciosów – ich zignorowanie albo odparcie – to nie powinien się w to w ogóle bawić. Nie lubię udawać. Mogłabym powiedzieć Jackowi Kurskiemu, że zrobię swoją pracę, ale pod pseudonimem. Chyba by się zgodził. Gdybyśmy pracowali w dość wąskim gronie, mój udział mógłby nawet nie wypłynąć. Autorka, która pisała pierwsze odcinki, występuje pod pseudonimem – nie z powodu wstydu, ale dlatego, że miała równoległe inne zobowiązania. I nic się nie stało. Bywa na spotkaniach towarzyskich, w trakcie których odbywają się rozmowy na temat „Korony królów”, i nikt nie wie, że jest jedną z autorek. Ja generalnie nie lubię się kryć po krzakach, używać pseudonimów. Podpisuję się pod tym, co robię. Dodatkowo jako kierownik projektu biorę na siebie wszystkie winy. Jeżeli pojawia się uzasadniona krytyka, zawsze staram się bronić zespołu lub przyznaję, że zawaliliśmy. Przy okazji muszę powiedzieć, że trudno znaleźć scenarzystę do takiego projektu jak „Korona królów”, bo to nie jest typowa telenowela, w której się pije herbatę i dyskutuje, czy Mania zdradza Franka i odwrotnie. Zatem potrafię przyznać, że jest zbyt dużo wyrażań współczesnych, kostiumy powinny być bardziej spatynowane, a peruki mogłyby być lepiej dobrane. Ale cała furia i uderzenie nie wynikają z realnych i zmyślonych błędów, tylko z faktu, że miałam odwagę się przyznać do pracy dla Kurskiego. Byłoby lepiej widziane, gdybym działała po cichu, niezauważenie.

**KB:** Wtedy również reakcja pani środowiska byłaby słabsza?

**IL:** Myślę, że tak. Ale nie będę się wstydzić i uważać za kolaborantkę. Od ponad 20 lat pracuję dla telewizji publicznej i nadal będę to robić.

**KB:** Trzeba dodać, że jego część – nawet osoby, które krytycznie wypowiadają się o obecnej telewizji publicznej czy rządzie – ujęła się za panią.

**IL:** Tak. I było to dla mnie bardzo budujące.

**KB:** Niejednokrotnie twórczość historyczna ciągnie za sobą ogon krytyki wynikający z zaangażowania w przedmiot miłośników dawnych dziejów. Wyobrażam sobie, że takie wynajdywanie niecisłości i błędów autorowi może przy-



nieść nawet pewną satysfakcję, pod warunkiem że nie jest podszyte nienawiścią.

**IL:** Są zachodnie strony internetowe czy grupy na Facebooku, które skupiają się na wychwytywaniu błędów w filmach historycznych. Dotyczy to rozmaitych dzieł, np. nominowanej ostatnio do Oscara „Dunkierki”. Nam zarzucono między innymi, że nie dochowaliśmy wierności językowej, bo Aldona całe życie mówiła po litewsku, a w „Koronie królów” posługuje się językiem polskim. Wzorem zgodności z historią miała być dla nas „Królowa Bona”. Tylko że serialowa Bona wypowiada jedynie pojedyncze włoskie zwroty, chociaż w rzeczywistości nie używała polskiego! Wracając do pana wcześniejszego pytania: hejt czasem pęta twórców. W jednym z pierwszych odcinków jest scena polowania. Wprowadziliśmy ją do filmu bezproblemowo. Niedawno, gdy pracowaliśmy nad kolejną sceną polowania, redaktorzy telewizyjni kilka dni zastanawiali się, czy aby nie musimy pokazać łowczego, tego, co robił, czy szedł za nagonką, czy przed nagonką. Tak się jednak pracować w telenoweli nie da. Jeżeli zaczniemy zastanawiać się, ile ukłonów musiała wykonać dwórka, gdy podchodziła do królowej, to będziemy filmowali wyłącznie zgodny z faktami ceremoniał, na akcję nie starczy czasu. Nam ta scena polowania jest potrzebna, aby pokazać próbę zamachu na Kazimierza. Nie robimy filmu edukacyjnego o urządach w Polsce w XIV w. oraz obowiązkach i powinnościach łowczego. Nie daję się czymś takim skrepować. Staram się uważać na rzeczy istotne. Na przykład w jednym z odcinków nie zostały właściwie spatynowane kostiumy królewien, które spędziły całą noc w lesie. Rozumiem takie zarzuty i staram się wpływać na poprawę jakości produkcji, nie tylko w obszarze, za który jestem odpowiedzialna, czyli w scenariuszu.

**KB:** Socjologowie nie ustają w próbach odkrycia, co takiego zadziało się w społeczeństwie, że z łatwością przychodzi mu nienawidzić przy komputerach i smartfonach. Ja chciałbym to pytanie zadać pani, osobie, która powinna społeczeństwo znać, skoro opowiada mu od wielu lat, i której społeczeństwo słucha.

**IL:** Hejt nie jest zjawiskiem polskim. Jest obecny choćby w USA. Choć, niestety, u nas osoba, która odniosła sukces, z definicji jest podejrzana, zaś tam – zazwyczaj godna szacunku i podziwu. W Polsce nie ma dobrej zazdrości, która wyzwala ambicję i motywację. U nas czyjś sukces wywołuje zawiść. To jedno ze źródeł nienawiści do celebrytów, ale nie jedyne. Celebryci trochę sobie na niechęć do



## Katarzyna Czapla, „Korona królów”

takie doświadczenia. Nie potrafiłam przestać oglądać pierwszego sezonu „House of Cards”! Kiedy idę do kina, po dwóch godzinach seansu czuję się nieswojo i pytam: gdzie jest dalszy ciąg? Jesteśmy nienasyчени w swoim hedonizmie, zamięłowaniu do fantastycznie opowiedzianych historii. Chyba dlatego też dobry sezon serialu z kilkunastoma odcinkami wygrywa często z pełnometrażowym filmem. Chciałam przy okazji zwrócić uwagę na specyficzną pozycję rodzimej telenoweli w naszych polskich warunkach. Wygraliśmy konkurencję z Zachodem w tej dziedzinie popkultury. W muzyce oddaliśmy pole, rodzimy film po latach odbudował swoją popularność. Natomiast polskie seriale w Polsce zawsze były na topie.

**KB:** Współczesny biznes rozmiłowany jest w badaniach, sięga nawet do monitorowania pracy mózgu, aby przewidywać, czy produkt spotka się z zainteresowaniem odbiorcy. Czy podczas pracy nad serialem również stosuje się podobne metody?

**IK:** Myślę, że wkrótce tak będzie. Na razie zaczęliśmy robić badania fokusowe, ale oczywiście jesteśmy jeszcze daleko za innymi krajami. Nie zdziwię się, jeżeli przeczytam, że producenci amerykańskich seriali przy pomocy encefalografu sprawdzają, w której sekundzie emocje widza sięgają zenitu.

**KB:** Pani patent na kreowanie bohaterów i historii jest skuteczny w 100 proc.? Wie pani, kiedy telewizzowie zareagują uwielbieniem, kiedy złością, a kiedy zaczną się bać?

**IK:** Kiedyś może tak było. Teraz widownia jest bardziej zróżnicowana, bardziej oswojona z różnorodnością opcji, czyli trudniej ją zaskoczyć. Trudniej też wywołać przywiązanie do postaci, do serialu. Oferta jest tak wielka, że zainteresowanie i uczucia się rozpraszają. Straciłam już trochę kontakt z widownią, zapewne także z powodu wieku. Duża część widzów to ludzie młodzi, których sposób myślenia mogę próbować przewidywać, ale na pewno z nimi nie współodczuwam, bowiem jesteśmy na innym etapie życia. Kiedyś wiedziałam, co Polacy chcą oglądać, potrafiłam przewidzieć ich tęsknoty, przykładowo za udanym życiem rodzinnym. Obecnie nic już nie jest takie proste. Myślę, że są robione badania – choć nie u nas – odpowiadające na pytanie, czego ludzie potrzebują. Może tego, aby się mocno przestraszyć i rozładować swoje prawdziwe lęki? Jest mnóstwo seriali z dziedziny parapsychologii, zjawisk paranormalnych. Musi być jakaś przyczyna.

**KB:** Na fali globalnego sukcesu serialu „Zagubieni” do opinii publicznej dotarła informacja, że seriali nie tworzy już dziś mityczny pojedynczy scenarzysta, a całe zespoły scenariuszowe. Czy podobnie pracuje się w Polsce?

**IK:** Oczywiście. W tej chwili nie ma chyba serialu, który jest pisany przez jedną osobę. Autor pomysłu może być jeden, ale w toku pracy dołączają kolejne osoby. Wiele głów daje szansę, by coś, co trwa przed dłuższy czas, było dłużej świeże.

siebie zapracowują. Niestety, gwiazdy w dużej mierze są oderwane od rzeczywistości. Wielu moich znajomych z branży zdumiewa, że przyznają się do latania tanimi liniami. Nie ma w tym kokieterii. Po prostu uważam, że to racjonalny wybór, gdy trzeba się przenieść z Warszawy do Londynu. Dość dawno temu mówiłam w wywiadzie, że kupowanie sukienki za 6 tys. zł jest czymś głupim i niemoralnym. Mój pogląd się nie zmienił. Zazdrość jest uczuciem brzydkim, ale naturalnym. Oczywiście zdarzają się też w Internecie wypowiedzi, w których poziom nienawiści jest dla mnie zupełnie niezrozumiały i przerażający. Mogę kogoś nie lubić, ale nigdy w życiu tej osobie, jej dzieciom czy mężowi nie życzyłamby czegoś złego.

**KB:** Jak pani odebrała zmianę sprzed paru lat, kiedy to wzrosła ranga serialu w popkulturze?

**IK:** Pozytywnie. I nie chodzi tylko o pracę – lubię też oglądać seriale. Cieszy mnie, jako widza, duża konkurencja na rynku. Fantastyczne są współczesne seriale wysokobudżetowe, ale też platformy cyfrowe, które pozwalają za nieduże pieniądze obejrzeć świetne rzeczy. Seriale zostały dowartościowane pieniędzmi, ale także zainteresowaniem opinii publicznej. Kiedyś wielu oglądało seriale, ale oficjalnie nikt się do tego nie przyznawał. Teraz w dobrym tonie jest pochwalić się na Twitterze, że spędziło się cały weekend, oglądając nowy sezon „Gry o tron” czy „Dark”. Sama mam

**KB:** Telewizja kształtuje gust odbiorcy czy odpowiada na potrzeby wynikające z tego gustu?

**IL:** W Polsce nadal chyba w większym stopniu staramy się odpowiadać na potrzeby. W stosunku do świata jesteśmy trochę do tyłu. Jeszcze nie zdajemy sobie sprawy, że dzięki sile serialu możemy potrzeby kształtować.

**KB:** Ale taki jest kierunek?

**IL:** Wydaje mi się, że za chwilę tak będzie. Naprawdę poprzez serial można mnóstwo rzeczy wywołać. Mody, lęki, rozmaite zachowania. Telewizja może kształtować pewne postawy i serial może być w tym pomocny. U nas w okresie największej popularności polskie seriale kształtowały modę na wnętrza, ubrania, styl. W efekcie w każdym sklepie jubilerskim pytano, czy jest taki wisior, jaki pani Lubiczowa nosiła w „Klanie”. Przypadkowa decyzja kostiumografa wywołała jakąś modę. Oczywiście w następstwie takiego mechanizmu pojawiło się tzw. lokowanie produktu, a nawet zachowań. Klasycznym przykładem wpływu na audytorium jest „Wojna światów” H. G. Wellsa – po emisji sugestywnego słuchowiska radiowego pełnego apokaliptycznych opisów doszło do rozruchów społecznych, ponieważ ludzie uważali, że to dzieje się naprawdę. Robiąc kulturę dobrze, można mieć moc sprawczą.

**KB:** Telewizja czasami brnie w ślepy zaułek. Mam na myśli formaty, które wykorzystują psychomanipulację, aby skłaniać uczestników show do jedzenia robaków, zawierania małżeństw z osobami, których nie kochają, itp. Czy odczuwa pani rodzaj solidarności zawodowej z autorami tego typu przedsięwzięć?

**IL:** Przeciwnie. Może nie potępiam tego typu pomysłów, ale uważam je za głupie. Widziałam kiedyś fragment amerykańskiego programu, w którym uczestników skłaniano do podejmowania ekstremalnie ciężkich wyzwań, np. zakopywano ich w grobie. To niczemu nie służy, może jedynie osobie, która wygra sporą sumę, kiedy już jej się uda zjeść szerszenia, spędzić dwie doby w błocie itp. To głupie. Niestety, głupiej rozrywki w telewizji jest coraz więcej. Niebawem TVN zaprezentuje program „Hipnoza” oraz audycję, w której Perfekcyjna Pani Domu będzie wraz z mężem odwiedzać najodleglejsze zakątki świata i podejmować niezwykle wyzwania. W Las Vegas będą uprawiać wrestling, czyli kopać po głowie, a w Tajlandii śpiewać po tajsku z miejscowym zespołem. Zarobili na tym na pewno masę pieniędzy, przejechali się po świecie, mieli zapewnione bezpieczeństwo. Ludzie będą się śmiali albo będą ich podziwiali, ale głębszego sensu w tym nie ma za grosz. W taką stronę idzie dziś TVN, co mnie trochę bawi, bo w założeniach miała to być telewizja dla inteligencji.

**KB:** Dużo się obecnie mówi o misyjności telewizji.

**IL:** Misyjność polega na pokazywaniu w telewizji rzeczy ważnych, których przeciętny Polak inaczej by nie zobaczył, a jej cechą jest oderwanie od kryteriów ekonomicznych – zysk nie jest najważ-

niejszą wartością. Rolę misyjną pełnił i nadal pełni Teatr Telewizji, ale także dobry dokument. Dla mnie w jakimś stopniu misyjna jest również „Korona królów”, bo jednak wiedza historyczna w społeczeństwie jest mizerna. Znamy się trochę na Powstaniu Warszawskim i Żołnierzach Wyklętych, ale na dawniejszej historii – niekoniecznie. Teatr Telewizji miewa często oglądalność na poziomie 300 tys. Tęsknię za czasami, gdy sięgała miliona, ale obecne produkcje również szanuję. Kiedyś Teatr Telewizji poszukiwał swojego unikalnego języka. Dziś jego niektóre przedstawienia mogą się wydawać manieryczne, nudne. Ale mimo wszystko uważam, że są ważne.

**KB:** Proszę uchylić rąbka tajemnicy odnośnie swojego warsztatu. Pisze pani rano czy wieczorem? W domu czy w kawiarni?

**IL:** Piszę, kiedy trzeba. Generalnie w domu, ale mogę pracować wszędzie. Zaraz jadę do fryzjera i jak mi nałożą farbę na głowę, na pewno coś napiszę, może poprawię jakiś odcinek. Mogę pracować w pociągu, w samolocie, w hotelu. Pracuję, kiedy jest to potrzebne. Być może dlatego, że nie piszę traktatów filozoficznych i nie ruszam z posad bryły świata.

**KB:** Nie czuje pani bólu twórczego? Nie miewa kryzysów?

**IL:** Oczywiście, że mam. W moim przypadku głównym problemem jest znużenie, które przeszkadza w efektywnej pracy. Drugim problemem jest czysto fizyczne zmęczenie, które pewnie wynika z faktu, że nie jestem już osobą młodą. Innych problemów raczej nie mam. Może źle to brzmi, ale trochę tak jest, że w tych granicach, w których realizuję swoją pracę, nie narzekam na brak pomysłów. W tej chwili jestem jedynie rozdarta między wolą pracy i pragnieniem spokoju. A tymczasem projekty się rozrastają i wszystko zaczyna pędzić. Wolalabym, żeby było już inaczej. Nieoczekiwanie wpadła mi „Korona królów”. Myślę, że w następnym sezonie moje zaangażowanie w tę produkcję będzie mniejsze. Praca nad telenowelą właściwie nigdy się nie kończy: albo trzeba sprawdzić strukturę odcinka, albo go przeczytać, albo zobaczyć gotowy odcinek, albo obejrzeć casting i wybrać aktora. Kiedy się robi serial, który ma kilka odcinków, to jest spory wysiłek, ale w pewnym momencie projekt się kończy. Przy telenoweli pracuje się na okrągło. Obecnie pracuję jako szef literacki nad serialem trzynastoodcinkowym, który zostanie wyemitowany w przyszłym roku. Miałam tyle zapisanych wersji dokumentu z komentarzami, że już mi się Word zaczął wieszać. Plik był tak ciężki, że nie byłam w stanie na nim pracować.

**KB:** Proszę opowiedzieć o nowym projekcie. Jaki to będzie gatunek?

**IL:** Przygotowujemy serial historyczny, realizowany na podstawie bestsellerowej książki. Na razie planujemy pierwszy sezon, 13 odcinków. Akcja zaczyna się w czasie pierwszej wojny światowej, sezon zamyka wybuch kolejnej wojny. Serial będzie emitowany wieczorem, a każdy odcinek będzie trwał ok. 50 minut.





Daria Tataj

**Dr Daria Tataj** – doradca strategii, przedsiębiorczyni, współtwórczyni Europejskiego Instytutu Innowacji i Technologii. Jest również doradcą Światowego Forum Ekonomicznego i Europejskiej Agencji Kosmicznej. Przewodnicząca RISE High-Level Policy Group for Research, Innovation and Science – grupy niezależnych ekspertów ds. badań, innowacji i polityki naukowej, doradzającej komisarzowi UE ds. badań naukowych i innowacji.

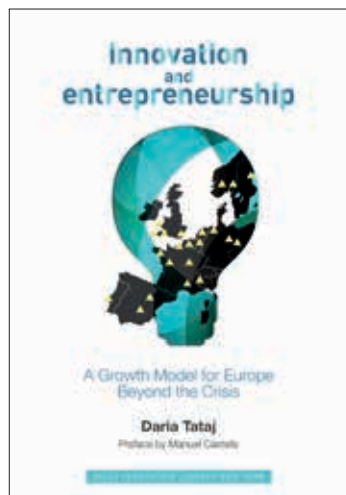
# Europa ma problem z podejmowaniem ryzyka

O miejscu Polski na innowacyjnej mapie świata, kobietach w gospodarce i o przyszłości Europy z **Darią Tataj** rozmawia Kamil Broszko.

**Kamil Broszko:** Jest pani specjalistką w modnej dziś dziedzinie innowacyjności. Była pani pierwszym i jedynym do tej pory polskim członkiem Rady Zarządzającej Europejskiego Instytutu Innowacji i Technologii, dziś zaś jest szefową doradców Carlosa Moedasa, unijnego komisarza ds. badań, nauki i innowacji. Niewielu Polaków piastuje tak wysokie i odpowiedzialne urzędy w strukturach Unii Europejskiej. Wielkie gratulacje.

**Daria Tataj:** Dziękuję bardzo. Zawsze na forum międzynarodowym podkreślałam, że jestem Polką i jestem dumna z transformacji, którą moje pokolenie z sukcesem przeprowadziło. Żyjemy w określonej rzeczywistości i mamy krótką pamięć historyczną.

Moje córki nie potrafią nawet sobie wyobrazić, jak wyglądał świat przed 1989 r., ale ja pamiętam czołgi na ulicach Warszawy i żołnierzy grzejących się przy koksownikach. Pamiętam, że w telewizji w niedzielę nie było „Teleranka”, a pan w czarnych okularach oznajmił, że od tej pory świat będzie czarno-biały. Udało się nam, Polakom, przejść przez bardzo trudny okres transformacji, czyli innowacji. Bo innowacja to transformacja, która odnosi sukces. Innowacja zakończona porażką jest bolesna, ale innowacja zakończona sukcesem boli bardziej, bo powoduje zmiany. A przecież większość ludzi (pracowników w firmach, urzędników w instytucjach czy obywateli) boi się zmian lub wręcz ich nie chce. Często za granicą różni ludzie pytają mnie, dlaczego Polsce udało się przeprowadzić transformację.



Oczywiście dlatego, że Polacy innowacyjność mają we krwi. Przytaczam wtedy anegdotę o moim znajomym, wybitnym ekspercie z sektora venture capital, który poszukiwał możliwości inwestycyjnych w Europie Środkowej. Przy okazji pobytu w różnych krajach lubił rozmawiać z taksówkarzami, traktując ich wypowiedzi jako swoisty wskaźnik nastrojów społecznych. Podczas rozmowy z taksówkarzem na Węgrzech, które dwadzieścia parę lat temu uchodziły za kraj wybitnie sprzyjający przedsiębiorczości, usłyszał narzekania na różne aspekty życia społecznego, gospodarczego i politycznego. Zapytał, co zatem należy zmienić, i usłyszał: „najlepiej nic”. Zupełnie odwrotnie brzmiała odpowiedź polskiego taksówkarza, który na takie pytanie entuzjastycznie odpowiedział, że należy zmienić wszystko.

Polska jest jedynym krajem na świecie, który przez prawie trzy dekady stabilnie się rozwijał, a parametr wzrostu gospodarczego jest jednym z kluczowych kryteriów oceny rozwoju kraju. Oczywiście ważne jest, jak wzrost PKB postępuje – czy w warunkach poszanowania norm współżycia społecznego, respektujących potrzeby i możliwości wszystkich pokoleń, a nie tylko tego najbardziej dynamicznego. Rozwój powinien być dostosowany zarówno do oczekiwań mieszkańców wielkich miast, jak i małych miasteczek, które cierpią z powodu odpływu młodych, zdolnych ludzi. Powinien również mieć na względzie ograniczone zdolności przyjmowania industrializacji przez naszą planetę.

**KB:** Niestety, pomimo zwiększonych nakładów na innowacje miejsce Polski w rankingach spada.

**DT:** Kilka lat temu, pisząc raport o naszym kraju jako liderze innowacji w Europie Środkowo-Wschodniej, zastanawiałam się, jaką stworzyć narrację dla Polski<sup>1</sup>. Ten raport i mój wykład na temat innowacji miały zostać przedstawione w Amerykańskiej Izbie Handlowej w Los Angeles, przed jednym z najważniejszych gremiów amerykańskiego biznesu. Rzeczywiście, z jednej strony specjaliści z zakresu rozwoju regionalnego czy transformacji ustrojowych widzą, że Polska jest krajem wyjątkowym, a z drugiej strony my, Polacy, sami często się piętnujemy, niezadowoleni, że w rankingach innowacyjności zajmujemy ostatnie miejsca. A sedno tkwi w tym, co rozumiemy pod pojęciem innowacji. Możemy to pojęcie traktować bardzo wąsko – jako inwestycje przeznaczane na badania i rozwój, innowacje i ich komercjalizację przez przedsiębiorstwa. Ja jednak proponuję definiować innowację w znacznie szerszym aspekcie. Przez innowacje rozumiem nie tylko nowe produkty, usługi i procesy. Dla mnie to przede wszystkim indywidualne i kolektywne uczenie się poprzez współpracę opartą na zaufaniu. Niewielu specjalistów ma takie podejście, a dla mnie to właśnie jest istota innowacyjności. Kiedy analizujemy sytuację z takiej perspektywy, staje się jasne, że w Polsce udało się zmienić znacznie więcej niż tylko stworzyć sektor przedsiębiorczo-

ści (pomińmy w tym momencie fakt, że w rankingach jest on znów postrzegany jako jeden z najmniej innowacyjnych w UE). Samo założenie firmy jest już procesem innowacyjnym. Podobnie jak zwiększanie zatrudnienia, zdolność i gotowość przedsiębiorców, ich pracowników i klientów do tworzenia nowych rozwiązań i ich konsumpcji. W takim rozumieniu innowacje stają się sukcesem całej lokalnej społeczności, nowego rynku. W przypadku Polski

innowacje objęły nie tylko sektor przedsiębiorstw, ale też sektor administracji publicznej. Stworzono szereg instytucji demokratycznych, a tworzenie zrębów demokracji jest bardzo trudne. I równie trudno jest zbudować pokolenie, które rozumie istotę tych nowych instytucji. Polskie innowacje dotyczyły także sektora edukacji. Trzydzieści lat temu nasz system edukacji plasował się poniżej średniej krajów OECD, a w roku 2014 był czwartym najlepszym systemem edukacji w Europie i czternastym na świecie. W Europie wyprzedzały nas jedynie Finlandia, Estonia i Holandia, czyli kraje o kilkumilionowej populacji. Znacznie trudniej jest opracować i wdrożyć masowo dobry system edukacji dla kilkudziesięciomilionowego kraju, jakim jest Polska.

Podsumowując ten wątek, mogę stwierdzić, że Polska jest bardzo innowacyjnym krajem. Świetnie nasz sukces pokazuje najnowszy raport Banku Światowego „Lessons from Poland. Insights for Poland”, w którym podkreśla się bezprecedensowo szybki wzrost zamożności społeczeństwa wraz z utrzymaniem społecznej spójności<sup>2</sup>. Trudno podważyć fakt, że Polska zaledwie przez jedno pokolenie zbudowała system instytucji demokratycznych, zdrowy system finansowy, który jest krwiobiegiem wolnej gospodarki, dynamiczny sektor małych i średnich przedsiębiorstw. Sama kilkanaście lat temu pracowałam przy wdrażaniu nowego systemu kredytowania małych i średnich przedsiębiorstw w dwóch największych bankach w Polsce. Procedury weryfikacji kredytowej były przystosowane do dużych przedsiębiorstw. Jakże trudno było w tym gąszczu dokumentów odnaleźć się małym i średnim przedsiębiorcom, którzy nie zawsze wiedzieli wtedy, co to jest biznesplan czy zdyskontowane przepływy pieniężne. To pokazuje, jak żmudny był to proces, okupiony wielkim wysiłkiem przedsiębiorców. Dzisiaj z ciekawością obserwuję młode polskie firmy technologiczne, które wyruszają na podbój świata, i bardzo im kibicuję. Z podziwem patrzę na młodych Polaków studiujących na uczelniach zagranicznych, bo radzą sobie tam bardzo dobrze. Mam nadzieję, że będą chcieli do Polski wrócić.

**KB:** Teraz na polskie problemy patrzy pani z perspektywy Brukseli i Barcelony.

**DT:** Rzeczywiście od niedawna mieszkam i pracuję w Barcelonie. Śledzę z bliska problemy Katalonii. W październiku ubiegłego roku odbyło się tam referendum, w którym jego uczestnicy w 90 proc.

opowiedzieli się za niepodległością i odłączeniem od Królestwa Hiszpanii jako Republika Katalonii. Każdy naród ma swoje dziedzictwo historyczne i kulturowe, swoją tożsamość narodową. Jako Polka, mając na względzie historię naszej niepodległości, bardzo szanuję marzenia wolnościowe Katalończyków. Jednak musimy pamiętać, że żadne państwo – czy siedmiomilionowe, jakim była-by Katalonia, czy 38-milionowe, jakim jest Polska – nie jest w stanie funkcjonować niezależnie jako byt państwowy i ekonomiczny. W naszej geolokalizacji po prostu nie ma sensownej alternatywy wobec członkostwa w Unii Europejskiej.

W książce „Europe's Crises” (Kryzysy Europy), wydanej w Wielkiej Brytanii przez Polity Press, której jestem współautorką, pokazujemy złożone oblicze nakładających się kryzysów, w tym podstawowy – kryzys marzenia pokolenia, które wyrosło po II wojnie światowej. Różne generacje Europejczyków mają różny stosunek do Europy lat 40. czy 50. To naturalne, że następne pokolenie próbuje swoich sił niejako w kontrze do poprzedniego. Ale w zdrowej demokracji jest miejsce dla zrównoważenia tych sił. Kryzys Europy jest kryzysem tożsamości. Trudno poradzić nam sobie z napływem uchodźców czy migrantów. Z jednej strony podziwiam barwne, wielokulturowe ulice Barcelony, a z drugiej strony wstrząsnął mną ubiegłoroczny atak terrorystyczny, jakiego dokonano na jednej z najpiękniejszych ulic Europy – La Rambl, opodal placu Katalońskiego. Wzbudził on strach, frustrację, protest nie przeciwko konkretnym osobom czy organizacjom, ale przeciwko całemu grupom etnicznym. Z takich nastrojów społecznych musimy zdawać sobie sprawę i musimy się z nimi zmierzyć, bo – czy tego chcemy, czy nie – jest to naturalna ludzka reakcja. Myślę, że słowa papieża Franciszka („Uchodźcy nie są problemem. Są darem”) wyznaczają drogę katolikom i chrześcijanom. Szczególnie Polacy nie powinni zapominać, że jeszcze niedawno to my wyjeżdżaliśmy do Europy i spędzaliśmy całe noce pod ambasadami, starając się o wizę. Empatia i współczucie na poziomie indywidualnym i na poziomie kraju są dowodem istnienia prawdziwego przywództwa. Podziwiam postawę kanclerz Angeli Merkel, która miała odwagę przedstawić jasne stanowisko, wdroić je i zapłacić cenę polityczną. W czasach, kiedy system społeczny i polityczny jest stale atakowany przez narodowców, ekstremistów lub sztuczną inteligencję (jak w przypadku ostatnich wyborów prezydenckich w USA, które były narażone na ustrukturyzowane ataki farm botów), jednostka, która potrafi głosić poglądy wypływające z głębokiego humanizmu, budzi mój szacunek. Kobiety liderki płacą ogromną cenę za odwagę. W naszym świecie nadal obowiązuje myślenie patriarchalne i utrwalone stereotypy. Dyskryminację płci widać gołym okiem na przykładzie różnic w zarobkach za tę samą pracę albo liczby kobiet w zarządach i radach nadzorczych czy w rektorskich togach. Może nawet bardziej niebezpieczne są uprzedzenia subtelne, z których zarówno kobiety, jak i mężczyźni nie zdają sobie sprawy, bo są jak matryce wtopione w nasze DNA poprzez kulturowe wzorce. Kiedy patrzę na moje trzy córki, które inaczej niż ja w ich wieku

postrzegają świat i siebie w tym świecie, jestem zadowolona, że pamięć historyczna jest taka krótka. Dziś wydaje nam się, że kobiety od zawsze miały prawo do głosowania, a przecież w Szwajcarii kobiety po raz pierwszy poszły do wyborów w 1971 r.

**KB: Może dziś kluczem do wzrostu innowacyjności i rozwoju Europy jest zwiększenie roli kobiet?**

**DT:** Carlos Moedas uruchomił niedawno pilotaż nowego instrumentu finansowego Europejskiej Rady Innowacji, polegającego na tym, że spośród wybranych wstępnie 80 projektów wyłonione zostaną najlepsze pod względem potencjału globalnego wzrostu i zdolności do radykalnej innowacji – to one otrzymają wielomilionowe wsparcie. Program jest przeznaczony dla firm, które mają szansę stać się tzw. jednorożcami, czyli firmami o kapitalizacji minimum 1 mld euro. Wyboru dokona ciało eksperckie zdominowane przez kobiety (którego również będę członkiem). I nie jest to przypadek, tylko świadoma decyzja odwrócenia proporcji, które zazwyczaj funkcjonują w gremiach venture capital czy private equity.

Włączenie kobiet w życie gospodarcze jest również ogromną innowacją społeczną i biznesową. Dziesięć lat temu zostałam wybrana przez magazyn „Fortune” i Amerykański Departament Stanu – jako jedna z 17 liderek biznesu z całego świata – do programu mentoringu z Pat Fili-Krushel, wiceprezes Time Warner. Wtedy po raz pierwszy z bliska zetknęłam się z procesem zarządzania kapitałem ludzkim w wielkiej korporacji. Kiedy czytałam artykuły w „Harvard Business Review”, zawsze towarzyszyła mi pewna doza podejrzliwości: co to za korporacyjna propaganda?! Dopiero dzięki Pat mogłam się przyjrzeć, jak na co dzień działają programy wspierające przywództwo kobiet czy programy dbania o młode talenty. Kiedy zauważono, że pewne grupy społeczne nie osiągają wyników adekwatnych do inwestycji w ich rozwój i edukację, wiele firm i instytucji zaczęło wprowadzać specjalne programy skierowane właśnie do nich. Owe trzy grupy to najczęściej kobiety, mniejszości narodowe oraz mniejszości seksualne. Ich członkowie częściej rezygnują z kariery zawodowej, bo spotykają się ze zjawiskiem szklanego sufitu. Dlatego koncern Time Warner dofinansowywał edukację dzieci lub opiekę nad rodzicami, co oczywiście w rezultacie było korzystne dla firmy, bo pracownicy mogli więcej czasu poświęcać pracy. Pat zauważyła jednak, że w rodzinach latynoskich kobiety nie tylko opiekują się swoimi dziećmi i łożą na ich edukację, ale także wspierają rozwój dzieci swoich siostr czy braci. W tej grupie etnicznej rodzina jest szerokim pojęciem. Postanowiła doprowadzić do zmiany polityki firmy, by rozszerzyła pakiety menadżerskie o dofinansowanie opieki nad tzw. osobami zależnymi pracowników. Dzięki temu pracownice Time Warner przekonały się, że pracodawca rozumie ich rolę w rodzinie i ją docenia.

W owym czasie byłam wykładowcą w Szkole Biznesu Politechniki Warszawskiej. Po powrocie z USA zmieniłam program nauczania i włączyłam do niego przykłady z koncernu Time Warner. Kiedy je przytaczałam, moi studenci – a w 90 proc. byli to mężczyźni



(absolwenci PW) – patrzyli na mnie z autentycznym zdziwieniem. Opowiadałam również moją historię. Jako studentka tej szkoły biznesu założyłam jedną z pierwszych w Polsce internetowych sieci kobiet Women MBA Networking. Od tamtego czasu minęło 20 lat. Byłam bardzo dumna, odbierając tytuł Kreatora Innowacji 2014 za innowacje społeczne, czyli stworzenie polskiego oddziału Vital Voices – organizacji, która inwestuje w kobiety poprzez programy mentoringowe takie jak ten, w którym sama uczestniczyłam – oraz za wkład w tworzenie Europejskiego Instytutu Innowacji i Technologii (EIT).

**KB: No właśnie, współtworzyła pani pierwszą instytucję europejską, która miała na sztandarach innowacyjność.**

**DT:** EIT było marzeniem prezydenta Komisji Europejskiej José Manuela Barroso. Chciał stworzyć w Europie instytucję na miarę słynnej amerykańskiej uczelni MIT, zdolnej kształcić nowe pokolenie Europejczyków, które będzie w stanie odpowiedzieć na wyzwania XXI w. Nowa instytucja miała być budowana w oparciu o tzw. trójkąt wiedzy, czyli sieci łączące najlepsze europejskie instytuty badawcze, uniwersytety i przemysł. Przez sześć lat byłam członkiem wykonawczym Rady Zarządzającej EIT. Czuję się jednym z jego architektów zwłaszcza dlatego, że moje polskie korzenie i doświadczenie gospodarczej transformacji pomogły mi przekonać koleżanki i kolegów z EIT, by do trójkąta wiedzy dodać czwarty moduł – przedsiębiorczość. W 2008 r. było to działanie pionierskie w europejskiej polityce innowacji. Dziś doradzam rządowi różnych państw, które chcą włączyć innowacyjną przedsiębiorczość do głównego nurtu swojej polityki. Analizując sukces EIT i tworzonych przez niego Centrów Wiedzy i Innowacji, z ogromną satysfakcją patrzę przede wszystkim na firmy tworzone w tym sieciowym ekosystemie. Potrafiły zebrać 600 mln euro z zewnętrznych funduszy wysokiego ryzyka, stworzyły ponad 6 tys. miejsc pracy bezpośrednich, a na każde z nich przypada 14 miejsc pośrednich. I to jest dopiero początek, bo tam, gdzie model oparty jest na strukturze sieciowej, a spoiwem tych sieci jest przedsiębiorczość, następuje wzrost według modelu wykładniczego, charakteryzujący się tym, że początkowo przebiega wolniej, aż do pewnego punktu przesilenia, za którym następuje przyrost lawinowy. Piszę o tym w mojej książce „Innovation and Entrepreneurship. A Growth Model for Europe Beyond the Crisis” (Innowacje i przedsiębiorczość. Nowy model rozwoju dla Europy po kryzysie), wydanej w Nowym Jorku, z przedmową samego Manuela Castellsa, laureata Nagrody Holberga<sup>3</sup>. W ubiegłym roku odbyła się prezentacja książki we Włoszech i w Belgii. W tym roku książkę zaprezentowała hiszpańskim czytelnikom królewska Fundacja Cotec, a w lutym odbyła się jej premiera w Dubaju, podczas Szczytu Innowacji pod patronatem króla Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

Europa ma nieprawdopodobny potencjał naukowy, ale też problem z postawą wobec ryzyka. Wynika on ze świadomego politycznego wyboru kilku pokoleń optujących za funkcją państwa opiekuńczego, a nie modelem społecznym, w którym obywatel

odpowiada za swoją przyszłość od momentu wyboru szkoły czy kierunków studiów. Państwo opiekuńcze jest wartością Europejczyków, ale z drugiej strony dobrobyt usypia innowacyjność i gotowość podejmowania ryzyka. Problem w tym, że często nawet najbardziej technologicznie zaawansowane rozwiązania nie są w stanie przekuć wiedzy na pieniądze. Społeczeństwo oczekuje, że przedsiębiorca posiadający patent osiągnie zyski, które w skali makro przełożą się na rozwój gospodarczy kraju i wzrost liczby miejsc pracy. W Europie często nie ma społecznego przyzwolenia na poniesienie porażki. Zaś w Dolinie Krzemowej porażki są tak samo wartościowe jak sukcesy, bo świadczą o gotowości poniesienia ryzyka i zdobytym doświadczeniu.

**KB: A jak to wygląda w Chinach, których gospodarka wystrzeliła właśnie zgodnie z modelem wykładniczym? Czy z chińskich doświadczeń płynie nauka dla Europy?**

**DT:** Chińska kultura jest kolektywna. Byłam w Chinach dwukrotnie. Za pierwszym razem miałam okazję odwiedzić tuzin najlepszych uniwersytetów w Chinach i Hongkongu. Spotykałam się też z przedsiębiorcami, aby zrozumieć, na czym polega nieprawdopodobny gospodarczy sukces Chin. Odpowiedź jest z pozoru prosta. Chińczycy specjalizują się w „innowacjach kosztowych”, co oznacza, że potrafią wyprodukować daną rzecz o wiele taniej (czynnik jakości często sprowadzając na dalszy plan). W Europie takie działania nazywamy kradzieżą myśli technicznej, a w najlepszym razie kopiowaniem. W Chinach jest powodem do dumy, że inżynierowie za ułamek ceny potrafią zbudować produkt o porównywalnej funkcjonalności. Krótko mówiąc, chińscy przedsiębiorcy potrafią wdrożyć szybko i skutecznie amerykańskie i europejskie pomysły, dostosowując je do uwarunkowań chińskiego rynku. Powróćmy do podstawowego pytania: co jest celem innowacji? Czy zwiększenie nakładów na badania i rozwój, czy opracowanie i opatentowanie absolutnie nowatorskiej metody lub pomysłu? A może zaspokojenie konkretnej potrzeby konsumentów? Innowacje czy przedsiębiorczość nie są celem samym w sobie. W centrum procesu powinien być człowiek, wspólnota ludzi, społeczeństwo. Trzeba zawsze odpowiedzieć na pytanie, gdzie tworzy się wartość z punktu widzenia firmy i potrzeb jej klientów, jak i z punktu widzenia gospodarki i potrzeb obywateli. Jako szefowa doradców komisarza Moedasa dyskutuję wraz z moimi znakomitymi kolegami o wizji strategicznej dla Europy. Coraz mocniej wyrażane są poglądy, że nauka i innowacje mają być utylitarne, wręcz misyjne. Uważamy, że system nauki i innowacji w Europie powinien obecnie przejść wielką transformację: od tworzenia instytucji do tworzenia kultury instytucji, od inwestycji w technologie i naukę do inwestycji w ludzi i dla ludzi. „Przyszłość Europy. Otwarta nauka. Otwarte innowacje. Otwarcie na świat” – tak po polsku brzmi tytuł książki, którą wydaliśmy w maju zeszłego roku. W Polsce również obok polityki krótkoterminowej, która daje odpowiedź, co i jak robimy, powinna istnieć polityka długoterminowa, która daje odpowiedź, dlaczego coś robimy.

**KB:** Jaka przyszłość rysuje się przed Europejczykami?

**DT:** Świat dzisiaj wygląda zupełnie inaczej niż choćby 10 lat temu. Upowszechniły się nowe formy relacji międzyludzkich, związane z rozwojem cyfrowych technologii mobilnych. Jednostka potrafi się masowo komunikować. Każdy z użytkowników mediów społecznościowych może stać się globalnym mikrocentrum tworzenia myśli, polityki, ruchów społecznych. Prof. Manuel Castells w swojej książce „Communication Power” pokazuje, jak od jednego SMS-a zaczęła się Arabska Wiosna Ludów. Dzisiaj internetowa społeczność ma możliwość wypowiadania się na każdy temat, ma także moc sprawczą. Szczególnie ważne jest to dla rozwoju miast, które są swoistymi laboratoriami tworzenia polityki wspólnie z obywatelami. Dobrym przykładem może tu być Barcelona lub Amsterdam, które już od lat w nowatorski sposób podchodzą do procesu współpracy z mieszkańcami, do myśli urbanistycznej, do procesów *smart city*. Warto zauważyć, że tak jak w biznesie większe sukcesy będą odnosić firmy, które swoje produkty współtworzą ze swoimi klientami (tzw. *user-driven innovation*), tak większy sukces odniosą te miasta, regiony czy państwa, których władarze będą potrafili wspólnie z obywatelami tworzyć politykę. Nie chodzi tu o konsultacje społeczne, które znamy z praktyki unijnej czy krajowej. Bliższe temu modelowi są budżety partycypacyjne, wprowadzane już przez polskie miasta. Barcelona idzie dalej, tworzy laboratoria innowacji – Fab Laby, które prowadzą różne programy edukacyjne i badawcze mające na celu odrodzenie mikrospołeczności miejskich. Chodzi o reaktywację rzemiosła i małej

wytwórczości, aby z powrotem do miast sypialni wprowadzić życie. Okazuje się, że są ludzie, którzy chcą produkować lokalnie, i są grupy konsumentów chętnych korzystać z oferty lokalnych wytwórców. Podobną sytuację mamy na przykład na rynku muzycznym. Model biznesowy długiego ogona (ang. *long tail*), polegający na sprzedaży internetowej dużej liczby produktów niszowych, spowodował, że w warunkach dominacji wielkich koncernów medialnych każdy muzyk może wydać swoją płytę i odnieść sukces komercyjny. W ten sposób koegzystują wielkie koncerny, małe wytwórnie i pojedynczy muzycy. Podobnie rzecz ma się z miastami. Nadal niezbędne są sektory, które muszą być zarządzane przez zhierarchizowane struktury samorządowe, ale powinny dojść do głosu również ruchy miejskie, aby mieszkaniowiec czuł się podmiotem, a nie przedmiotem działań władarzy. Wszak miasto jest dla ludzi, więc nowoczesny kapitalizm musi doceniać i szanować prawo jednostki do poszukiwania szczęścia.

Innowacje czy przedsiębiorczość nie są celem samym w sobie. W centrum procesu powinien być człowiek, wspólnota ludzi, społeczeństwo – klienci, gospodarka, obywatele.

**KB:** Czy świat urządzony przez kobiety byłby inny?

**DT:** Tak, na pewno. Pytanie, czy byłby lepszy. To, że ktoś jest kobietą, nie oznacza, że będzie lepszym liderem czy politykiem. Z drugiej strony badania pokazują, że jeżeli rady nadzorcze czy zarządy dużych firm są obsadzone w odpowiedniej liczbie (minimalnie krytycznej) przez kobiety, to firmy te osiągają lepsze wyniki finansowe w długim terminie. Podobnie w innowacjach – nie ma możliwości tworzenia innowacji bez różnorodności. Zespoły jednorodne pod względem wykształcenia, doświadczenia zawodowego, pochodzenia społecznego, narodowościowego, kulturowego rzadko są kreatywne w porównywalnym stopniu do zespołów różnorodnych. Element twórczego fermentu pojawia się dopiero wtedy, kiedy do zespołu wchodzi obcy, inny. Regis McKenna – ikona Doliny Krzemowej, współtwórca m.in. reklamy pierwszego komputera personalnego Apple Macintosh, wyemitowa-

nej jeden jedyny raz, odwołując się do powieści Orwella „Rok 1984” – przekonał mnie, że różnorodność jest elementem kluczowym w procesie kreacji. W tej właśnie reklamie sportsmenka ucieka przed armią quasi-robotów. Aby kobiety stawały się dobrymi liderkami, potrzebne jest odpowiednie wsparcie na drodze rozwoju osobistego i zawodowego. Po powrocie z programu mentoringu z Pat Fili-Krushel miałam wielką potrzebę podzielenia się zdobytymi doświadczeniami z Polkami. Założyłam więc fundację, która wprowadziła w Polsce program Vital Voices, czyli organizacji skupiającej 40 tys. liderek na całym świecie, które odbyły szkolenia mentoringowe. Vital Voices Poland przeprowadziło takie szkolenia dla kilkuset Polek, Ukrainek, Gruzinek. Mam zaszczyt

należać do elitarnego grona Vital Voices Fellows, czyli grupy 100 kobiet na świecie, które potrafiły zmieniać rzeczywistość innych kobiet liderek. Moja mentorka powiedziała, że nigdy nie osiągnęłaby pozycji wiceprezesa Time Warner, gdyby nie wsparcie, które otrzymała od innych kobiet. Sama, czując się liderką, staram się wspierać inne kobiety. Jeżeli tylko kobiety będą się wspierać, to można oczekiwać wielu obiecujących zmian w świecie, który – jak nigdy wcześniej – jest absolutnie nieprzewidywalny, bo procesy trwające dawniej przez lata dziś zachodzą w tempie milisekund.

<sup>1</sup> <http://ceedinstitute.org/report/1841>

<sup>2</sup> [http://www.worldbank.org/en/country/poland/publication/lessons-from-poland-insights-for-poland?cid=EXT\\_WBSocialShare\\_EXT](http://www.worldbank.org/en/country/poland/publication/lessons-from-poland-insights-for-poland?cid=EXT_WBSocialShare_EXT)

<sup>3</sup> <https://www.amazon.com/Innovation-Entrepreneurship-Growth-Europe-Beyond/dp/0692419802>



# Piękno i brzydota



**W**spółczesną gospodarkę światową cechują narastający dynamizm i przełomowy charakter przemian, kreowanych przede wszystkim przez rewolucję cyfrową, przez Internet. Świat doświadcza tzw. czwartej rewolucji przemysłowej (Przemysł 4.0). Dzięki Internetowi rozwijają się gospodarka współdzielenia (ang. *sharing economy*), sieci społecznościowe i Internet Rzeczy (*Internet of Things*). Towarzyszą temu opisywane przez znanego ekonomistę i futurologa Jeremy'ego Rifkina spadające do niemal zerowego poziomu koszty krańcowe. To tylko niektóre przejawy fundamentalnych zmian w funkcjonowaniu gospodarki i społeczeństwa<sup>1</sup>.

W charakterystykach i analizach głębi przemian, jakie przynosi rewolucja cyfrowa, często podkreśla się, że największa na świecie firma taksówkowa, Uber, nie ma własnych taksówek, najpopularniejszy na świecie serwis społecznościowy, Facebook, sam nie produkuje żadnych treści, wielki światowy potentat handlu detalicznego, Alibaba, nie posiada zapasów towarów i wreszcie największy na świecie dostawca usług dotyczących zakwaterowania, Airbnb, nie posiada hoteli.

Postępujące w wyniku rewolucji cyfrowej fundamentalne zmiany są przejawami przechodzenia od wzorca cywilizacji przemysłowej do nowego, poprzemysłowego modelu rozwoju, czyli nowego modelu gospodarki. Sprawia to, że rozwiązania instytucjonalne, w tym regulacyjne i inne, stosowane w polityce społeczno-gospodarczej, coraz częściej okazują się nieprzystające do wymogów tego nowego modelu. Mamy bowiem do czynienia z przesieleniem cywilizacyjnym<sup>2</sup>. W takich warunkach dochodzi do swego rodzaju regresji kulturowej, zjawiska kulturowego zakotwiczenia, blokady (ang. *lock-in effect*), zamknięcia w dotychczasowych ramach systemowych oraz przyjmowanych w podejmowaniu decyzji priorytetach, rozwiązaniach i narzędziach<sup>3</sup>. Praktyka wykazuje, że w warunkach nowej gospodarki tradycyjne rozwiązania i narzędzia okazują się nie tylko nieskuteczne, ale wręcz zwiększają ryzyko błędnych decyzji społeczno-gospodarczych, podejmowanych na różnych szczeblach instytucjonalnych. Skutkuje to brakiem harmonii między wzrostem gospodarczym a postępowaniem społecznym oraz technologicznym. Potwierdzają to m.in. analizy dotyczące zjawiska uberyzacji i raczej nieudolne (przynajmniej dotychczas) próby

# cywilizacji cyfrowej

jego efektywnego włączenia w tryby tradycyjnej gospodarki<sup>4</sup>. Charakterystyczna jest tu skłonność do uciekania się w polityce regulacyjnej do zakazów dla tego typu nowej formy działalności lub jej znacznego ograniczania. Ma to niekiedy symptomy swego rodzaju neoluddyzmu, czyli ruchu ukierunkowanego na zamknięcie się na nowe, na postęp, co blokuje poszukiwanie rozwiązań umożliwiających efektywne wykorzystanie nowych technologii i nowych form działalności gospodarczej.

*Lock-in effect* może być w pewnym stopniu wyjaśnieniem meandrów w polityce społeczno-gospodarczej na poziomie krajowym i globalnym oraz słabości funkcjonowania instytucji państwa. Zwraca na to uwagę Michael Sandel, konstatując, że „polityka jest gorączkowa, bo jest pusta, pozbawiona treści moralnej i duchowej. Nie radzi sobie z wielkimi pytaniami, które są ważne dla ludzi [...]. Moralna pustota współczesnej polityki ma kilka przyczyn. Jedną z nich jest próba wykluczenia pojęcia dobrego życia z publicznego dyskursu”<sup>5</sup>. Historia świata dowodzi bowiem, że prawie każdy głęboki przełom, głęboka transformacja gospodarcza, technologiczna, polityczna czy ustrojowa zwiększa ryzyko destrukcji i chaosu w systemie wartości społecznych, czyli anomii. Na to nakłada się destrukcyjne dla systemu wartości utowarowienie wszystkiego. Już czysto etymologiczna analiza pojęcia anomii wskazuje na destrukcyjne cechy tego zjawiska. To pochodzące z greki słowo (*a* – „bez”, *nomos* – „prawo”) oznacza w dosłownym sensie nieobecność prawa. Nie jest to jednak równoznaczne z bezprawiem. Już bowiem starożytni przestrzegali, że „przy największym państwa nierzędzie najliczniejsze były prawa”.

Nasilanie się anomii ma obecnie wymiar globalny, choć pro-anomijne czynniki są wysoce zróżnicowane pod względem ich charakteru, zakresu i siły oddziaływania w poszczególnych krajach. Anomijne zjawiska wynikają także z cech charakteryzujących wolny rynek. Bardzo wyraziście przedstawiają tę kwestię dwaj nobliści: George A. Akerlof i Robert J. Shiller w książce „Złowić frajera. Ekonomia manipulacji i oszustwa”<sup>6</sup>. Już sam wielce wymowny tytuł wskazuje na etyczno-moralne podłoże rozważań. Autorzy odcinają się od charakterystycznego dla neoklasycznej teorii ekonomii dogmatu wolnego rynku, wskazując na jego immanentne dysfunkcje. Ich przykładem są codzienne przejawy rozmaitych, barwnie w książce opisywanych oszustw, przekrętów i manipulacji rynkowych (określanych jako *phishing*). Rewolucja cyfrowa i jej podstawowe narzędzie, czyli Internet, tworzą dodatkowe ku temu okazje. Wystarczy choćby wskazać

na zjawisko internetowych fake newsów, tj. celowych oszustw i dezinformacji, oraz zjawisko internetowego hejtu, czyli przejawy agresji i nienawiści. Zarazem jednak rewolucja cyfrowa sprzyja wykrywaniu, wizualizacji i nagłaśnianiu manipulacji, co może tworzyć lepsze warunki przeciwdziałania im.

W takiej sytuacji najważniejsze jest zatem, aby potencjał rewolucji cyfrowej był należycie wykorzystywany, w sposób ukierunkowany na poprawę jakości życia ludzi, humanitaryzm i ograniczanie anomijnych destrukcji. I oby straciła na aktualności, niestety prorocza, refleksja Alberta Einsteina, który już w 1946 r. pisał: „Jestem przekonany, że przerażający upadek moralności, jakiego jesteśmy świadkami w dzisiejszych czasach, jest rezultatem mechanizacji i dehumanizacji naszego życia – zgubnych produktów ubocznych mentalności naukowo-technicznej. *Nostra culpa!*”<sup>7</sup>. Aby owa dehumanizacja nie była rzeczona naszą winą, niezbędna jest zasadnicza zmiana w kształtowaniu kierunków rozwoju społeczno-gospodarczego. Stanowi to wielkie wyzwanie dla wszystkich głównych aktorów życia społeczno-gospodarczego. Ale zarazem każdy z nas z osobna ma tu sporo do zrobienia. Każdy bowiem może dołożyć przysłowiową cegiełkę w budowaniu lepszego, humanitarnego świata. I takie właśnie działania mogą być uznane za rzeczywisty sukces.

Prof. zw. dr hab. Elżbieta Mączyńska – ekonomistka, wykładowczyni w Instytucie Finansów Korporacji i Inwestycji Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie, prezes Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, członek Narodowej Rady Rozwoju przy Prezydencji RP.

<sup>1</sup> J. Rifkin, *Spółczesność zerowych kosztów krańcowych. Internet przedmiotów. Ekonomia współdzielenia. Zmierzch kapitalizmu*, Wyd. Studio Emka, Warszawa 2016.

<sup>2</sup> J. Kleer, *Cywilizacja i ich przesilenia*, „Studia Ekonomiczne INE PAN” 2016, nr 1, s. 52.

<sup>3</sup> J. T. Hryniewicz, *Stosunki pracy w polskich organizacjach*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2012.

<sup>4</sup> *Uberworld, The world's most valuable startup is leading the race to transform the future of transport*, „The Economist”, 3.09.2016.

<sup>5</sup> M. J. Sandel, *Czego nie można kupić za pieniądze. Moralne granice rynku*, Kurhaus Publishing, Warszawa 2012, s. 26.

<sup>6</sup> G. J. Akerlof, R. Shiller, „Złowić frajera. Ekonomia manipulacji i oszustwa”, PTE, Warszawa 2017.

<sup>7</sup> List Alberta Einsteina do Ottona Juliusburgera z 11.04.1946, cyt. za: A. Calaprice, „Einstein w cytatach. Pełne wydanie”, Poltext, Warszawa 2014, s. 373.

# Czy (polska) jakość jest w cenie?



Dr Jarosław Górski

lubimy myśleć o sobie jako o rozważnych, świadomych konsumentach. Przekornie można rzec, że im więcej pieniędzy wydajemy, tym bardziej potrzebujemy sami przed sobą uzasadnić, że nasze wydatki były rozsądne. Podstawowymi kryteriami, którymi się kierujemy w codziennych zakupach, zawsze były, są i pewnie będą cena i jakość. Co jest jednak ważniejsze? O naszych wyborach decyduje niska cena za odpowiednio wysoką jakość czy możliwie wysoka jakość przy założonej, odpowiednio niskiej cenie? I czym właściwie jest jakość? Jaki związek z jakością ma patriotyzm zakupowy?

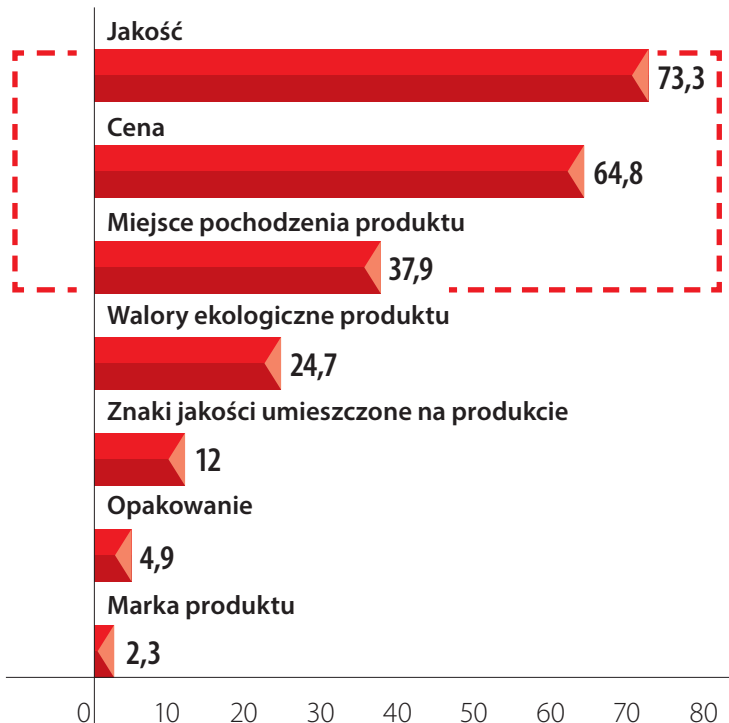
## Po pierwsze jakość

Od kilku lat obserwujemy (na podstawie wyników prowadzonych badań rynku), że Polacy coraz częściej wskazują na jakość, a nie na cenę, jako podstawowe kryterium swoich wyborów konsumenckich. Tego rodzaju deklaracja może być odzwierciedleniem rzeczywistości, jak również przekonania konsumentów, że zakupy, które robią, są dokonywane w racjonalny sposób i powinny sprostać ich oczekiwaniom.

Badanie przeprowadzone we wrześniu 2017 r. przez firmę ASM – Centrum Badań i Analiz Rynku na zlecenie Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego wykazało, że jakość, cena i miejsce pochodzenia produktu to trzy czynniki tworzące – w tej właśnie kolejności – podium najważniejszych kryteriów wpływających na dokonywanie zakupów codziennego użytku przez

## Czym kierują się konsumenci, robiąc zakupy codziennego użytku?

(N=1000, w %)



Odpowiedzi nie sumują się do 100%, ponieważ badani mogli wskazać więcej niż jedną odpowiedź; zaprezentowano wskazania  $\geq 2,3$ .

Źródło: badanie omniASM, ASM – Centrum Badania Rynku

Polaków (badani mogli wskazać więcej niż jedną odpowiedź). Co ważne, ponad 88 proc. respondentów jest skłonnych zapłacić więcej za produkt wysokiej jakości. Czy z tego wynika, że wystarczy dostarczyć wyższą jakość, a gros konsumentów po prostu za nią zapłaci? Niestety, to nie jest takie proste. Po pierwsze, każdy konsument ma pewien limit wydatków wynikający z możliwości finansowych i optymalizuje swój wybór, balansując między parametrami ceny i jakości. Po drugie, nie zawsze wiemy, w jakich proporcjach rosną oczekiwania klienta odnośnie jakości, gdy uda nam się go nakłonić do zapłacenia wyższej ceny. Po trzecie i najważniejsze, czym jest ta jakość, za którą klient mógłby chcieć zapłacić więcej?

## Jakość, czyli co?

Naukowcy z Politechniki Rzeszowskiej pokazali (na niewielkiej, niereprezentatywnej próbie konsumentów), że dla 4 na 10 konsumentów jakość produktu oznacza właściwe jego wykonanie oraz gwarancję niezawodności<sup>1</sup>. Jednocześnie mniej więcej co trzeci respondent twierdzi, że jakość produktu jest zdolnością do zaspokojenia potrzeb i zapewnienia satysfakcji klienta. Z rozkładu odpowiedzi na pytanie o najbardziej pożądane cechy produktów wysokiej jakości wynika, że 31 proc. ankietowanych uznało,



że najważniejsza dla nich jest niezawodność produktu. Bardzo ważnymi cechami są także trwałość (25 proc.) i praktyczność (20 proc.) przedmiotu. Z kolei 16 proc. badanych stwierdziło, że dobro wysokiej jakości powinno być funkcjonalne. W sumie można jednak zaryzykować stwierdzenie, że dla 100 proc. konsumentów jakość jest zaspokojeniem potrzeb. Dlaczego? Dlatego że najlepszą miarą jakości jest satysfakcja klienta, która ma jednak różne źródła – niekiedy jest to trwałość produktu, innym razem prestiż usługi czy design opakowania wyrobu.

William Edwards Deming, amerykański guru zarządzania jakością, definiował dobrą jakość jako „przewidywalny stopień jednorodności i niezawodności przy zachowaniu standardu jakości dostosowanego do potrzeb klienta”. We współczesnych podejściach do jakości dominuje takie właśnie spojrzenie: wysoka jakość jest pojęciem względnym, a ustalenie jednoznacznego katalogu cech jakościowych produktu czy usługi nie jest możliwe, gdyż konsumenci mogą się różnić w ocenie tego, co jest dla nich ważne. Różnice w oczekiwaniach konsumentów są wodą na młyn zarówno polityki jakości, jak i marketingu – firmy otrzymują impuls, aby modyfikować i dostosowywać swoją ofertę, specjalizować się w dostarczaniu najwyższej jakości w wybranych aspektach, ulubionych i szczególnie ważnych dla określonych grup klientów. W efekcie prowadzi to do różnicowania nie tylko oferty (coraz większej specjalizacji), lecz również oczekiwań klientów. W pewnym momencie możliwości różnicowania oferty na poziomie podstawowych jej cech funkcjonalnych wyczerpują się lub przynajmniej ulegają znacznemu ograniczeniu. Ile bowiem może być wersji smakowych jogurtów albo kolorów tapicerki w samochodzie? W jakim stopniu dostarcza to satysfakcji klientom? Paradoksalnie nieustanna pogoń za wysoką jakością może prowadzić do upodabniania, a nie różnicowania oferty. Tak jest w przypadku kopiowania od konkurentów pewnych sprawdzonych rozwiązań, które spodobały się klientom i są przez nich poszukiwane. Sytuacja dotyczy np. rynku sklepów detalicznych, co zauważyli analitycy z Melting Pot<sup>2</sup>. W walce konkurencyjnej sieci sklepów bardzo się do siebie upodobniły, zarówno na poziomie lokalizacji, formatów, jak i ceny oraz jakości. Trudno już jednoznacznie powiedzieć, czym różnią się sklepy osiedlowe od dyskontów, markety od dyskontów, a czym delikatesy od hipermarketów. Kiedy konkurencja jest szalona, klienci są zazwyczaj zadowoleni, jednak producenci znacznie mniej, bo ich rentowności zniżują. Rozwiązaniem jest jeszcze ściślejszy mariaż marketingu i zarządzania jakością: badania rynkowe muszą dostarczyć wiedzy (czasem opartej na subtelnych sygnałach konsumenckich, tzw. insightach) o tym, co może być źródłem satysfakcji konsumenta, a co nie jest po prostu zwykłą jego cechą, dostarczoną na wysokim poziomie (jak np. smak jedzenia czy krój ubrania). A przecież stopień spełnienia oczekiwań klienta (w powtarzalny i charakterystyczny sposób) to nic innego, jak miara dostarczonej jakości.

### Czy konsumenci zwracają uwagę na kraj pochodzenia produktów, dokonując codziennych zakupów? (N=1000, w %)



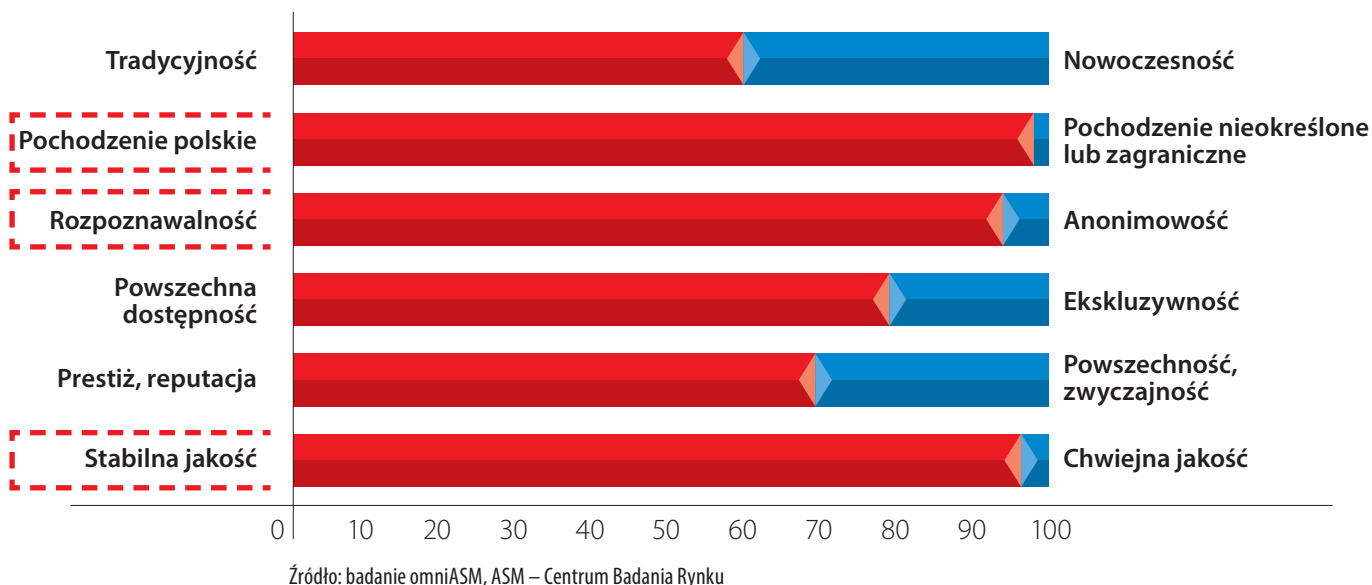
Źródło: badanie omniASM, ASM – Centrum Badania Rynku

### Spełnienie nieoczywistych oczekiwań

Pytanie, czy klienci kierują się przede wszystkim jakością, czy ceną, można zatem sprowadzić do innego pytania: czy dla klientów najważniejszy jest założony budżet na zakupy, czy też jakiś stopień spełnienia ich oczekiwań, nie zawsze dobrze uświadomionych, nazwanych, wysłowionych? Co interesujące, z faktu, że konsumenci mają ograniczone możliwości pełnego rozeznania, jakie aspekty jakości są dla nich rzeczywiście ważne i ile są warte, wynika również, że nie zawsze utożsamiają wysoką jakość z wysoką ceną. Choć – jak wspomniałem – 88 proc. konsumentów wyraża gotowość do płacenia wyższej ceny za wysoką jakość<sup>3</sup>, to jednak można podejrzewać, że tylko nieznacznie ponad połowa konsumentów uznaje, że wysoka jakość idzie w parze z wysoką ceną produktu<sup>4</sup>. Co więcej, oferowanie wysokiej jakości nie jest czynnikiem gwarantującym lojalność konsumentów. Z cytowanych badań konsumenckich Politechniki Rzeszowskiej wynika, że zaledwie 1/3 ankietowanych wykazuje pewien stopień lojalności konsumenckiej względem firm i marek, które oferują produkty wysokiej jakości.

Walka o uznanie jakości i przywiązanie do niej konsumentów trwa w najlepsze. Jest to proces, który długofalowo jest korzystny dla wszystkich uczestników rynku. Prowadzi on także do ujawnienia pewnych kryteriów jakości oferty rynkowej, które dawniej

Z jakimi cechami konsumenci kojarzą produkty/usługi nagrodzone Godłem „Teraz Polska”? (N=1000, w %)



pozostawały w cieniu „klasycznych” wymiarów jakości, takich jak trwałość, solidność, niezawodność.

## Kraj pochodzenia jako obietnica jakości

Jednym z niedostatecznie docenianych przez wiele lat kryteriów jakości jest kraj pochodzenia oferty. O tym, że jest to ważny wymiar, świadczy fakt, że coraz więcej konsumentów nie tylko zwraca uwagę na kraj pochodzenia, ale też ma preferencje w tej kwestii. Ponad 83 proc. ankietowanych twierdzi, że zwraca uwagę na kraj pochodzenia podczas zakupów produktów codziennego użytku, a niemal 9 na 10 osób zgadza się z opinią, że „mając możliwość wyboru, należy kupować produkty polskiego pochodzenia” (w tym ponad 50 proc. zdecydowanie się zgadza)<sup>5</sup>.

Wyniki te znajdują potwierdzenie w innych badaniach konsumenckich. Coraz więcej Polaków deklaruje, że polskość marki zachęca ich do jej zakupu. W roku 2016 było to 6 na 10, w 2017 – już 7 na 10 badanych<sup>6</sup>. Aż 83 proc. z nas uważa, że kupowanie produktów zagranicznych osłabia pozycję Polski; 3 na 4 osoby stwierdziły też, że na rynku polskim można znaleźć odpowiedniki większości zagranicznych produktów. Co ciekawe, badani nie zawsze trafnie potrafili zidentyfikować polską markę, choć ok. 2/3 osób rodzimy produkt utożsamia z produkowaniem w Polsce przez firmy z polskim kapitałem. Jednocześnie prawie 3/4 konsumentów nie lubi, gdy polskie marki przyjmują obco brzmiące nazwy<sup>7</sup>.

Z czym kojarzą się polskie produkty? Przede wszystkim z wysoką jakością, niezależnie od kategorii produktowej – od żywności, przez odzież, chemię gospodarstwa domowego, po leki i usługi telekomunikacyjne (choć oczywiście różne są wymiary jakości w zależności od branży).

Kraj pochodzenia ma największe znaczenie w przypadku produktów spożywczych (68 proc.), AGD i RTV (68 proc.) oraz kosmetyków, odzieży i obuwiu (po 61 proc.). Z roku na rok wybieranie polskich

artykułów spożywczych coraz częściej jest uzasadniane patriotyzmem zakupowym. Polskie produkty spożywcze cieszą się bardzo dobrą opinią. Oceniane są jako zdrowsze (90 proc.), lepszej jakości (87 proc.), a jednocześnie tańsze (73 proc.). O tym, że pochodzenie artykułów spożywczych z Polski zachęca do ich zakupu, jest przekonanych 60 proc. osób. Tylko dla co trzeciego badanego polska produkcja nie ma wpływu na decyzję o zakupie. Niewielka grupa Polaków deklaruje, że polskie pochodzenie zniechęca ich do zakupu różnych produktów (11–18 proc.)<sup>8</sup>. Aż 87 proc. z nas deklaruje, że mając do wyboru produkty spożywcze w tej samej cenie, wybiera produkt polski. Podobnie jest z ubraniami i kosmetykami: 3 na 4 konsumentów, mając do wyboru produkt polski i zagraniczny w tej samej cenie, wybierze produkt polski. O tym, że zawsze warto zapłacić więcej, jeżeli droższy produkt będzie wyższej jakości, przekonanych jest 88 proc. badanych (50 proc. raczej się zgadza z taką tezą, a 38 proc. zdecydowanie się zgadza)<sup>9</sup>.

Na jakie przeszkody trafia osoba, która chce kupować polskie produkty? Jedynie 8 proc. badanych wskazuje na gorszą jakość polskich produktów, 28 proc. badanych – na zbyt wysoką cenę, zaś 33 proc. – na niedostępność polskich produktów w sklepach. Co czwarty badany nie dostrzega żadnych przeszkód<sup>10</sup>.

## Kupowanie z sensem, czyli patriotyzm jako przesłanka zakupowa

Niektórzy konsumenci wybierają produkty krajowego pochodzenia nie tylko dlatego, że są dla nich obietnicą wysokiej jakości, ale także z uwagi na przesłanki moralne. Wierzą, że wybór krajowych produktów jest słuszny, ma uzasadnienie we wspieraniu rynku pracy i wzmacnianiu rodzimej wytwórczości. Taka postawa wpisuje się w szerszy nurt nazywany *meaningful economy*, czyli ekonomią sensu. Konsumenci chcą, by ich zachowania miały jakiś sens, pewien szerszy wymiar, np. były użyteczne dla wybranych

grup społecznych, etyczne, zgodne z przesłankami ekologicznymi czy patriotycznymi. Poczucie patriotyzmu wiąże się u Polaków z kupowaniem krajowych produktów (60 proc.) oraz spędzaniem wakacji w kraju (58 proc.), natomiast w znacznie większym stopniu – z wywieszaniem flagi z okazji święta państwowego, głosowaniem w wyborach czy śledzeniem wydarzeń sportowych z udziałem krajowej reprezentacji<sup>11</sup>.

## Patriotyczny konsument

Kim są patriotyczni konsumenci, dla których polskie pochodzenie jest istotnym kryterium decyzji konsumenckich, ważną cechą uzupełniającą jakość produktów? „Zawsze sprawdzam, z którego kraju pochodzi kupowany produkt”, „Mając wybór, wybieram rzeczy wyprodukowane w Polsce” – takie odpowiedzi, według wyników badania IMAS International z 2016 r.<sup>12</sup>, częściej udzielane są przez kobiety, przez osoby w wieku 30 plus (szczególnie zaś w grupie 60 plus), przez osoby pracujące na pełnym etacie lub będące na emeryturze, osoby żonate i zamężne, posiadające dzieci i żyjące w dużych gospodarstwach domowych. Wyższemu poziomowi patriotyzmu konsumenckiego sprzyja wyższe wykształcenie, a także wyższy wiek: zarówno pokolenie *baby boomers* (urodzeni w latach 1946–1964), jak i pokolenie X (1965–1984) cechuje istotnie wyższy patriotyzm konsumencki od pokoleń Y (1985–1994) oraz Z (od 1995 r.).

## Krajowy + wysokiej jakości = ?

Jest korzystne dla konsumenta, kiedy może on, przy założonym budżecie, dokonywać wyborów racjonalnych z punktu widzenia optymalnego zaspokojenia swoich potrzeb i oczekiwań, czerpiąc jednocześnie dodatkową satysfakcję z tego, że jego wybory zakupowe mają sens, czyli wychodzą naprzeciw pewnym ważnym kryteriom społecznym. Takie motywy zachowań konsumenckich bez wątpienia stoją u podstaw czegoś, co można nazwać modą na polskość, ale też są źródłem sukcesów certyfikatów jakości, które gwarantują nie tylko wysoką jakość, ale również związki z krajową wytwórczością.

Takim certyfikatem jest Godło „Teraz Polska”. Nagrodzone nim produkty i usługi kojarzone są przede wszystkim z polskim pochodzeniem, stabilną jakością i rozpoznawalnością (tak twierdzi ponad 90 proc. respondentów). Istotnymi cechami wyróżniającymi ofertę oznaczoną biało-czerwonym Godłem „Teraz Polska” są również powszechna dostępność, prestiż i reputacja.

Warto zauważyć, że zachodzi wysoka zgodność postrzegania Godła „Teraz Polska” przez konsumentów oraz producentów nagrodzonych produktów i usług. Z badania przeprowadzonego w 2016 r. na grupie 50 laureatów Konkursu „Teraz Polska” wynika, że najczęściej wymienianymi skojarzeniami z Godłem „Teraz Polska” są: polskie pochodzenie, prestiż i stabilna, wysoka jakość. Zaufanie konsumentów, prestiż i rozpoznawalność tego certyfikatu jakości są zresztą kluczowymi motywami, dla których przedsiębiorstwa biorą udział w Konkursie „Teraz Polska”. Możliwości wyróżnienia

się jakością i jej promowania oraz prezentacji polskich tradycji są dla laureatów kluczowymi argumentami za potrzebą oznaczania polskiego pochodzenia, nie tylko na rynku krajowym, ale także w działalności eksportowej.

## Polska jakość doceniana i w cenie

Podsumowując, należy zauważyć, że konsumenci są skłonni zapłacić więcej za produkty wyższej jakości. Co więcej, drogą do pokazania i uwiarygodnienia obietnicy wysokiej jakości jest stosowanie przez producentów nie tylko certyfikatów jakości, ale także oznaczenia pochodzenia produktów. Zważywszy na rosnącą modę na polskość, sam fakt krajowego pochodzenia produktu może stanowić dla konsumenta nie tylko obietnicę wysokiej jakości, ale także czynnik jakości sam w sobie. Jak pokazują współprowadzone przeze mnie badania eksperymentalne dotyczące zakupów produktów spożywczych i ubrań polskiego i zagranicznego pochodzenia, konsumenci mają tendencję do wybierania produktów krajowych, jeżeli nie widzą istotnych różnic w jakości. Jeżeli natomiast polskie pochodzenie może sygnalizować wyższą jakość (np. walory zdrowotne czy solidniejsze wykonanie), znak „made in Poland” jest zachętą do zapłacenia wyższej ceny. Badania rynkowe pokazują, że Godło „Teraz Polska” jest wiarygodnym oznaczeniem wysokiej i stabilnej jakości, rozpoznawalności, polskiego pochodzenia i prestiżu. Jest doceniane i poszukiwane przez konsumentów, obdarzane zaufaniem przez producentów.

Dr Jarosław Górski – ekspert z zakresu marketingu terytorialnego, adiunkt na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego, członek zarządu Fundacji Best Place – Europejskiego Instytutu Marketingu Miejsc, doradca prezesa Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego.

<sup>1</sup> Dominik Zimon, Łucja Gawron-Zimon, Karolina Szczygieł, *Wpływ jakości produktów na zachowania konsumentów*, „Kwartalnik Nauk o Przedsiębiorstwie”, 2014, nr 4 (56).

<sup>2</sup> *Analiza strategiczna sieci sklepów spożywczych w Polsce*, Melting Pot, Warszawa 2016.

<sup>3</sup> Badanie omniASM zrealizowane przez ASM – Centrum Badań i Analiz Rynku dla Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego, wrzesień 2017.

<sup>4</sup> *Wpływ jakości produktów na zachowania konsumentów*, op. cit.

<sup>5</sup> Badanie omniASM, op. cit.

<sup>6</sup> *Patriotyzm konsumencki Polaków*, Open Research, kwiecień 2017.

<sup>7</sup> *Moda na polskość*. Raport przygotowany na potrzeby projektu Konsument 2016 przez Ipsos.

<sup>8</sup> *Patriotyzm konsumencki Polaków*, op. cit.

<sup>9</sup> *Moda na polskość*, op. cit., Ipsos i TNS Polska.

<sup>10</sup> *Moda na polskość*, op. cit., TNS Polska.

<sup>11</sup> Ibid.

<sup>12</sup> *Wartości Polaków*. Raport przygotowany na potrzeby projektu Konsument 2016 przez IMAS International.



# Vincent

O niezwykłym XIX-wiecznym artyście i niezwykłym współczesnym dokonaniu artystycznym z **Dorotą Kobiela**, scenarzystką i reżyserką, która razem z mężem Hugh Welchmanem stworzyła pełnometrażowy film animowany „Twój Vincent”, rozmawia „Teraz Polska”.

© BREAKTHRU FILMS, TRADEMARK FILMS/TWÓJ VINCENT

**Teraz Polska:** Jaki jest pani Vincent?

**Dorota Kobiela:** Wokół żadnego innego artysty nie narosło tyle mitów i legend, co wokół Vincenta van Gogha. Bywa określany jako męczennik, lubieżny satyr, szaleniec, geniusz lub próżniak. Jednak jego prawdziwa natura wyłania się z licznych listów, różnie interpretowanych. Wydawał się mieć tego świadomość, bo w jednym z ostatnich listów napisał: „Mogą za nas mówić jedynie nasze obrazy”. Dlatego chciałam, żeby jego obrazy „przemówiły”.

Dla mnie jest jasne, że Vincent nie był szaleńcem. Podobnie myśli Hugh. Dlatego nie chcieliśmy budować opowieści o szaleństwie. Tajemnicza śmierć Vincenta była szokującym wydarzeniem po podróży, którą odbył, i po tym, czego dokonał w ciągu ośmiu krótkich lat. Jednocześnie musieliśmy zmierzyć się z powszechnie panującym mitem, że van Gogh był udręczonym, wiecznie cierpiącym, szalonym artystą. To prawda, że w wieku 28 lat Vincent był nieudacznikiem, który stracił trzy posady z rzędu, mieszkał w szopie w górniczym rejonie Borinage w Belgii i nie miał nic oprócz kilku książek oraz braku pomysłu na życie. Ale 10 lat później stał się największą artystyczną sensacją Paryża.

Całe życie staram się łączyć moje dwie wielkie pasje – malarstwo i film. Wpadłam więc na pomysł, aby stworzyć film malowany. Miałam wtedy 30 lat, czyli mniej więcej tyle, ile miał Vincent, kiedy zaczął malować. Moją inspiracją było nie tylko jego malarstwo, które uwielbiam, ale przede wszystkim jego filozofia życia. Od lat zmagam się z depresją, dlatego zafascynowała mnie silna wola Vincenta, który potrafił pozbierać się po klęskach, jakich zaznał za młodu, i poprzez sztukę znalazł sposób, żeby czynić świat piękniejszym. Kiedy sama przeżywałam trudne chwile, jego listy były dla mnie natchnieniem. Tak zrodził się ten film. Początkowo zamierzałam cały film namalować samodzielnie. Jednak kiedy projekt rozrósł się do rozmiarów filmu pełnometrażowego, okazało się, że zadanie napisania scenariusza i wyreżyserowania obrazu jest ogromne – musiałam skupić się na koordynowaniu pracy 125 malarzy. Mimo to namalowałam kilka ujęć filmu.

**TP:** Pierwotny pomysł zakładał film krótkometrażowy.

**DK:** Kiedy Hugh stał ponad trzy godziny w kolejce, żeby dostać się na wystawę van Gogha, dotarło do nas, jak silnie przemawiają



**Dorota Kobiela** – reżyserka i scenarzystka, absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, czterokrotna laureatka stypendium ministra kultury i sztuki za wybitne osiągnięcia w dziedzinie rysunku i malarstwa. Dzięki inspiracji przyjaciół zainteresowała się filmem i sztuką animacji, a chęć zgłębienia tych dyscyplin przełożyła się na studia w Warszawskiej Szkole Filmowej na kierunku reżyseria. Zanim powstał pełnometrażowy film animowany „Twój Vincent”, Kobiela miała już na swoim koncie kilka krótkometrażówek: „List” (2004), „Kochaj mnie” (2004), „Sz. P. Miś” (2005), „Serce na dłoni” (2006), „Szkice Chopina” (2011) i „Mały listonosz” (2011), który zdobył wiele nagród i wyróżnień, m.in. nagrodę na festiwalu filmowym 3D Film Festival w Los Angeles.

jego obrazy do dzisiejszego odbiorcy. Postanowiliśmy odważyć się na film pełnometrażowy. Uznałam, że ten pomysł można zrealizować w formie „wywiadów” z obrazami Vincenta, wzbogaconych o animacje malarskie oparte na tworzonych przez niego krajobrazach. Stworzyłam zwiastun, żeby bardziej szczegółowo opracować metodę produkcji zgodną z moją koncepcją. Został bardzo dobrze przyjęty, nabrałam więc przekonania, że projekt może przemówić do różnych odbiorców. Nasz pomysł wizualizacji spotkał się z uznaniem znawców filmu, animatorów i kinowej publiczności.

**TP:** Już sama praca nad scenariuszem okazała się zadaniem tytanicznym.

**DK:** Pierwszy szkic scenariusza napisałam po polsku, potem należało go przetłumaczyć, co było dość kosztowne i zajęło sporo czasu. Skoro film zamierzaliśmy realizować po angielsku, uznałam, że kolejne wersje scenariusza będą już powstawać w tym języku. Stąd duża rola Hugh, który został moim współscenarzystą. Łącznie powstało pięć wersji scenariusza. Najtrudniejsze było przerobienie oryginalnego pomysłu na 80-minutowy film.

Jestem bardziej reżyserką niż pisarką. Nie mogłam napisać standardowej biografii w stylu „Pasji życia”, ponieważ chciałam ująć tylko takie sceny, które nawiązywały do obrazów Vincenta. Zanim powstał scenariusz, napisałam wiele historyjek. Opowiadały o zdarzeniach z życia artysty, były zaczerpnięte z konkretnych obrazów, niektóre dotyczyły wyłącznie okresu holenderskiego albo okresu bohemy artystycznej na paryskim Montmartrze. Ale pierwszy konkretny scenariusz dotyczył ostatnich dni jego życia. W tym okresie tworzył cudowne obrazy, również portrety ludzi, z którymi miał regularny kontakt pod koniec życia. Byli to doktor Gachet, jego tajemnicza córka Marguerite, którą Vincent namalował trzy razy, a mimo to jej twarz zawsze pozostawała ukryta, czy Adeline Ravoux, piękna córka właściciela gospody, w której artysta zmarł. Wszystkie te postaci występują w filmie. Najważniejszą zmianą naszej koncepcji było ukierunkowanie się na pełnometrażową fabułę. Podjęliśmy decyzję o zastosowaniu dwóch koncepcji wizualnych: dialogi miały być prowadzone w malarskim stylu Vincenta, natomiast wspomnienia rozmówców miały być czarno-białe. Głównym bohaterem został Armand Ro-





Vincent van Gogh, „Twój Vincent”



Dr Gachet, „Twój Vincent”



Listonosz Roulin, „Twój Vincent”



Adeline Ravoux, „Twój Vincent”

ulin, młody lekkoduch, który otrzymuje od swojego ojca Josepha Roulina – listonosza, przyjaciela Vincenta van Gogha – zadanie specjalne. Ma pojechać do Paryża i osobiście dostarczyć Theo van Goghowi list od jego brata, który właśnie popełnił samobójstwo. Armand nie może znaleźć Theo, gdyż ten, załamany po śmierci Vincenta, zmarł niedługo po nim. Zaintrygowany wydarzeniami, Armand chce się dowiedzieć, dlaczego Vincent wybrał moment największej chwały, aby odebrać sobie życie. Uduje się więc do cichej wioski Auvers-sur-Oise, w której Vincent spędził ostatnie dni swojego życia. Armand zaczyna swoje śledztwo, prowadząc liczne rozmowy z ludźmi z Auvers, Paryża i Arles. Dochodzi do zaskakujących ustaleń. Jednocześnie zaczyna rozumieć pełne nieoczekiwanych zwrotów życie Vincenta i doceniać jego ogromną pasję.

**TP:** Faza realizacji filmowej była równie intensywna, jak praca nad scenariuszem?

**DK:** „Twój Vincent” został nakręcony najpierw jako typowy film aktorski, a następnie każda klatka została ręcznie przemalowana. Efekt końcowy to połączenie gry aktorskiej i kunsztu malarskiego animatorów, którzy wszystkie postacie odtworzyli za pomocą farby olejnej. W roli Vincenta zadebiutował na ekranie Robert Gula-

czyk, aktor Teatru im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy. Wszyscy aktorzy pracowali na specjalnie stworzonych planach wzorowanych na obrazach van Gogha lub na tle tzw. green screenu. Sceny aktorskie były kręcone w studiach Three Mills w Londynie oraz w studiu CeTA we Wrocławiu. Operatorami byli Łukasz Żal (nominowany do Oscara za zdjęcia do filmu „Ida”) i Tristan Oliver („Fantastyczny pan Lis”, „Uciekające kurczaki”). Opracowanie dzieł van Gogha i przekształcanie ich na język filmu zajęło nam prawie rok. W filmie „grają” 94 obrazy Vincenta van Gogha, które zostały włączone do filmu w postaci bardzo zbliżonej do oryginałów, i 31 obrazów wykorzystanych częściowo lub w formie znacznie przekształconej. Malarze pracowali nad takim przekształceniem wizerunku aktorów, aby z jednej strony zachować ich istotne cechy, a z drugiej nadać im wygląd i charakter postaci portretowanych na oryginalnych obrazach. Następnie malarze-animatorzy „przemalowywali” klatki filmowe zgodnie ze stylem (w zakresie pociągnięć pędzla, kolorystyki czy impastów) na podobrazia o wymiarach 67 × 49 cm i animowali je poklatkowo. W tym celu opracowałam (wspólnie z Tomaszem Wochniakiem i Piotrem Dominiakiem) specjalne stacje robocze animacji malarskiej (PAWS), które pozwalały malarzowi skupić się na malowaniu i animacji bez potrzeby analizowania oświetlenia czy technologii. Dzięki temu





The Night Cafe, „Twój Vincent”

„Twój Vincent” to pierwsza pełnometrażowa animacja malarska, wyreżyserowana przez Dorotę Kobiela i Hugh Welchmana. Współautorami scenariusza są Kobiela, Welchman i Jacek Dehnel. Za produkcję odpowiadały polska firma BreakThru Films oraz brytyjska Trademark Films. Film przywołuje na ekran malarstwo van Gogha, a jednocześnie opowiada o życiu artysty, pełnym pasji i dramatów, oraz o jego tajemniczej śmierci. Każda z 65 tys. klatek została ręcznie namalowana na podobrazdach malarskich w technice olejnej. W projekcie wzięło udział 125 zawodowych malarzy z całego świata, którzy pracowali w Polsce i Grecji. Film zdobył uznanie krytyków i publiczności, co potwierdzają liczne nagrody, z Europejską Nagrodą Filmową na czele, i niebagatelne wpływy ze sprzedaży na całym świecie. Do stycznia 2018 r. obejrzało go ponad 5 mln ludzi w 132 krajach. „Twój Vincent” jest już najbardziej dochodowym filmem w historii polskiej kinematografii. Na całym świecie zarobił do tej pory ponad 20 mln dolarów, najlepsze wyniki osiągając w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie (5,7 mln dol.), Chinach (2,7 mln dol.) oraz Korei Południowej (2,1 mln dol.). Tym samym pobił dotychczasowy rekord sprzedaży polskiej produkcji należący do „Idy” (15,3 mln dol.).

udało się zachować jednolitość wyników prac wszystkich 97 stacji PAWS zlokalizowanych w trzech studiach filmowych w Polsce i Grecji. Na jedną sekundę filmu składają się wykonane w wysokiej rozdzielczości 24 zdjęcia 12 ujęć obrazu. Po wykonaniu fotografii należało wykonać tzw. *deflickering*, czyli stabilizację ekspozycji każdej klatki, i dokonać korekty kolorystycznej, aby wyrównać nasycenie wszystkich ujęć. Efekt końcowy to 65 tys. zdjęć prawdziwych obrazów olejnych poddanych animacji.

#### **TP:** Dlaczego sceny wspomnień ujęte są w stylu czarno-białym?

**DK:** Z dwóch powodów. Po pierwsze, uznaliśmy, że widzowie nie wytrzymają takiej intensywności kolorów przez pełne 90 minut. Budowa filmu zakłada cofanie się do wspomnień, co dało nam możliwość wprowadzenia innego stylu dla scen reminiscencji. Po drugie, nie chcieliśmy tworzyć dzieł Vincenta, które w rzeczywistości nigdy nie powstały. Większość wspomnień dotyczy tych sytuacji w życiu artysty, w których nie malował. Gdybyśmy próbowali sami stworzyć je w stylu van Gogha, musielibyśmy przyjąć jakieś założenia, samodzielnie zdecydować, jak mogłby je namalować. Posunęlibyśmy się za daleko. Ponadto, szukając informacji, przejrzelibyśmy bardzo wiele fotografii z epoki. To były

oczywiście czarno-białe zdjęcia, co stanowiło inspirację dla stylu, w jakim wpleliśmy wspomnienia w akcję filmu.

#### **TP:** A skąd tytuł „Twój Vincent”?

**DK:** Powodów jest kilka. Ten projekt to dzieło miłości. Praca nad nim zajęła mi siedem lat, podczas których sił dodawały mi miłość do jego malarstwa i szacunek dla jego woli walki. Zresztą nie tylko ja musiałam kochać van Gogha. Jak już mówiłam, nasi malarze stworzyli 65 tys. klatek filmowych namalowanych farbą olejną. Każda sekunda filmu to 10 dni pracy, każda klatka to niezliczone pociągnięcia pędzla. Takie zadanie wymaga ogromnego poświęcenia. Ponadto tytuł jest odniesieniem do typowego zakończenia listów, które van Gogh pisał do brata. Kończył je słowami: „Twój kochający Vincent”. Zdecydowaliśmy się podjąć ryzyko i stworzyć pierwszy ręcznie malowany pełnometrażowy film animowany, ponieważ ludzie na całym świecie naprawdę kochają Vincenta. Mam nadzieję, że film będzie dla widzów inspiracją do osobistego spotkania z jego obrazami. Obejrzało go już 5 mln widzów na całym świecie. Cieszę się, że dzięki mojej pracy Vincent trafił do większej rzeszy odbiorców. On na to zasługuje. Chcę, żeby każdy mógł powiedzieć o nim „mój Vincent”.

Opracowano na podstawie materiałów prasowych filmu „Twój Vincent”.

O inspiracji,  
reakcji społecznej  
i warsztacie  
twórczym  
z **Martą Frej**  
rozmawia Kamil  
Broszko.

© TOMASZ STANČAK/AGENCJA GAZETA

# Moja sztuka służy poprawianiu świata

**Kamil Broszko:** Żyje pani i pracuje w Częstochowie...

**Marta Frej:** Urodziłam się w Częstochowie, tu mieszkają moi rodzice. Wróciłam w pewnym momencie do tego miasta trochę z konieczności – rodzice pomagali mi pogodzić wychowywanie mojego syna Maćka z pracą zawodową na ASP w Łodzi, do której dojeżdżałam z Częstochowy przez cztery lata. Sama nie dałabym rady ze względu na deficyt czasu i kwestię finansową. Wtedy przynajmniej tak mi się wydawało. Po zakończeniu pracy w Łodzi zostałam w Częstochowie z kilku względów. Po pierwsze, wraz z moim partnerem, Tomkiem Kosińskim, mieliśmy misję przybliżania mieszkańcom sztuki współczesnej, a właściwie pewnego jej nurtu – sztuki zaangażowanej społecznie, krytycznej, stawiającej pytania dotyczące wspólnej przestrzeni, jaką jest miasto. Założyliśmy fundację Kulturoholizm i przez ostatnie siedem lat organizowaliśmy Festiwal Sztuki Współczesnej w Przestrzeni Publicznej

Arteria. Chcieliśmy również trochę zmienić obraz tego miasta, pokazać, że żyją tu tacy sami ludzie jak wszędzie, mają takie same marzenia, potrzeby i problemy. Drugą przyczyną była więc mojego syna z babcią i dziadkiem. Teraz podjęliśmy decyzję o wyprowadzeniu się z Częstochowy. Wyczerpała się nasza energia, Maciek jest nastolatkiem. Szukamy nowego miejsca, żeby się realizować.

**KB:** Wydaje się, że pani forma i styl są inspirowane internetową popkulturą, ale z drugiej strony prace cechuje unikalność i łatwo je rozpoznać jako pani dzieło. Czy taki efekt był długo wypracowywanym celem, czy jest po prostu konsekwencją wyborów estetycznych?

**MF:** Z pewnością nie był to długo wypracowywany styl. Zaczęłam robić grafiki – które przekornie nazywam memami – zupełnie przez przypadek, przy okazji nauki rysowania na tablecie. Mam



**Marta Frej** (ur. 1973 r. w Częstochowie) – ukończyła studia na ASP w Łodzi (dyplom w 2004 r.). W latach 2005–2009 asystentka w pracowni rysunku i malarstwa prof. M. Czajkowskiego na ASP w Łodzi. Malarka, ilustratorka, animatorka kulturalna, prezeska Fundacji Kulturoholizm, mama Mačka, współzałożycielka Klubu Krytyki Politycznej w Częstochowie. Laureatka Okularów Równości 2015, nagrody przyznawanej przez Fundację im. Izabeli Jarugy-Nowackiej. Współautorka książki „Memy i graffy” (z Agnieszką Graff). Obecnie pracuje w Centrum Promocji Młodych w Częstochowie. Prezentowała swoje prace podczas wystaw indywidualnych i zbiorowych w galeriach i muzeach w całej Polsce. Profil facebookowy, na którym publikuje swoje prace, śledzi 150 tys. fanów. Tworzy okładki bestsellerowych książek i ilustracje do największych polskich magazynów.



© MARTA FREJ

tendencję do wrzucania wszystkiego, co robię, do Internetu; nie zastanawiam się nad strategią, celem czy własnym wizerunkiem. Akceptuję siebie wraz z moimi słabościami, wadami, gorszymi momentami; walczę niestrudzenie, abyśmy nie wstydzieli się być sobą. Robię to intuicyjnie.

**KB:** Określa pani swoją sztukę jako zaangażowaną społeczną. Co to właściwie znaczy?

**MF:** Mam ambicję i marzenie zmieniania rzeczywistości społecznej, choć brzmi to bardzo pompatycznie. W dużym stopniu to wpływ mojego partnera Tomka, który jest społecznikiem i idealistą, kompletnie niezainteresowanym indywidualnym, osobistym szukaniem komfortu i przyjemności. Jego ulubione słowa to „dobro wspólne”. (*śmiech*) Jestem wciąż zafascynowana jego postawą, bo niewiele jest takich osób w dzisiejszym, konsumpcyjnym

społeczeństwie. Tomek jest też cudowną odtrutką na snobizm i programową elitarność świata sztuki, z którymi od czasu do czasu mam do czynienia.

**KB:** Czy sztuka powinna być uwarunkowana kontekstem społecznym, historycznym i politycznym?

**MF:** Uważam, że jedną z wielkich zalet sztuki jest to, że każdy sam ma prawo zdefiniować, co nią jest, a co nią nie jest. Przy okazji takiego definiowania można się też czegoś o sobie dowiedzieć. W moim i Tomka świecie istnieje tylko sztuka społecznie zaangażowana, która ma na celu poprawianie świata. Często robi to poprzez badanie granic tego, co wolno, a czego nie, zadawanie bolesnych i niewygodnych pytań, robienie eksperymentów społecznych, prowokację i na wiele innych sposobów, co może wywoływać w odbiorcach negatywne uczucia, bo wytrąca ich





© MARTA FREJ (3)

z bezpiecznego obłoku komfortu osobistego. Nie oceniam osób, dla których główną rolą sztuki jest dostarczanie przyjemności estetycznej, ale na wspólne długie wieczory spędzone na rozmowach o sztuce raczej się nie dam namówić.

**KB:** Pani sztuka jest polityczna, ale poprzez to siłą rzeczy odwołuje się do konkretności. Czy interesują panią również tematy uniwersalne?

**MF:** Moja twórczość koncentruje na kobietach, ich sytuacji, pracach, życiu w Polsce. Czy to wystarczająco uniwersalny temat, zwłaszcza na fakt, że stanowią one co najmniej połowę społeczeństwa?

**KB:** Skoro pani prace nawiązują do aktualnej rzeczywistości, to czy asumpt do ich tworzenia wynika z emocji (np. złości), czy raczej z refleksji intelektualnej?

**MF:** Jestem bardzo przywiązana do wizji siebie jako jedynej w swoim rodzaju całości (postrzegam tak każdego człowieka) i wolałabym, aby tak pozostało. Emocje wpływają na refleksję intelektualną, a intelekt na emocje. Całość rysuje.

**KB:** Porusza pani tematy emocjonujące opinię publiczną, więc zapewne spotyka się także ze społeczną reakcją. Jaką rolę pełni ona w pani życiu?

**MF:** Reakcja na moje prace bardzo na mnie wpływa. Przestała-bym tworzyć, gdybym nie dostawała tak dużego odzewu, że to,

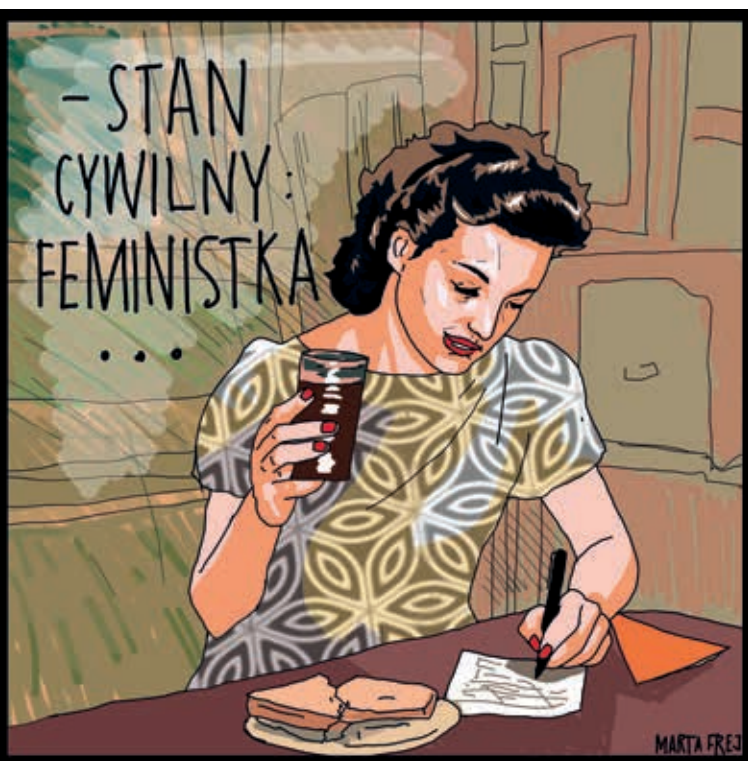
co robię, jest ważne; że setki kobiet myślą i czują podobnie jak ja. To jest największa i z niczym nie porównywalna korzyść płynąca z mojej pracy. Hejt się czasem zdarza, co jest typowe dla Internetu, ale nie ma go dużo i pracuję nad tym, żeby się nim nie przejmować. Każde środowisko pracy ma jakieś wady. Najważniejsze, żeby nie karmić hejterów uwagą.

**KB:** Proszę opowiedzieć o swoim warsztacie twórczym. Używa pani technologii cyfrowej?

**MF:** Rysuję na tablecie graficznym. Potrzebuję stołu albo biurka, chociaż w łóżku też daję radę. Mogę pracować wszędzie. Kiedy gdzieś wyjeżdżam, zwykle zabieram laptop i tablet, bo nie wyobrażam sobie przerwy w rysowaniu dłuższej niż kilka dni.

**KB:** W jakich okolicznościach ujawniają się pomysły?

**MF:** Pomysły pojawiają się wszędzie, bo tematów dostarczają media, rozmowy, obserwacje, lektury. Dostaję czasem podpowiedzi od innych osób, nie tylko znajomych. Tomek też często podsuwa mi tematy. Jeśli mam dużo pracy projektowej, tak jak teraz (projektuję jednocześnie kilka plakatów, okładkę książki i materiały do szkoły, do której chodzę), nie mam czasu rysować memów. Nie jest to dla mnie problem, bo nie mam ambicji, żeby komentować na bieżąco rzeczywistość. Muszę zarabiać pieniądze na życie (nie tylko moje), więc płatne projekty mają pierwszeństwo.



**KB:** Obok pracy artystycznej prowadzi pani działalność społeczną i edukacyjną. Z czego wynika potrzeba działania równocześnie na kilku frontach?

**MF:** To wszystko jest ze sobą powiązane. Płynnie przechodzę od rysowania do projektowania murali, robienia warsztatów, organizowania festiwalu, walki o prawa kobiet – bo wszystkim tym działaniom przyświeca wspólny cel. To moja cegiełka w budowie świadomego, równościowego społeczeństwa obywatelskiego, w którym każdy człowiek, bez względu na płeć, wyznanie, orientację seksualną, kolor skóry czy pochodzenie, ma równe szanse.

**KB:** Jakie są pani dalsze plany artystyczne? Gdzie można śledzić pani twórczość i kupić prace?

**MF:** Planów zawsze mam dużo. Już w marcu odbędą się wystawy w Warszawie (Teatr Druga Strefa), Gdańsku (z okazji koncertu „Solidarność jest kobietą” w klubie B90), Olsztynie (Galeria Dobro) i Słupsku (Słupski Kongres Kobiet). W drugiej połowie roku planuję wystawy w Świdnicy (Świdnicki Ośrodek Kultury) i Toruniu (Galeria Wozownia). Rozmawiamy z władzami Słupska o przeniesieniu tam naszego festiwalu Arteria. Oprócz tego ruszam z warsztatami.

Najnowsze prace, zapowiedzi wystaw i działań:

<https://www.facebook.com/martafrejmemy/>

Sklep z wydrukami prac i nie tylko: <http://memshirt.com/>



# Paderewski superstar

Setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości Muzeum Narodowe w Warszawie rozpocznie wystawą kolekcji otrzymanej w darze od Ignacego Jana Paderewskiego – pianisty, kompozytora i ambasadora polskiej wolności. Ekspozycja ukaże nie tylko dokonania wybitnego wirtuoza i polityka, ale również jego mniej znane oblicze – człowieka oddanego rodzinie, przyjaciela artystów i miłośnika sztuki Dalekiego Wschodu. Z **Magdaleną Pinker**, kuratorką wystawy, rozmawia Kamil Broszko.

TERAZ POLSKA  
**100** lat  
NIEPODLEGŁOŚCI

**Kamil Broszko:** Jak się zaczęła pani przygoda z Ignacym Janem Paderewskim?

**Magdalena Pinker:** Dla mnie dosyć zaskakująco. Specjalizuję się w sztuce orientalnej, zaś Paderewski nie kojarzy się z orientem. Jednak okazuje się, że niesłusznie. Największą część kolekcji podarowanej przez Paderewskiego Muzeum Narodowemu w Warszawie stanowi sztuka Dalekiego Wschodu – chińska i japońska. Z tej przyczyny zostałam kuratorką wystawy o Paderewskim, a moja praca przerodziła się w powolne zakochiwanie się w nim.

**KB:** Wystawa będzie złożona z obiektów, które znajdowały się już w zasobach Muzeum Narodowego w Warszawie?

**MP:** Tak, w tym przypadku nie musieliśmy szukać daleko, bo w tym właśnie nam mistrz zapisał w testamencie z 1930 r. swoją kolekcję sztuki. Oczywiście ten niezwykle dar Paderewskiego zostanie uzupełniony o pewne dodatkowe dzieła, również pochodzące z naszych zbiorów.

**KB:** Posiadanie sztuki orientalnej wynikało z jakiejś osobistej pasji Paderewskiego?

**MP:** To dosyć tajemnicza sprawa, ponieważ Paderewski nigdy nie był w Chinach i Japonii, a z tych krajów pochodzi zdecydowana większość jego kolekcji. Pewne przesłanki wskazują, że zakupił część zbioru sztuki orientalnej od szwajcarskich i francuskich marszandów. Na tyle mu się spodobała, że postanowił swoją kolekcję poszerzać. Jest w niej kilkaset obiektów i są to dzieła światowej klasy, pochodzące głównie z XVIII i XIX w. Są tam emalie, niezwykle porcelany, laki i wiele innych materiałów. Najlepsze i najcenniejsze w tej kolekcji są wyroby z emalii komórkowej.

**KB:** Zważywszy na dokonania artystyczne i dyplomatyczne Paderewskiego, wydaje się, że jest on niewystarczająco obecny w powszechnej świadomości.

**MP:** Paderewski uznawany jest za ojca polskiej niepodległości. To wyjątkowa postać. Żołnierz – jak w przypadku Piłsudskiego – walczący o niepodległość to coś oczywistego. Natomiast pianista walczący o niepodległość – to jest naprawdę zaskakujące. I to jaki pianista! Wielka gwiazda. Wydaje mi się, że nie zdajemy sobie sprawy ze skali popularności Paderewskiego w Europie i USA. Był on najbardziej znanym Polakiem i w ogóle jedną z najbardziej znanych postaci przełomu XIX i XX w. Można znaleźć opisy fanek mdlejących na jego widok i marzących, by zatrzymać pukiel jego pięknych rudych włosów. Ówczesną popularność Paderewskiego – jako pianisty i kompozytora – można

Magdalena Pinker



© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM





© ARNOLD GENTHE (REPRODUKCYJA: ZBIGNIEW DOLINSKI/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE)

Portret Ignacego Jana i Heleny Paderewskich, Arnold Genthe (1869–1942), Nowy Jork, po 1911 r.

porównać z popularnością największych współczesnych gwiazd muzyki pop. Mimo ogromnej sławy muzycznej, mimo znajomości z wieloma znaczącymi postaciami i ówczesnymi gwiazdami Paderewski cały czas skupiał się na podkreślaniu, że pochodzi z kraju, którego nie ma na mapie. I cały czas walczył, aby ten kraj na mapę powrócił. Walczył skutecznie.

**KB:** Nie tylko skłonił prezydenta USA Woodrowa Wilsona do zapisania w programie pokojowym determinującym zasady powojennego ładu punktu 13., dotyczącego niepodległości Polski, ale też przed każdym koncertem wygłaszał płomienną mowę, nieraz do tysięcy słuchaczy, o sytuacji w jego ojczyźnie.

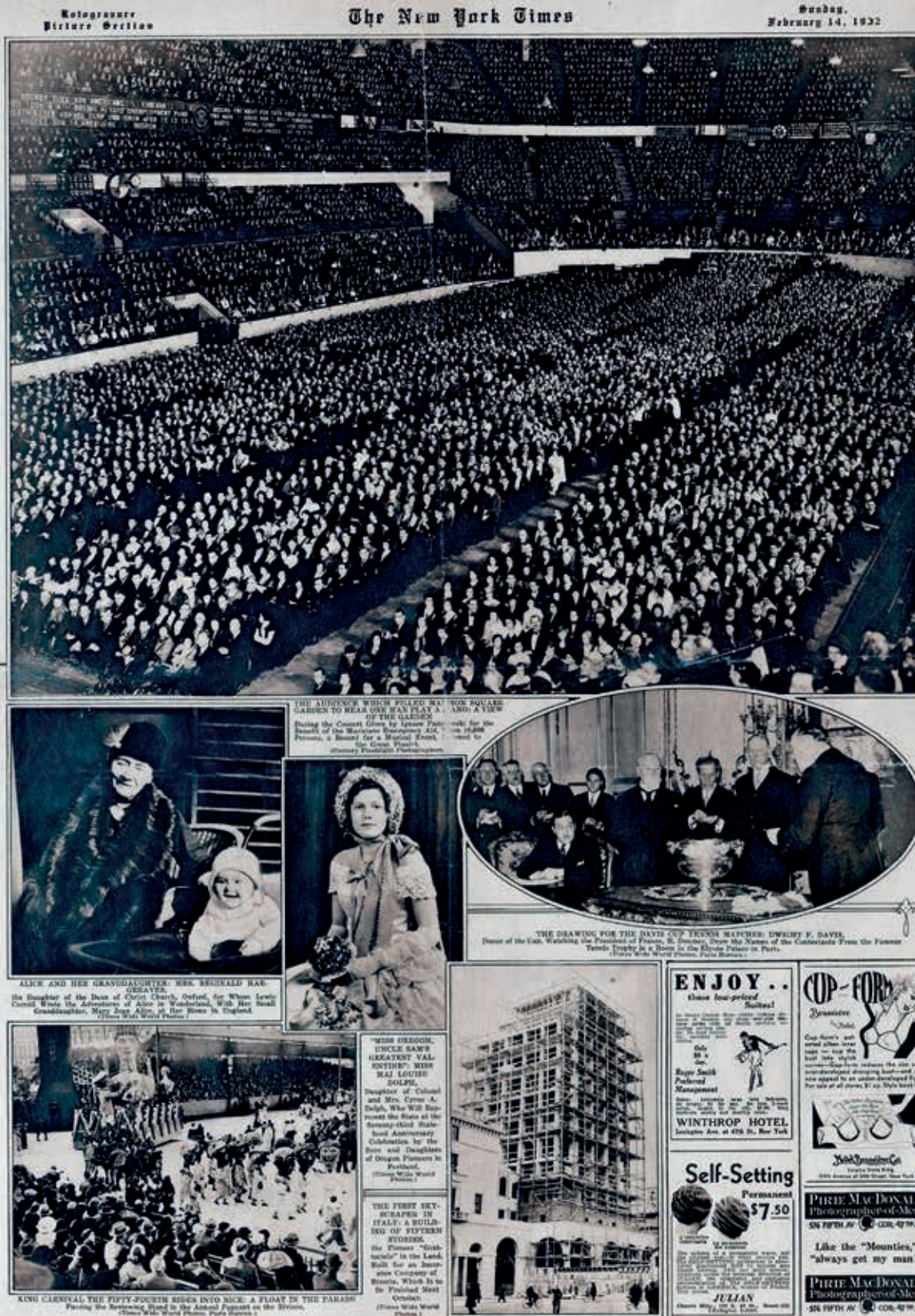
**MP:** W każdej możliwej sytuacji wykorzystywał swoją sławę do głoszenia polskiego prawa do niepodległości. Wiele osób zachęciło do udziału w batalii o polską niepodległość. Oczywiście nie mam na myśli batalii wojkowej, a dyplomatyczną, bo – trzeba

to podkreślić z całą mocą – Paderewski był wielkim dyplomata. Gdy się słyszy albo czyta zachowane przemówienia, można się przekonać, jak bardzo są poruszające. Był doskonałym mówcą i posługiwał się wieloma językami. Świetnie mówił po angielsku, ale także po francusku, niemiecku, rosyjsku. Paderewski był gwiazdą krasomównstwa.

**KB:** Jak to się stało, że człowiek ze skromnej rodziny, z małej wioski Kuryłówki, osiągnął globalny sukces w dwóch dziedzinach – w sztuce i dyplomacji?

**MP:** Nad tym zastanawiają się wszyscy biografowie Paderewskiego. Chyba połączyło się kilka czynników: wielki talent, ciężka praca, niezwykła charyzmatyczna osobowość, którą zjednywał sobie ludzi bez względu na czas i szerokość geograficzną. Warto też wspomnieć – co być może nie zabrzmiało zbyt poważnie – że pewne znaczenie miała również niezwykła aparycja. Paderewski wyglądał tak, jak według ówczesnych wyobrażeń powinna wy-





„The New York Times”, 14 lutego 1932 r.

Dodatek ilustrowany z fotografią publiczności na koncercie I.J. Paderewskiego w Madison Square Garden w Nowym Jorku



Figurka smoka; brąz, wybijanie, emalia komórkowa; Indochiny, XIX w.

© PIOTR LIGIER/MUZEUW NARODOWE W WARSZAWIE



Muzeum Narodowe w Warszawie uczci stulecie odzyskania niepodległości przez Polskę projektem „3 x Niepodległa”. Dzięki bogactwu i różnorodności zbiorów MNW za pomocą języka dzieł sztuki przedstawiona zostanie w rozmaitych aspektach historia dążeń, moment odzyskania i celebrowanie niepodległości przez Polskę. W programie „3 x Niepodległa” znajdą się wystawy: „Paderewski” (17 lutego–20 maja 2018), „Józef Brandt 1841–1915” (22 czerwca–30 września 2018), „Niepodległa 1918” (26 października 2018–27 stycznia 2019). Wystawy wpisane są do Programu Wieloletniego „Niepodległa” na lata 2017–2021.

*Projekt „3 x Niepodległa” w Muzeum Narodowym w Warszawie pod patronatem narodowym Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Andrzeja Dudy w stulecie odzyskania niepodległości.*

„Wilson and Paderewski” – pocztówka z cyklu „Pictures from the Glorious Days of the Polish-American Fraternity” (Obrazy z chlubnych dni braterstwa polsko-amerykańskiego), Artur Szyk (1894–1951), 1939 r.



© ARTUR SZYK (REPRODUKCJA: PIOTR LIGIER/MUZEUW NARODOWE W WARSZAWIE)

głądać gwiazda. Malowali go prerafaelici, ponieważ uważali, że uosabia postać archanioła. Oczywiście, jak to często w życiu bywa, zdecydowało również szczęście. Pewną rolę odegrały osoby, które spotkał na swojej drodze i które sobie zjednał. Warto tu wspomnieć o przyjaźni z Heleną Modrzejewską, która go wprowadziła na salony w Polsce i w USA. Podróż do Stanów Zjednoczonych nie były w tamtym okresie oczywistym kierunkiem emigracji, ale Paderewski zaryzykował, popłynął do USA i wygrał.

**KB:** Aby przybliżyć kontekst kariery Paderewskiego w USA, chciałbym zwrócić uwagę na ówczesną rolę mass mediów. Jego sława przypadła na czas prawdziwej informacyjnej rewolucji, złotego wieku prasy i radia. Wizerunek Polaka podziwiano na okładkach kultowych magazynów, a jego przemówień i koncertów słuchały w radio miliony amerykańskich rodzin.

**MP:** Na wystawie pokażemy okładkę magazynu „Time” przedstawiającą Paderewskiego. Zaprezentujemy również programy

jego koncertów, które z dzisiejszej perspektywy wyglądają nieco zabawnie, bo oprócz informacji o występach znajdziemy w nich też reklamy. Paderewski promował różne rzeczy, niekoniecznie fortepiany. Warto w tym kontekście wspomnieć, że był twarzą Steinwaya. Pokażemy fortepian tejże firmy, który został stworzony specjalnie dla Paderewskiego. To również pokazuje skalę jego sławy.

**KB:** Działalność będąca przedmiotem badań historyków, czyli polityka i dyplomacja, to chyba dla muzealników trudny obszar? Wszak zakulisowych rozmów czy nieformalnych spotkań zwykle się nie dokumentuje. Ba, nieraz bywają po prostu tajne.

**MP:** Jeżeli chodzi o działalność polityczną Paderewskiego, to przez sztukę najtrudniej ją pokazać. Mamy oczywiście dzieła, które obrazują różne etapy jego działalności, np. przepiękny pastel Leona Kaufmanna pt. „Zebrań członków Komitetu Generalnego Pomocy Ofiarom Wojny w Polsce, w Vevey w Szwajcarii”



(1916 r.). To dzieło sztuki, ale również świadectwo zaangażowania Paderewskiego. Obraz przedstawia wielkich Polaków, w tym Paderewskiego, ale też Sienkiewicza, którzy podczas obrad zastanawiają się, jak pomóc ofiarom wojny w Polsce. Na marginesie dodam, że spotkanie w takim dokładnie gronie nigdy nie miało miejsca, jest wyłącznie fantazją artysty. Na wystawie prezentujemy pocztówkę Artura Szyka, która ukazuje Paderewskiego z Woodrowem Wilsonem. Oczywiście nie wiemy, czy faktycznie tak wyglądało spotkanie tych wielkich postaci – jest to wizja artysty. Pokazujemy też różne zdjęcia z wystąpień Paderewskiego, spotkań na całym świecie, podczas których zachęcał ludzi do wspierania sprawy polskiej. Ciekawostką na naszej wystawie będą tzw. adresy hołdownicze. To rodzaj dyplomu od osoby bądź organizacji przekazanego w podzięcie za działalność adresata. Zebraliśmy wiele takich adresów, wręczonych Paderewskiemu m.in. przez Zachętę, organizacje muzyczne, ale też nieco bardziej egzotyczne stowarzyszenia i osoby prywatne. Mamy na przykład adresy hołdownicze od klubu wioślarek czy zakładu pomocy sierotom za działalność na ich rzecz. Paderewski był doceniany nie tylko przez elity, ale także zwykłych ludzi i mniej znane organizacje. Prezentujemy również adres hołdowniczy od uczennicy szkoły hodowli drobiu dla Heleny Paderewskiej w podzięcie za jej pomoc.

**KB:** Mógłby być Paderewski bohaterem współczesnego serialu?

**MP:** Wydaje mi się, że byłby doskonałym bohaterem. Jego życie było bardzo dramatyczne. Z jednej strony wielka kariera muzyczna i polityczna, choć zastrzegam, że ocenę tej ostatniej pozostawiam historykom. Najpierw był artystą, wielką gwiazdą. Cieszył się uwielbieniem tłumów, oczywiście szczególną atencją darzyły go kobiety. Natomiast jego życie prywatne obfituje w wydarzenia dramatyczne. Został wdowcem w wieku 20 lat. Jego pierwsza żona bardzo szybko zmarła, wkrótce po narodzinach jego jedyne go syna, który w dodatku był chory i sam dożył jedynie 20 lat. Druga żona, Helena, towarzyszyła mu do końca swojego życia, przez prawie 40 lat; była podporą Paderewskiego i bardzo angażowała się w jego działalność.

Chcieliśmy pokazać, że Paderewski to człowiek zupełnie nieprzeciętny, nie tylko pomnikowy mówca, mąż stanu, muzyk, ale też ciekawa postać z poczuciem humoru. Na wystawie prezentujemy jego zdjęcie z żoną w strojach Maorysów, w które przebrali się podczas pobytu w Nowej Zelandii. W tym roku często będzie się o nim mówić – mówiąc z patosem, co jest oczywiście słuszne, ale warto, by tej postaci – mówiąc za Gombrowiczem – nie upuścić. Pokazać, że to był nie tylko wielki Polak i postać absolutnie pomnikowa, ale także ciekawy człowiek.

**KB:** W kontekście kolekcji wspomniała pani o żonie Paderewskiego. Czy mogła odgrywać istotną rolę w inspirowaniu jego myślenia artystycznego i politycznego?

**MP:** Trudno to jednoznacznie ocenić. Helena Paderewska, szczególnie w okresie, kiedy Paderewski sprawował urząd premiera (1919 r.), uznawana była przez opinię publiczną za postać kontrowersyjną. Uważano ją za kobietę ekscentryczną, szaloną, która dręczy Paderewskiego i jawi się jako wariatka. Jednak była osobą niezwykle oddaną mężowi, była mu wierna do grobowej deski, absolutnie go ubóstwiała, a on ją. Sam związek zaczął się w sposób nietypowy. Paderewska była wcześniej żoną przyjaciela kompozytora. Wstąpiła w nowe małżeństwo po anulowaniu poprzedniego, co było powodem licznych plotek i pewnego rodzaju

skandalem. Była mocno zaangażowana w działalność społeczną, między innymi Polskiego Białego Krzyża, ale miała też nieco zaskakujące pasje. Helena była bardzo znaną hodowczynią kur ozdobnych. Za willą Paderewskich w Szwajcarii znajdowała się wielka kurza ferma. Na wystawie pokazujemy między innymi zdjęcia Paderewskiej z kurami i trofeja, które uzyskała na zawodach. Podobno była w hodowaniu kur bardzo dobra. W ogóle z dokumentów i zdjęć wynika, że fascynowały ją zwierzęta.

Dr Magdalena Pinker – kuratorka wystawy „Paderewski”, organizowanej w ramach projektu „3 x Niepodległa” w Muzeum Narodowym w Warszawie; kuratorka Zbiorów Sztuki Orientalnej MNW.

*Wystawa „Paderewski” pod honorowym patronatem Prezesa Rady Ministrów Mateusza Morawieckiego.*



Ignacy Jan Paderewski przy fortepianie, Hans Schliessmann (1852–1920), ok. 1899 r.

# Opowiadanie o historii piękniejsze niż ona sama

Z prof. **Jerzym Bralczykiem** i prof. **Michałem Kleiberem**, członkami rady programowej publikacji „Polska 100 lat”, oraz jej wydawcą, **Bogdanem Szymanikiem**, rozmawia Michał Ogórek.

**Michał Ogórek:** Panowie profesorowie, moje pierwsze pytanie jest następujące: czy Polacy mają poczucie ciągłości historycznej? I czy takie poczucie w ogóle jest możliwe?

**Jerzy Bralczyk:** Najbardziej obecna jest taka ciągłość wtedy, kiedy nie jest ona problemem i kiedy o niej nie myślimy. Kiedy myślimy o ciągłości, to znaczy, że już mamy z nią problemy. Jeżeli pytamy, czy Polacy mają poczucie ciągłości historycznej, to prawdopodobnie odnosimy się do innych, czyli rozważamy, czy u nas ta ciągłość jest większa czy mniejsza. Cesarstwo Rzymskie miało być wieczne. Bardzo ładnie mówi Możliwość w „Iwanie Groźnym”: upadł Rzym, upadło Bizancjum, a Moskwa będzie wieczna.

**MO:** Każdy tak myśli.

**JB:** Każdy tak myśli!

**MO:** Ale czy przygotowując publikację, zakładaliście, że istnieje coś takiego jak poczucie ciągłości, czy może – że trzeba owo poczucie dopiero w Polakach wyrobić?

**JB:** Mamy poczucie historii nieciągłej właśnie: że oto Polska jest, a potem jej nie ma, potem znowu jest, potem znowu może jej nie być.

**MO:** Czyli poczucie samych dziur w naszej historii.

**Bogdan Szymanik:** Niezwykle rwana jest historia Polski i ta świadomość o braku ciągłości historii zapewne istnieje, a jednocześnie w wielu grupach społecznych – przede wszystkim dotyczy to inteligencji – uznaje się rok 1918 za przełomowy w historii Polski.

**JB:** Można mówić o istnieniu pewnego mitu założycielskiego.

**Michał Kleiber:** Nawet u tych, którzy mają poczucie ciągłości historycznej, nie wynika ono często – mówię to z żalem – z głębokiej wiedzy historycznej, a raczej z tradycji. U wielu osób, które deklarują przywiązanie i rozumienie ciągłości naszej historii, jest to niestety powierzchowne i wynika raczej z przyswojonych najsłynniejszych przekazów rodzinnych bądź informacji dominujących w przestrzeni publicznej, często mających polityczny kontekst. Niestety, rozumienie ciągłości nie jest pogłębione osobistą refleksją.

Michał Ogórek,  
Jerzy Bralczyk,  
Michał Kleiber  
i Bogdan Szymanik



sją. Jeszcze inna kategoria to osoby uważające się za nowoczesne w fatalnym znaczeniu tego słowa. Sądzą, że należy myśleć wyłącznie o jutrze, a nie o dniu wczorajszym. Nie jest pociechą, że taka postawa występuje na całym świecie. Spędziłem kilkanaście lat swojego życia w różnych krajach i muszę powiedzieć, że na przykład wielu Amerykanów na pytanie o poczucie ciągłości historycznej wybuchłoby zapewne śmiechem. Bo dla nich to mało ważne.

**BS:** Rzekłbym egzotyczne.

**MO:** Ale Amerykanom akurat sto lat imponuje, bo na przykład mówią: stary dom stuletni...

**MK:** U nas ostatnie sto lat jest pod omawianym względem raczej nietypowe, wiele osób ma bowiem silne przekonanie, że to okres naprawdę wyjątkowy. Odczuwamy ten czas ciągłości jako głęboką satysfakcję z odzyskania niepodległości. Kiedy podjąłem się zaszczytnej roli przewodniczącego rady programowej albumu, zakładałem, że wspólnie będziemy w stanie przyczynić się do jeszcze lepszego rozumienia znaczenia tego okresu w naszej historii, tłumacząc w atrakcyjny merytorycznie i edytorsko sposób, dlaczego odczuwanie tej ciągłości ma głęboki sens.

**JB:** Z jednej strony pokazuje się ciągłość tradycji jako coś niezwykle ważnego dla Polaków i sięga się do czasów sprzed rozbiorów, a z drugiej strony towarzyszy temu selektywne spojrzenie na historię najnowszą. Że oto teraz mamy już IV Rzeczpospolitą, a bynajmniej nie III. Mieliśmy I RP, potem II RP, później była okupacja. PRL już nie liczymy, nie ma jej w tej ciągłości, wypada. Potem mamy od razu III RP.

**MO:** To skąd się te sto lat bierze?

**JB:** No właśnie. III Rzeczpospolita, według niektórych, to był czas niepełnej suwerenności albo też podległości. I dlatego – zależnie od postawy ideologicznej – mamy dzieje albo szarpane, albo cięte; tak jak rany cięte, klute i szarpane. Ci sami, którzy odmawiają praw budującym Polskę po drugiej wojnie światowej, żyją w niej.

**MO:** Jeśli wyłączymy okresy budzące różne kontrowersje, to niewiele zostanie.

**MK:** Jeśli chodzi o interpretację historii, emocje są u nas ciągle oblrzymie – doświadczamy tego dosłownie codziennie.

**MO:** Wciąż jesteśmy na etapie, w którym dyskutujemy o historii w sensie dzisiejszym, politycznym. Tak było w PRL. Pamiętam gorące dyskusje historyczne, które tak naprawdę zastępowały rozmowy o współczesności. Tyle że wówczas wynikało to ze względów cenzuralnych, dyskutowało się o Wielopolskim po to, żeby nie mówić o Jaruzelskim.

**JB:** Jeżeli byśmy chcieli być precyzyjni, to pewnie nie powiedzielibyśmy o stu latach niepodległości, tylko o stuleciu zapoczątkowanym odzyskaniem niepodległości, w czasie którego działo się różnie. Natomiast w ciągu tych stu lat, po uzyskaniu świadomości

i integralności, rozwijały się najrozmaitsze obszary życia w Polsce: nauka, kultura, przemiany społeczne, myślenie ekonomiczne, rozmaite osiągnięcia. I przez te sto lat, umownie traktowanych jako pewien rodzaj ciągłego albo przerywanego czy też osłabianego poczucia integralności, państwowości, rozwijało się wszystko, co w każdym państwie czy kraju się rozwija. Powstawała literatura, powstawały miasta... Sto lat to jest maksymalny czas człowieka, powszechnie wyobrażana granica długości ludzkiego życia.

**MO:** To dziś, bo kiedyś...

**JB:** Ale my z dzisiejszej perspektywy patrzymy. Możemy żyć sto lat i sto lat możemy ogarnąć pamięcią.

**MO:** Mam pytanie głównie do pana profesora Kleibera: gdy się mówi o Polsce, to głównie o humanistycę. Czy udział pana profesora w przygotowaniu publikacji miał trochę ten wywód...

**JB:** Zdehumanizować?

**MO:** Zdehumanizować. Jakoś na przykład o Curie-Skłodowskiej w ogóle się nie myśli w kontekście stulecia niepodległości.

**BS:** My pomyśleliśmy, a nawet zostało to zapisane.

**MK:** Próbowaliśmy objąć całokształt tego okresu naszej historii, cokolwiek by to nie znaczyło. Nie ulega wątpliwości, że w esejach przeważa refleksja humanistyczna, jest ona bowiem ciekawsza w narracji i łatwiejsza w odbiorze. Gdybyśmy zaczęli szczegółowo pisać o pracy biologów czy matematyków, byłoby to z pewnością zbyt hermetyczne.

**MO:** A lwowska szkoła matematyczna?

**MK:** Ależ oczywiście jest! Tyle że jest w tym pewien paradoks, wynikający z przewidywanej percepcji typowego czytelnika. Wyspecjalizowana rozmowa publiczna z matematykiem na temat jego aktualnej pracy jest dzisiaj szalenie trudna bądź wręcz niemożliwa. Nawet terminologia jest trudna do przyswojenia, a słowa używane także w języku potocznym mają bardzo specyficzne znaczenie. Powszechna wiedza na temat problemów współczesnej genetyki, fizyki, cząstek elementarnych czy informatyki jest niestety niewielka, co niezwykle utrudnia zrozumiałe mówienie o dzisiejszych wyzwaniach i osiągnięciach w tych dziedzinach. W obszarach humanistyki i nauk społecznych jest pod tym względem znacznie lepiej, choć oczywiście czym innym jest rozumienie, a czym innym akceptacja artykułowanych poglądów. Zrobiliśmy w albumie wszystko, co mogliśmy, aby zachować pewną równowagę poruszanych tematów.

**MO:** Nie próbowaliście jakichś rankingów robić? To jest teraz modne. Na przykład 10 najważniejszych postaci w każdej dziedzinie.



## Polska 100 lat

„Polska 100 lat” to bogato ilustrowany album przygotowywany w związku z przypadającą w 2018 r. setną rocznicą odzyskania przez Polskę niepodległości. Pracami nad powstaniem tej wyjątkowej publikacji kieruje powołana z inicjatywy społecznej rada programowa, w skład której wchodzi m.in. profesorowie: M. Kleiber, A. Mencwel, H. Samsonowicz, J. Bralczyk, a także wybitni znawcy polskiej kultury: pisarz W. Myśliwski, dyrektor Teatru Wielkiego – Opery Narodowej W. Dąbrowski czy polski dyplomata, badacz stosunków międzynarodowych prof. A. Rotfeld.

Książka składać się będzie z pięciu rozdziałów poświęconych polskiej historii, społeczeństwu, kulturze, nauce i gospodarce. Całość poprzedzać będzie wstęp historyczno-kulturowy. Autorami esejów są najwybitniejsi polscy uczeni związani z największymi ośrodkami naukowymi w kraju, m.in. prof. M. Belka, A. Rotfeld, A. Chwalba, A. Friszke, J. Miodek, K. Skarżyńska, J. Skalski, J. Włodarczyk, W. Orłowski, R. Bugaj. W książce podjęte i zilustrowane zostaną rozważania na temat kształtowania się i rozwoju najważniejszych dziedzin życia narodu polskiego: skomplikowanej i trudnej historii Polski,

jej suwerenności i transformacji dziejowej (przemian polityczno-gospodarczych), relacji i tożsamości społecznych, religii, oświaty, zdrowia, literatury i kultury, w tym muzyki, filmu, sztuk pięknych i architektury. Nie zabraknie także omówienia rozwoju nauk technicznych czy przyrodniczo-medycznych. Wartość merytoryczna i naukowa książki jest niezaprzeczalna. Będzie ona doskonałą bazą dydaktyczną dla wszystkich studentów w kraju i za granicą.

„Polska 100 lat”, Wydawnictwo Bosz;  
projekt graficzny: Władysław Pluta, redakcja:  
Maria Płazewska, wybór fotografii: Jan Łoziński

**BS:** Każdy autor eseju zaproponował wybór fotografii, co jest jakimś rodzajem rankingu. To jest wybór autorski. Jeżeli coś bardzo odbiegało od wyobrażeń rady programowej, to wprowadzaliśmy pewne korekty czy zwracaliśmy się do autora eseju, aby nie pominął kogoś, kto jest ważny dla polskiej nauki czy kultury.

**MO:** Czyli wszystko pod kontrolą.

**JB:** Pod kontrolą, ale nie pod cenzurą.

**BS:** Nie pod cenzurą. Rada programowa odegrała jednak wielką rolę, w tym sensie, że nieco korygowała czy też uzupełniała punkt widzenia eseistów. Nie napotkaliśmy tu problemów, z zasady autor eseju godził się z nami. Oczywiście niektóre eseje trzeba było odrzucić jako niedoskonałe.

**JB:** Znaleźć pewien złoty środek i sprawić, że całość będzie jednocześnie rzetelna, uczciwa i atrakcyjna, nie jest tak łatwo. Wiadomo, że bardziej przyciągają uwagę rzeczy konfliktowe czy problematyczne. Albo z drugiej strony to, co przynosi nam chwałę i sprawia, że jesteśmy dumni ze swojej przeszłości. Tymczasem ani rozdrapywanie ran, ani puszenie się i pokazywanie pawiego ogona nie wydawało się nam właściwe. Bo jest to już wypaczony obraz. Chodziło o to, co się działo przez te sto lat na terenie Polski, co się działo tu, gdzie mieszkamy.

**MO:** Można mieć odmienne opinie, czy to stulecie jest piękne, ale zgodzimy się, że można je pięknie pokazać.

**BS:** Książka ma być piękna. Nie zawsze wszystko się udawało od razu, zostaliśmy zmuszeni do odrzucenia pierwszego projektu graficznego. Ostatecznie książkę projektuje bardzo ciekawie pan prof. Władysław Pluta z Krakowa – w ramach pewnej decentralizacji, bo większość autorów jest jednak z Warszawy.

**MO:** Żeby i Galicja była. Tak jak wydawca i całe wydawnictwo są z Galicji.

**BS:** Ale nie tylko, bo i Poznań się pojawił.

**MK:** Wydawca cały czas nas namawiał, żeby sięgać po autorów pozawarszawskich – i miał rację.

**BS:** To jest moja fobia, dlatego że scentralizowany kraj jest krajem niesprawnym. Uważam, że trzeba decentralizować, jak tylko się da, również ideologicznie.

**MK:** Powiedzmy dobitnie, że przyjęliśmy także zasadę nieproszenia o pomoc czy patronaty żadnych obecnych polityków, co z punktu widzenia promocji jest oczywiście pewnym problemem...

**JB:** Ale i atutem.

**BS:** Zgoda, i atutem.

**MK:** Wierzymy, że to okaże się atutem. Z pewnością znaleźliby się politycy, którzy chętnie przyłączyliby się do tego przedsięwzięcia, pisząc chociażby wstęp. Ale my postawiliśmy na całkowitą apolityczność dzieła.

**JB:** Powiedziałbym, że byłiby posłowie, którzy by napisali posłowie.

**MO:** Czy trzeba dużo wiedzieć, żeby tę książkę przeczytać? Dla kogo ona jest?

**JB:** Jeżeli dla przeciętnego Amerykanina, to znaczy, że nie trzeba wiedzieć nic.

**MO:** I taka była wasza intencja?

**BS:** Nie, nie, to złośliwe. Na samym początku zwróciliśmy się do wszystkich autorów, żeby teksty miały charakter bardziej popularnonaukowy niż naukowy. By ten język był przystępny dla polskiego inteligenta, ale i dla przeciętnego człowieka, który ma średnią wiedzę, ale jednak jakąś posiada – wystarczającą dla zrozumienia tego, co zostało napisane.

**MK:** Jako przewodniczący kapituły cenionego konkursu Popularyzator Nauki mam złą wiadomość: nie będzie mi wypadało opowiedzieć się za przyznaniem nam nagrody. Szkoda, bo jeśli chodzi o popularyzację wiedzy, album jest naprawdę wielkim wydarzeniem.

# Moje zadanie to słuchać, nie tylko słyszeć



© ANGELIKA KUŹNIAK

O tworzeniu reportażu, tropieniu szczegółów i niezwykłych kobietach z **Angeliką Kuźniak** rozmawia Kamil Broszko.

**Kamil Broszko:** W swojej twórczości – mam na myśli nie tylko książki, ale też najważniejsze wywiady i reportaże publikowane w prasie – nie zachowuje pani parytetu płci.

**Angelika Kuźniak:** Kiedy pytają mnie, dlaczego piszę o kobietach, nie umiem odpowiedzieć. Przecież to jasne, że nie chodzi o płeć. Moje bohaterki są bardzo osobne, niezależne, silne, ale też kruche, wrażliwe i – przynajmniej na pewnym etapie życia – odrzucone przez swoich. Bohaterów i tematy wybieram intuicyjnie. Dla mnie pisanie jest za każdym razem spotkaniem z drugim człowiekiem. Długim spotkaniem, bo z bohaterami swoich książek spędzam zazwyczaj kilka lat. Papusza urzekła mnie wrażliwością, Stryjeńska – „nieomylnym chłasińciem pędzlem” i tym, co w jej obrazach najważniejsze, czyli szaleństwem barw: „czerwienią wyzywającą”, „czerwienią zawstydzoną” i „wyczerpaną”, „błękitami świątobliwymi” i „diabelskimi”. Z kolei książka o Marlenie Dietrich nie powstałaby, gdyby nie mały notes z kilkoma polskimi nazwiskami. Znalazł się wśród 25 ton rzeczy, które po śmierci Dietrich trafiły do archiwum w Berlinie. Teraz pracuję nad opowieścią o Oldze Boznańskiej. Nazywa się ją „szarą malarką”, a tymczasem w oczach słynnej „Dziewczynki z chryzantemami” można znaleźć kilkanaście pigmentów! „Szczegół to palce olbrzyma” – mówił Philip Roth. I ja się z tym zgadzam. Ze szczegółów układam światy moich bohaterów. Tym bardziej że nie nazwałabym swoich książek biografiami, które rozumiem jako coś szerszego, bardziej wnikliwego. Mnie najbardziej interesują emocje.

**KB:** To się chyba teraz modnie nazywa biografią reportażową czy też reportażem biograficznym.

**AK:** Albo reporterską opowieścią. Kiedy powstawała „Marlene”, reklamowano ją jako fabularyzowaną biografię Marleny Dietrich. A nią na pewno ta książka nie jest. Mówiłam, że to reporterska opowieść, i tak się przyjęło.

**KB:** Jest pani autorką nazwy gatunku literackiego?

**AK:** Wtedy, w 2009 r., rzadko używano tego terminu, ale nie sądzę, żebym była pierwsza. Poza tym nie ma przecież znaczenia, jak nazwiemy te książki. To fakt jest święty. Ważny jest dla mnie również język opowieści. Po zebraniu materiału czytam go

wielokrotnie i zastanawiam się, jak poprowadzić narrację. Często pomagają mi sami bohaterowie. Zarówno Papusza, jak i Stryjeńska używały języka, który określał ich osobowość. Myślę, że pisanie „z zewnątrz” nie pozwoliłoby nam być blisko bohaterek. A na tej bliskości mi zależało. Papusza, już i tak obca, bo Cyganka, do tego poetka, a pod koniec życia chora psychicznie, stałaby się jeszcze bardziej niedostępna. U Stryjeńskiej trudno byłoby uchwycić furie, energię. W przypadku Papuszy miałam dodatkowo jej głos, kilkanaście godzin archiwalnych nagrań. Z nich montowałam monologi. Trochę jak w reportażu radiowym czy przy układaniu puzzli. Zaś Marlena była zdyscyplinowana, konkretna, pruska. Stąd narracja prowadzona równoważnikami zdań. Przy „Krótkiej historii o długiej miłości” było jeszcze inaczej. Pamiętam, jak z Ewelina Karpacz-Oboładze – współautorką książki – zastanawialiśmy się nad stylem pisania. Lapidarność narracji była świadomym wyborem. Opisywanie miłości wymaga precyzji. Piszę się o niej bardzo trudno, łatwo popaść w egzaltację. My w narracji starałyśmy się towarzyszyć emocjom bohaterów, czasem surowo, czasem z większą czułością. Nie tak oczywistą, bo ledwie zasugerowaną, ale uważni czytelnicy z łatwością ją zauważą.

**KB:** Powiedziała pani, że zainteresowanie Marleną Dietrich zaczęło się od fascynacji pewnym pruskim uporządkowaniem. To może się wydawać mało porywające...

**AK:** Wychowałam się w Słubicach, miasteczku na granicy z Niemcami, studiowałam w Niemczech i bliskie są mi polsko-niemieckie tematy. Któregoś dnia – jak już wspomniałam – dowiedziałam się, że do Berlina trafiło kilka kontenerów rzeczy, które kiedyś były własnością Dietrich. Pojechałam tam. Archiwa są dwa. Do jednego wjeżdża się windą towarową. W wielkim magazynie stały kuфry, walizy, kilkanaście manekinów o twarzy Marleny – to było fascynujące. W drugim znajdowały się mniejsze rzeczy. Zapytałam o notes z adresami. I był – z napisem „Europa” i pociętą, pewnie żyletką, okładką. Na jednej z ostatnich stron znalazłam kilka polskich nazwisk, wśród nich Zbigniewa Cybulskiego. Zadzwoiłam do Małgorzaty Szejnert, aby zapytać, czy zna wymienione osoby. Ona powiedziała, że to świetny temat na reportaż.



Zofia Stryjeńska (wówczas jeszcze Lubańska), 1915 r.

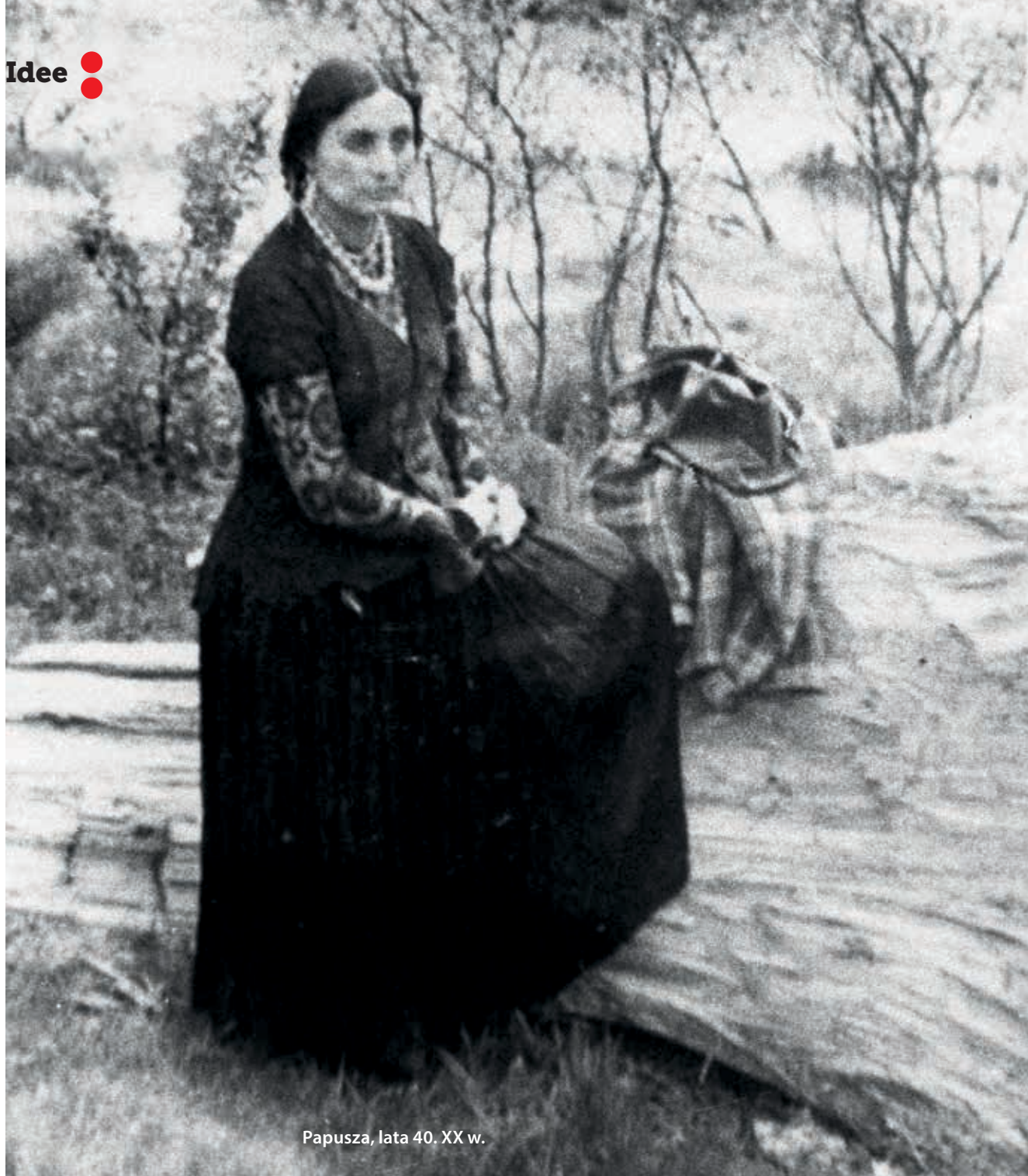
© ARCHIWUM RODZINY STRYJEŃSKICH

**KB:** Jak się zaczęła pani przygoda z reportażem?

**AK:** Piszę dzięki Małgorzacie Szejnert. Był rok 1999. Ktoregoś dnia dotarłam rowerem do wioski Lubin, niegdysiejszego Wildenhagen. Na ścianie kościoła zobaczyłam tablicę, a na niej napis: „Z wielką miłością i żalem wspominamy tych, którzy w bezsensowny sposób postradawszy życie, na zawsze tu pozostali”. Zaczęłam pytać. Okazało się, że to właśnie w Wildenhagen przed wkroczeniem Armii Czerwonej w lutym 1945 r. Niemki popełniły masowe samobójstwo. Ze strachu, bo dotarła do nich wieść, że rosyjscy żołnierze gwałcą i mordują. Tamtego dnia gospodyni Ida Valentin biegła przez wioskę z długim kuchennym nożem i krzyczała: „Iwany idą, kobiety, musimy się zabić!”. Weszły więc do jakiejś izby, stało w niej kilka kaflowych pieców. Najpierw pró-

bowwały się powiesić na haczykach, na których zazwyczaj suszy się bieliznę. Sznury się zrywały, haczyki były za słabe. Wtedy Ida Valentin zarządziła, że wszystkie pójdą na strych. Tam rozegrała się największa tragedia. Przeżyła ją jedna dziewczynka, wówczas dziewięcioletnia Adelheid, którą próbowała powiesić jej własna mama. Dziś Adelheid mieszka we Frankfurcie nad Odrą. Czytywałam wtedy „Magazyn Gazety Wyborczej”, więc napisałam e-mail do Małgorzaty Szejnert (wówczas szefowej działu reportażu), w którym przybliżyłam bez szczegółów historię kobiet z Wildenhagen. Odpowiedź przyszła szybko: „Proszę pisać, ale jeśli będzie pani potrzebowała pomocy – mamy świetnego reportera”. I tak w moim zawodowym życiu pojawił się Włodzimierz Nowak. Razem opisaliśmy tę historię.





Papusza, lata 40. XX w.

© MUZEUM ETNOGRAFICZNE W TARNOWIE

**KB:** Kiedy spojrzę szerzej na pani twórczość i książki o Marlenie Dietrich, Zofii Stryjeńskiej i Papuszy, widzę tryptyk, pewien program.

**AK:** Jaki?

**KB:** Widzę jedną opowieść o różnych aspektach życia wyjątkowych kobiet, których wybory są ciekawe i istotne z punktu widzenia dzisiejszych pytań o stan ducha, o naszą kondycję moralną, status naszej tożsamości i poszukiwanie życiowej drogi – nie tylko pytań zadawanych przez kobiety, ale przez wszystkich ludzi.

**AK:** To ciekawe. Wspominałam już o odrzuceniu. O nim tak naprawdę po raz pierwszy usłyszałam od dziennikarza radiowego podczas rozmowy o którejś z książek. Papusza wypowiedziała wstrząsające zdanie: „Z taboru byłam, teraz znikąd jestem”. Nigdy nie została skalana przez Cyganów, ale spotkał ją ostracyzm. Marlenę znienawidzili Niemcy za to, że podczas wojny opowiedziała się przeciwko Hitlerowi i śpiewała dla aliantów. A warto pamiętać, że to przecież oni zrzucali bomby na Berlin, w którym mieszkała jej ukochana matka. Stryjeńska była szaloną postacią w środowisku artystycznym, ale równocześnie bardzo osobną w sensie wnętrza, przemyśleń i decyzji. Może dlatego są mi bliskie. Bo i ja jestem jakoś

osobna, kameralna, choć świetnie osadzona w dzisiejszym, nazwijmy to, nowoczesnym świecie.

**KB:** Spośród wymienionych historia Papuszy jest chyba najbardziej tragiczna. Zaryzykuję tezę, że Papusza przegrała. Wykluczenie ze społeczności było zgruchotaniem najważniejszych filarów jej tożsamości kulturowej.

**AK:** Przegrała? Nie. Dokonała wyboru. Możemy się oczywiście zastanawiać, czy była świadoma ceny, jaką przyjdzie jej zapłacić. Według mnie – nie. Wiadomo za to, że kiedy wydała tomik wierszy, była z niego bardzo dumna. Tak jak była dumna z tego, że nazywano ją poetką. Lekarzowi pod koniec życia pokazywała swoją legitymację ze Związku Literatów Polskich. Wiem, że dla czytelników ważna jest też książka o Zofii Stryjeńskiej. Jej wybory nie są nam obce, przed podobnymi stoimy i dziś. Robić karierę? Być matką? Kierować się pasją czy presją społeczną? Dla Stryjeńskiej początkowo najważniejsze było, żeby dać mężowi syna. A kiedy spełniła swoją rolę, nie potrafiła być matką. Ciągnęło ją do malarstwa.

**KB:** Właśnie. W „Stryjeńskiej” tworzy pani niemal powieściową bohaterkę, z którą się utożsamiamy i w której się odbijamy.

**AK:** Pokazać człowieka z krwi i kości – to dla mnie najważniejsze. Zawsze bardziej będzie mnie interesowała praca Stryjeńskiej nad „Bożkami słowiańskimi” niż samo dzieło. Poza tym zawsze staram się bohatera zrozumieć, a nie oceniać.

**KB:** Jakoś pani testuje oczekiwania czytelników?

**AK:** Mam grupę przyjaciół, którym daję książkę do przeczytania jako pierwszym. Im ufam. I nie jest to nikt związany zawodowo z literaturą.

**KB:** Czyli robi pani badanie marketingowe.

**AK:** Bardziej emocjonalne. „Krótką historię o długiej miłości” wysłałam mojej najbliższej przyjaciółce. Powiedziała: „Wiesz, myślałam, że będę płakała. Nie płakałam, ale zaczęłam się zastanawiać nad swoim związkiem”. W książce publikujemy li-



## Krótka historia o długiej miłości

Angelika Kuźniak i Ewelina Karpacz-Oboładze

Niezwykła historia dwojga ludzi, których uczucie zaskoczyło w najmniej oczekiwanym momencie i miejscu – w stalinowskim więzieniu. Tam poznali się i pobrali Wiesława i Jerzy Śmiechowsky. Na początku rozmawiali przy użyciu alfabetu Morse’a. Kawałkiem metalu lub zgiętym palcem stukali w dzielącą ich ścianę. Pewnej nocy ona opowiedziała mu całą historię Tristana i Izoldy. Gdy przeniesiono ich do innych więzień, pisali do siebie listy. W jednym tak Ju pisał do Małej: „Cóż za radość szalona – otrzymałem dwa listy od Ciebie. Dwa nowe strumienie otuchy...”. Pierwszy raz – bez krat, siatek i zasuw – zobaczyli się na swoim ślubie. Mała i Ju to pseudonimy konspiracyjne Wiesławy Pajdak i Jerzego Śmiechowskiego – dwojga żołnierzy Polski Podziemnej walczących z niemieckim okupantem. Za działalność niepodległościową po II wojnie światowej zostali skazani na lata stalinowskiego więzienia. Właśnie tam się w sobie zakochali.

sty. Są bardzo emocjonalne, więc pewnie z tego powodu mocniej zapadają w pamięć. Wykorzystałyśmy może kilkanaście, natomiast w rodzinnym archiwum zachowało się kilkadziesiąt i wszystkie, bez wyjątku, są o miłości. A miłość – jak powiedzieli bohaterowie innego mojego reportażu – nie jest dana na zawsze.

**KB:** Czy w tym przypadku również przetworzyła pani jakieś osobiste doświadczenia?

**AK:** Dla mnie „Krótka historia o długiej miłości” była z różnych względów bardzo ważna. Pisałam ją trochę na leżać, w chorobie, kiedy przestałam chodzić. Wtedy mogłam się przekonać, że na miłości i przyjaźni pracujemy przez całe życie. Nigdy bym się nie spodziewała, że ludzie nagle zaczną sami się organizować i mi pomagać. Nawet nie wiedziałam, że tyle osób jest wokół mnie. Bardzo się dziwiłam, że nawet ci, którzy się nie znali, zaczęli się umawiać, jak mi pomóc. I ktoś mi wtedy powiedział: „przecież ty na to pracowałeś”. A ja po prostu zawsze znajduję czas dla kogoś, kto jest dla mnie ważny. Uważam, że kluczem do budowania relacji, do zrozumienia jest rozmowa. Bohaterowie „Krótkiej historii o długiej miłości” spotkali się w więzieniu na Rakowieckiej. Zaczęli rozmawiać ze sobą alfabetem Morse’a, przez ścianę. Potem dopiero pokochali.

**KB:** W opowieści o Stryjeńskiej poruszyła pani wątek egzystencjalny, kwestię problemów finansowych, ale też postawy wobec pieniędzy i zarabiania. Czytała pani znów przeszłość i bohaterkę przez pryzmat obecnych problemów społecznych? Albo problemów swojego środowiska?

**AK:** Nie robiłam tego celowo, ale trudno nie dostrzec podobieństw. Kto z nas nie czekał na przelew i nie wydzwaniał do księgowych? „Już wyszedł, sprawdzimy” – słyszałam to wielokrotnie. Sama długo łączyłam pisanie z inną pracą – sprzedawałam prasy hydrauliczne. Gdy pracowałam nad książką o Marlenie Dietrich, na życie zarabiałam w teatralnej pralni. Nigdy nie bałam się pracy fizycznej, nie uważałam też, że osoba pisząca ma fruwać pięć centymetrów nad ziemią. Teraz, dzięki temu, że moje książki są czytane, mam komfort finansowy.



**KB:** Częściowo udzieliła już pani odpowiedzi na moje kolejne pytanie, ale mimo wszystko chciałbym postawić kropkę nad „i”. Bohaterem książek reporterskich jest również sam reporter, zatem bohaterką książek o Stryjeńskiej, Papuszy czy Marlenie jest również pani. Jest to dla pani obszar spełniania ambicji czy skutek uboczny wykonywanego zawodu?

**AK:** „Papusza” jest mi książką najbliższą, pisanie jej było jak operacja na otwartym sercu. Trzeba było pogadać ze sobą, odkopać dawno zapomniane emocje, żeby choć trochę zbliżyć się do jej wrażliwości, poczuć podobnie. Wiem, że jeśli komuś ta książka się spodoba, to prawdopodobnie dogadamy się także prywatnie.

**KB:** Rozpoznaję u pani metodę rezygnacji ze statusu wszystkowiedzącej autorki, usunięcia się w cień, pozostawienia pytań bez odpowiedzi. Czy to jest metoda stała, czy wynika z koncepcji opowiadania danego tematu?

**AK:** Przecież nie o mnie w tych książkach chodzi. Sam reportaż jest gatunkiem bardzo subiektywnym. Zbieram materiał, selekcjonuję, filtruję przez własne emocje. W końcu to zawsze będzie moja Papusza, moja Stryjeńska, moja Marlena. Pewnie gdyby napisał o nich ktoś inny, książki też byłyby inne. Nie chcę nikomu sugerować, jak ma odbierać postacie. Mam zaufanie do czytelników.

**KB:** Przygotowując „Krótką historię o długiej miłości”, myślała pani o kontekście politycznym? W końcu rzecz jest o uczuciach, ale dzieje się w stalinowskim więzieniu, a to w Polsce gorący temat.

**AK:** Kiedy zaczynałyśmy pracę, w ogóle o tym nie myślałyśmy. Pierwszy raz natknęłam się na tę historię, czytając książkę Małgorzaty Szejnert „Śród żywych duchów”. Pojawiła się w niej krótka wzmianka o państwie Śmiechowskich. Kiedy kilka lat później usłyszałam w radiu reportaż Eweliny Karpacz-Oboładze „Literka po literce” o ich miłości, byłam już pewna, że to świetny pomysł na książkę. Od początku oczywiste było dla mnie, że napiszemy ją wspólnie. Ewelina już wtedy przyjaźniła się z państwem Śmiechowskimi, dużo z nimi rozmawiała. Ja poznałam jedynie panią Wiesławę. Oczywiście wiemy, że dziś wątki zawarte w książce można różnie interpretować. Lecz jest to opowieść o miłości. Ona jest tym mocniejsza, że zdarzyła się w czasach stalinizmu, rozgrywała w okrutnych dekoracjach. Wiedziałyśmy, że musimy pokazać tło historyczne, bo i ono bardzo bohaterów tej opowieści określa. Chciałyśmy pisać o miłości, ale wątek różnych podziałów jest obecny. Ewelina pracuje w Polskim Radiu, ja jestem kojarzona z „Gazetą Wyborczą” – w której zresztą nigdy nie pracowałam, ale tam dano mi możliwość publikowania reportaży. Bywa, że o tym, którą z nas zaproszą do studia, decydują sympatie polityczne redakcji. Historię, a szczególnie historię miłości, można przedstawić bez opowiadania się po jakiejś stronie i bez oceniania

motywacji politycznych. Znajomi żartują: „Zobaczysz, że ta książka wyląduje na biurku ministra kultury i film będzie”.

**KB:** A gdyby padła konkretna propozycja finansowa, sprzedałaby pani prawa?

**AK:** Nie tylko ja o tym decyduję, ale na pewno bym się zastanowiła. Doświadczenia mam rozmaite. Ktoś kiedyś chciał zagwarantować sobie prawo do książki, nie płacąc nic. Ktoś inny, już po wstępnych rozmowach, zdecydował się „obejść” autorkę, co akurat przy książkach biograficznych nie jest trudne, bowiem nie posiadamy praw do postaci. Bardzo dobrze wspominam współpracę z Joanną Kos-Krauze i śp. Krzysztofem Krauze przy ich „Papuszy”. Śmieję się, że jestem jedyną biografką na świecie, która ze swoją bohaterką siedziała w więzieniu, pojawiając się bowiem na dwie sekundy w filmie – jestem z Papuszą w celi.

**KB:** Ktoś kiedyś powiedział, że jedyne, co człowiek może dać drugiemu człowiekowi, to jest czas i słowo. Pani przychodzi do ludzi i prosi o jedno i drugie. Jak udaje się sprawić, by spełniali te prośby?

**AK:** Chyba dobrym przykładem będzie moje spotkanie z Hertą Müller. Spotkałyśmy się wiosną 2009 r., kilka miesięcy przed tym, jak dostała Nagrodę Nobla. Wcześniej w mailu poprosiłam o dwa spotkania – zgodziła się tylko na jedno. Upprzedziłam ją, że przyjedzie też Anka Bedyńska, znakomita fotoreporterka, z którą często pracowałam. Herta Müller zastrzegła, że nie lubi zdjęć. Spotkałyśmy się w Berlinie w Domu Literatury. Pogoda była zmienna, więc najpierw Anka poprosiła o możliwość zrobienia zdjęć. Wróciły po pięciu minutach. Herta była roztrzęsiona i miała łzy w oczach, a Anka wyglądała niewiele lepiej. Wiedziałam, że przede mną trzy zadania: uspokoić Hertę Müller, uspokoić siebie i przeprowadzić rozmowę. Może ratuje mnie to, że nie jest dla mnie szczególnie istotne, czy mój rozmówca jest politykiem, czy pisarzem. Ufam sobie na spotkanie ze zwykłym człowiekiem. Tamtego dnia pomogła mi sama Herta. Zaczęła się usprawiedliwiać, że za każdym razem, kiedy widzi błysk flesza, przypomina sobie aparat oficerów Securitate.

Ludzie, z którymi się spotykam, wiedzą oczywiście, że przyjeżdżam po coś. I zgadzają się z różnych powodów; często chcą ocalić pamięć o tym, co się zdarzyło, zrozumieć. Tak było z Mathiasem Schenkiem, podczas wojny niespełna osiemnastoletnim saperem, który pacyfikował Powstanie Warszawskie. Tak było z Adelheid Nagel, czyli Heidchen ze strychu w Wildenhagen. Słuchać, a nie tylko słyszeć – to moje zadanie. Rozmówcy nie dadzą się oszukać.

Angelika Kuźniak – reporterka, autorka bestsellerów: „Marlene”, „Papusza”, „Czarny Anioł”, „Stryjeńska. Diabli nadali”. Trzykrotnie uhonorowana nagrodą Grand Press, laureatka Nagrody im. Barbary Łopieńskiej.  
W 2016 r. nominowana do Nagrody Literackiej Nike.





# Innowacyjne miasta

Przyszłość intryguje. Także przyszłość miast. Fundacja „Teraz Polska” we współpracy ze Szkołą Główną Handlową zorganizowała debatę pt. „Innowacyjne miasto”. W gronie naukowców, przedsiębiorców, innowatorów, polityków, działaczy społecznych i studentów zastanawiano się, jakie będą miasta przyszłości, i rozmawiano o konkretnych wdrożeniach podnoszących jakość życia mieszkańców. W debacie udział wzięli **Agata Dąbbska**, **Maciej Fijałkowski**, **Radosław Ratajczak**, dr hab. **Mariusz E. Sokołowicz**, **Paulina Wilk** oraz dr **Jarosław Górski**, który poprowadził spotkanie.

**Jarosław Górski:** Jakie najważniejsze wyzwania stoją przed miastami, które mają ambicje zmaterializować swoje wizje rozwoju?

**Mariusz Sokołowicz:** Miasto składa się z bardzo wielu podmiotów, w tym instytucjonalnych. Mamy różne przenikające się wzajemnie środowiska, ale trudno tworzyć mosty między nimi. Bardziej jesteśmy skłonni zamykać się w status quo aniżeli poszukiwać nowości. Takie zachowanie widać również w strukturach urzędniczych miast. Brakuje w nich menadżerów średniego szczebla, którzy potrafią prezentować racje różnych środowisk. Sprawna realizacja projektów wymaga otwartego podejścia do kwestii społecznych, biznesowych i technologicznych. Wydaje mi się, że największym wyzwaniem dla polskich miast przyszłości jest osiągnięcie masy krytycznej ludzi, którzy potrafią łączyć różne

światy, myśleć różnymi językami, łączyć wizjonera, który ma nowy pomysł, z osobami, które go zrealizują. To bardzo trudne i bardzo ważne wyzwanie. Musimy wzajemnie się rozumieć i rozmawiać ze sobą.

**Paulina Wilk:** Z mojego punktu widzenia kluczowe jest przeświadczenie obywatela o jego prawie do miasta, do bycia w mieście i do uważania go za własną przestrzeń. To jest warunek wyjściowy do tego, żebyśmy chcieli jako mieszkańcy miasta angażować swoją wyobraźnię i energię w przestrzeń, w której żyjemy. Są takie miasta, jak na przykład Lima, których polityka sprzyja osobom przybywającym i szukającym schronienia. Uchodźcy, wygnani z terenów wiejskich przez biedę czy konflikty, już w ciągu 48 godzin nabywają formalne prawo do przebywania w mieście. To pozwala im osadzić własne emocje w nowej przestrzeni i zacząć na nowo

żyć. Często na początku mają tylko foliowy szalas, ale po niedługim czasie organizują przedsiębiorcze dzielnice. Lima docenia przedsiębiorczość ubogich grup i tworzy dla nich przestrzeń publiczną, oświetlone parki, infrastrukturę miejską, która pozwala na spotkania i bycie razem. Miasto wspiera innowacyjność, pobudza moce twórcze nowych mieszkańców, którzy zaczynają świetnie ze sobą funkcjonować i wzajemnie się uzupełniać. Potrzebna jest odwaga wprowadzania takich polityk miejskich, które zasilą nasze poczucie powiązania z miastem. Problem braku owego powiązania nie dotyczy tylko ludzi ubogich, ale również mieszkańców Londynu, Vancouver czy Portland, w których inwestycje chińskie czy arabskie powodują opróżnianie całych dzielnic poprzez wykup budynków i windowanie cen mieszkań. Rdzenni londyńczycy mieszkają już na obrzeżach i nie mają poczucia prawa do miasta ani możliwości funkcjonowania w nim.

**Agata Dąmbska:** W miastach problemów jest bardzo dużo, ale ja chciałabym zwrócić uwagę na dwie kwestie: demografię i zjawisko starzenia się społeczeństwa. Są to główne wyzwania polskich miast. Tylko Warszawa i Rzeszów będą odnotowywały dodatnie saldo migracji. We wszystkich pozostałych miastach liczba ludności będzie dramatycznie spadać. Niegdyś stutysięczne miasta, jak Kalisz czy Legnica, obecnie przeżywają potężny spadek liczby mieszkańców – odpowiednio do 90 tys. i 80 tys. Według szacunków GUS w 2035 r. będzie nas aż o 4 mln mniej. Jeżeli na to nałoży się drugi problem, jakim jest starzenie się społeczeństwa, jasne jest, że miasta będą potrzebowały innej infrastruktury, dostosowanej do potrzeb seniorów. Równocześnie zadaniem polskich miast jest zatrzymanie mieszkańców. Tu pojawia się kolejna kwestia. Ponieważ w Polsce nie dorobiliśmy się podatku lokalnego, samorząd jest finansowany praktycznie wyłącznie z pieniędzy redystrybuowanych z centrum, poprzez subwencje i dotacje. Środków własnych w postaci podatków, głównie majątkowych, gminy mają mało, ok. 20–30 proc., reszta to udziały w PIT i CIT oraz subwencje plus dotacje. W związku z tym miasto ma związane ręce. Oczywiście możemy stawiać na nowinki techniczne, możemy wprowadzać rozwiązania z zakresu *smart city*, ale dopóki nie zmienimy fundamentu, dopóty będziemy się bawić w budowanie autobusu bez kierowcy, jak np. w Rzeszowie. A prawdziwym problemem jest brak środków na dobrze działającą pomoc społeczną. Interesy mieszkańców są niejednorodne. Miasto jest poligonem wielu konfliktów i musi stawić im czoło.

**Radek Ratajczak:** Musimy walczyć o dobrze zaprojektowaną przestrzeń. Jeżeli spojrzymy na miasto jak na produkt lub usługę (bo de facto jest ono wypadkową wielu produktów i usług), to od

Możemy wprowadzać rozwiązania z zakresu *smart city*, ale dopóki nie zmienimy fundamentu, dopóty będziemy się bawić w budowanie autobusu bez kierowcy. A prawdziwym problemem jest brak środków na dobrze działającą pomoc społeczną.



W wielu współczesnych miastach najpotrzebniejsze wydaje się wdrożenie innowacji społecznych. Port w Pireusie, Grecja, 2017 r.

razu możemy się przekonać, czy jest dobrze, czy źle zaprojektowane. Piesi gubią się w Warszawie w przejściu podziemnym koło Rotundy, bo nikt nie zadbał o dobry projekt komunikacji. To, że miasto jest obszarem konfliktu między rowerzystami a osobami, które poruszają się samochodem, też wynika z faktu, że pewne rozwiązania zostały źle zaprojektowane – są wciskane w tkanę miejską na siłę, bez gruntownej analizy i identyfikacji potrzeb. Miasto powinno być wypadkową wielu dobrze zaprojektowanych produktów i usług, bowiem to nie tylko beton, do którego bardzo często sprowadzamy nasze myślenie o przestrzeni miejskiej i architekturze. Miasto to przestrzeń, w której żyją ludzie.

**Maciej Fijałkowski:** Chciałabym zwrócić uwagę na konflikt na styku miasto – państwo. W historii ludzkości z reguły te państwa były silne, które miały silne miasta. Jesteśmy teraz w momencie, w którym następuje rozdźwięk pomiędzy kreowaniem rzeczywistości z punktu widzenia państwa a rzeczywistością z punktu widzenia miast. Coraz częściej rządy nie odpowiadają na potrzeby miast. Zaś mieszkańcy chcą, aby zapewniono im określone usługi publiczne. Swoje kroki kierują do władarzy miast. I słusznie, bo samorządy lokalne, szczególnie w dużych ośrodkach, jak Warszawa, zapewniają wiele usług publicznych na rzecz obywateli. Jednak regulacje podejmowane na





© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM

szczeblu parlamentarnym nie uwzględniają potrzeb i możliwości samorządów, co powoduje bardzo dużo komplikacji. Z tego powodu rozdzięk w myśleniu o obywatelach na poziomie krajowym i na poziomie miasta będzie coraz większy.

**JG:** Czy jesteśmy gotowi, aby zmierzyć się z tymi wyzwaniami?

**AD:** Nie wszystko zależy tylko od nas. W książce Benjamin Barbery pt. „Gdyby burmistrzowie rządili światem” możemy zapoznać się z ciekawą teorią, że to miasta staną się wkrótce motorem cywilizacyjnego rozwoju. Ale w Polsce 60 proc. mieszkańców żyje na wsi, mamy 50 proc. terenów rolniczych, trudno więc mówić o kraju miast. Samorząd w Polsce ma dwa podstawowe problemy. Po pierwsze, jego finansowanie (np. sposób naliczania subwencji oświatowej) jest w całości zależne od władz centralnych. Po drugie, samorząd nie ma tzw. samodzielności organizacyjnej, to znaczy nie może kształtować swoich struktur i realizować zadań tak, jak byłoby to dla niego optymalne. Musi kierować się ustawowym obowiązkiem realizowania narzuconych zadań poprzez swoje jednostki organizacyjne, co zamyka drogę do wykorzystania outsourcingu. Weźmy na przykład gminę Łochów leżącą

w powiecie węgrowskim, która liczy 14 tys. mieszkańców i ma obowiązek posiadania domu kultury. Obok leży gmina Jadów mająca 6 tys. mieszkańców i ona również ma obowiązek posiadania domu kultury. Burmistrz i wójt nie mogą zrobić jednego domu kultury, bo każdy z nich ma obowiązek prowadzenia swojego. To jest kompletny absurd. Gorset ustawowy i prawny krępuje wszelkie sensowne działania samorządów. Jednocześnie proszę zwrócić uwagę, że na przestrzeni ostatnich 10 lat nieprawdopodobnie wzrosły oczekiwania społeczne. Ludzie nie oczekują już tylko sprawnych wodociągów i kanalizacji. Chcą mieć dobrych nauczycieli w przedszkolach, świetnie działającą służbę zdrowia. Oczekiwania poszybowały w górę, a samorzady nadal obowiązują prawo z lat 90. Samorząd miał być formą decentralizacji usług, ale wciąż pokutuje myślenie, że wszystko musi być centralne. Mamy dość słabo rozwinięte mechanizmy partycypacyjne.

**PW:** Samorzady, przy wszystkich ograniczeniach, mają dość duży margines wykorzystywania potencjału społeczności miast. Mam przyjemność współtworzyć fundację, która zaproponowała miastu, że je wyręczy w tworzeniu ośrodka kulturalnego skupionego na edukacji literackiej. Wiedzieliśmy, że miasto nie miało ani zdiagnozowanych potrzeb mieszkańców w tej dziedzinie, ani nie miało specjalistów, którzy mogliby się tym tematem zająć. Nasza fundacja zdołała wzbudzić zaufanie urzędników miejskich odnośnie jakości programu i profesjonalizmu. Powierzono nam lokal o powierzchni 120 m kw. z przeznaczeniem na centrum literackie. I tak kiluosobowy zespół wykreował i realizuje program, który odpowiada na potrzeby nie tylko najbliższej dzielnicy, ale całego miasta. Jesteśmy startupem kulturalnym. Nie zakładaliśmy takiej roli, ale okazała się potrzebna i możliwa do wykonania dzięki współpracy z miastem.

**RR:** Chciałbym zwrócić uwagę, że przepisy i ograniczenia są bardzo często traktowane jako wymówki, aby nie robić rzeczy odważnych, nowoczesnych, obarczonych ryzykiem. Jeżeli nie ma pieniędzy budżetowych, włodarze miast mogą szukać inwestorów i wspólnie z nimi podejmować działania.

**MF:** W Polsce lubimy patrzeć krytycznie. Poziom zaufania społecznego do polityków, partii i parlamentu oscyluje w granicach 20–30 proc. Zaś w przypadku władz lokalnych jest dwa razy wyższy, zapewne dlatego, że większość samorządowców nie reprezentuje partii politycznych. Inną ważną kwestią jest wprowadzenie do kultury urzędniczej prawa do popełnienia błędu, bo błąd jest elementem działania. W ostatnich latach udało nam się zbudować dobrze funkcjonujące porozumienie metropolitarne. Wypracowaliśmy system podejmowania decyzji oparty na wzajemnym zaufaniu. Jeżeli nie wprowadzimy do naszego myślenia prawa do błędu, to ciężko będzie rozwijać nasze miasta.

**JG:** Na czym polega tajemnica miast, które osiągnęły sukces? Jak rozumieją innowacyjność? Na czym polega ich energia?



**PW:** Innowacje przyjmują różne formy, ale najwięcej jest ich „na dole”, czyli tam, gdzie najwięcej miejsca, a najmniej pieniędzy, państwa i władz miejskich. Innowacje można wprowadzać w sposób systemowy, jak w Masdarze – mieście eksperymentalnym stworzonym przez rząd centralny we współpracy z władzami lokalnymi i instytutami badawczymi ze świata. Tam rozwój innowacji jest niesłychanie mozolny i całkiem uzależniony od pieniędzy. Pozostało niewiele miejsca na spontaniczność, która moim zdaniem nieodłącznie musi towarzyszyć innowacyjności. Dużo bardziej inspirujące przykłady działań znajdowałam w fawelach w Rio de Janeiro, czyli w obszarach biedy i ubóstwa. Tam, gdzie państwo nie ma gotowych rozwiązań, natychmiast uruchamia się wyobraźnia, przedsiębiorczość i kreatywność ludzi, których trudne warunki życia zmuszają do tworzenia własnych sposobów przetrwania. I tak w Kiberze, dzielnicy największych slumsów Nairobi, młodzi mieszkańcy stworzyli aplikację z mapą obszarów formalnie nieistniejących, aby do potrzebujących mógł dotrzeć lekarz czy listonosz. Bardzo podobnie działają młodzi ludzie w Rio de Janeiro, choć oni mają wsparcie ośrodków technologicznych. Powstają aplikacje pozwalające omijać korki czy znaleźć sklep oferujący najtaniej dany produkt. To są być może niewielkie, ale skuteczne działania mieszkańców w obszarach, do których nie docierają urzędnicy samorządowi.

Dużo bardziej senni i spacyfikowani są mieszkańcy zamożnych rejonów miasta. Obserwujemy tam problem prywatyzacji przestrzeni pseudo- czy parapublicznych. Wydaje nam się, że jesteśmy w przestrzeni miejskiej, a tak naprawdę jesteśmy w przestrzeni precyzyjnie zaprojektowanej na potrzeby biznesu, w której już nie jesteśmy obywatelami miasta, lecz konsumentami funkcjonującymi w sposób przewidywalny, pożądany przez biznes. Taki problem obserwuje się w Londynie, ale również w Warszawie.

**JG:** Dobrą płaszczyzną wiążącą wspomniane wątki jest teoria ekonomiki bliskości, którą Mariusz Sokołowicz przybliża nam w swojej książce. Czy może być ona użyteczna dla miast, które chcą świadomie i dobrze budować swoją przyszłość?

**MS:** Ekonomia bliskości podejmuje rozważania, w jaki sposób bliskie kontakty w sensie geograficznym i społecznym wpływają na rozwój. Zaczęło się od Doliny Krzemowej, gdzie pokazano, że innowacja wyrasta z relacji pomiędzy małymi przedsiębiorcami, którzy w garażach otwierali swoje pierwsze biznesy. Znamy hasło: „Myśl globalnie, działaj lokalnie”. Wiemy, że relacje osobiste są niezwykle ważne. Ale chciałbym nawiązać do wcześniejszych wypowiedzi, ponieważ zauważyłem pewną sprzeczność. Z jednej strony mówimy, że bardzo nam zależy na demokracji deliberacyjnej, na przedsięwzięciach związanych z tzw. partycypacją społeczną, przekazaniem mieszkańcom budżetów na realizację projektów lokalnych. A z drugiej strony twierdzimy, że jednym z najlepszych osiągnięć polskiej reformy samorządowej jest silna pozycja wójta,

burmistrza i prezydenta. Być może na pewnym etapie rozwoju samorządności silny wójt, burmistrz, prezydent miasta był atutem, a rada gminy czy miasta często ograniczała się do roli notariusza, akceptując bez wnikliwości decyzje przygotowane przez władzę wykonawczą. Jednak w takiej sytuacji konsultacje społeczne będą w znacznej mierze fasadowe. Oczywiście można angażować mieszkańców w realizację budżetów partycypacyjnych, choćby ze względu na ich wymiar edukacyjny. Budżet obywatelski polega na tym, że ludzie zgłaszają swoje projekty miejskie, które przez odpowiednie komisje są weryfikowane prawnie, administracyjnie i instytucjonalnie pod względem możliwości ich realizacji. W ten sposób mieszkańcy uczą się zarządzania miastem. Ważne jest zwiększanie udziału tego typu przedsięwzięć w strukturze budżetu miasta. A to znowu się łączy z bliskością, ponieważ chodzi o to, żeby namówić ludzi do wspólnego działania, mimo że czasem są z różnych światów.

**JG:** Co w takim razie musi się stać, aby mechanizmy angażowania różnych interesariuszy (np. biznesu, mieszkańców) były prawdziwym impulsem rozwojowym dla miast, a nie tylko fasadą? Co zrobić, żeby partycypacja społeczna stała się prawdziwym mechanizmem rozwoju miast?

**AD:** Po pierwsze, nie można wszystkich zmuszać do współdziałania. Są społecznicy, którzy mają potrzebę aktywności, ale większość takiej potrzeby nie ma. Żeby przekonać mieszkańców do większego partycypowania, trzeba postawić na informację i transparentność. Dopóki nie będzie prawdziwej jawności i przejrzystości, jak działa samorząd, na co wydaje pieniądze, jaka jest jego struktura – dopóty ludzie nie będą mieli ochoty angażować się w działania publiczne. Gdyby tak jak w Skandynawii wpływy z PIT były przekierowane w całości do samorządu, wtedy każdy mieszkaniec płaciłby w pierwszej kolejności na swoją wspólnotę lokalną i byłby z nią powiązany przez swój portfel, co znacznie zwiększyłoby jego partycypację. Obecnie mieszkańcy czasem biorą udział w konsultacjach społecznych, ale nie mają poczucia sprawczości, ponieważ konsultacje są niewiążące ze swej natury. Wiążące są jedynie referenda, ale te w Polsce dotyczą głównie odwołania wójta, burmistrza, prezydenta.

Żaś wóldarze lubią stawiać sobie pomniki i dlatego powstają filharmonie w Gorzowie i Wejherowie czy aquapark w Polkowicach. Kiedy pojawia się bodziec ekonomiczny, np. w postaci systemu Zintegrowanych Inwestycji Terytorialnych, wówczas samorządy zaczynają współpracować, gdyż widzą korzyści finansowe – otrzymują dofinansowanie na realizację konkretnego zadania. Są inne chlubne wyjątki. Prezydent Lublina, Krzysztof Żuk, doprowadził do tego, że strategię miasta pisało 2 tys. mieszkańców pod wodzą dra Mariusza Sagana. Pamiętajmy, że samorząd jest tworem bardzo złożonym, a miasto nie jest ani produktem, ani firmą. Ono jest wszystkim po trochu, dlatego tak trudno o nim mówić i nim zarządzać.



© KAMIL BROSZKO/BROSZKOCOM (7)



**Dr Jarosław Górski**, ekspert z zakresu marketingu terytorialnego, adiunkt na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego. Członek zarządu Fundacji Best Place – Europejskiego Instytutu Marketingu Miejsc. Współzałożyciel międzynarodowego

stowarzyszenia ekspertów w zakresie branding'u miejsc International Place Branding Association. Doradca prezesa Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego.



**Dr hab. Mariusz E. Sokołowicz**, prodziekan Wydziału Ekonomiczno-Socjologicznego Uniwersytetu Łódzkiego ds. projektów i toku studiów. Ekspert i konsultant w organizacjach rządowych i samorządowych. Prezes zarządu Fundacji Ulicy Piotrkowskiej. Autor i redaktor ponad 80 publikacji poświęconych problematyce zarządzania strategicznego samorządu terytorialnego i instytucji sektora publicznego. Jego zainteresowania naukowe dotyczą ekonomii miejskiej, ekonomii sektora publicznego, ekonomii instytucjonalnej oraz marketingu miejsc.

Od-nowa, projektujący i wdrażający zmiany systemowe w sektorze publicznym – samorządach, administracji centralnej i finansach publicznych.



**Agata Dąmbaska**, działaczka trzeciego sektora, współzałożycielka i liderka kilku organizacji pozarządowych. Publicystka, szefowa portalu polsko-czeskiego, tłumaczka, lektorka języka polskiego dla cudzoziemców. Współprowadzi think tank Forum

Od-nowa, projektujący i wdrażający zmiany systemowe w sektorze publicznym – samorządach, administracji centralnej i finansach publicznych.



**Radosław Ratajczak**, prezes zarządu, pomysłodawca i współtwórca pracowni myślenia projektowego Shopa. Ekspert w dziedzinie design thinking. Absolwent Programu Top 500 Innovators – stażu na Uniwersytecie Stanforda. Strateg, innowator. Twórca

i przez 10 lat dyrektor Akademickich Inkubatorów Przedsiębiorczości w Bydgoszczy. Z pasją zajmuje się przedsiębiorczością akademicką, transferem wiedzy i technologii z nauki do biznesu.



**Maciej Fijałkowski**, dyrektor Biura Funduszy Europejskich i Polityki Rozwoju Urzędu m.st. Warszawy.

W latach 2004–2007 pracownik Ministerstwa Rozwoju Regionalnego. Od 2007 r. zatrudniony w Urzędzie Miasta Stołecznego Warszawy. Nadzoruje m.in.

zarządzanie polityką rozwoju, zarządzanie budżetem inwestycyjnym, przygotowanie i realizację projektów dofinansowanych ze środków UE i współpracę metropolitarną. W latach 2011–2016 odpowiedzialny za prowadzenie polityki rozwoju gospodarczego w m.st. Warszawie.



**Paulina Wilk**, pisarka i publicystka.

Autorka książki „Pojutrze. O miastach przyszłości” – zbioru esejów poświęconych nowym metropoliom i rozwojowi urbanistyki. Wcześniej opublikowała „Lalki w ogniu. Opowieści z Indii” (2011), „Znaki szczególne” (2014) i serię książek

dla dzieci o Misiu Kazimierzu (2012). Jest redaktorką działu kultura i społeczeństwo w kwartalniku „Przekrój”, współpracuje z „Polityką” i „National Geographic Traveler”. Współzałożycielka Fundacji „Kultura nie boli”, rozwijającej edukację literacką, współtwórczyni Big Book Festival.





© ARCHIWUM ELŻBIETY DZIKOWSKIEJ

## Elżbieta Dzikowska

(ur. 1937 r. w Międzyrzeczu Podlaskim) – historyk sztuki, sinolog, podróżniczka, reżyserka i operatorka filmów dokumentalnych, fotografka, autorka wielu książek, programów telewizyjnych, audycji radiowych, artykułów publicystycznych, a także wystaw sztuki współczesnej. Wraz z Tonym Halikiem zrealizowała dla Telewizji Polskiej około 300 filmów dokumentalnych ze wszystkich kontynentów. Od kilkunastu lat popularyzuje odkrywanie Polski, której poświęciła cykle wydawnicze „Groch i kapusta” oraz „Polska znana i mniej znana”. Z jej darów powstało Muzeum Podróżników im. Tony’ego Halika w Toruniu, a z inicjatywy – pomnik Ernesta Malinowskiego na przełęczy Ticlio w Peru.

# Przerzuciłam się na **groch i kapustę**

O walorach Polski, podróżach dalekich i bliższych oraz o Tonym Haliku z **Elżbietą Dzikowską** rozmawia Kamil Broszko.

**Kamil Broszko:** Przez ostatnie lata z dużą konsekwencją opisuje pani swoje podróże po Polsce. Co tu u nas może zaskoczyć osobę, która zobaczyła niemal cały świat?

**Elżbieta Dzikowska:** Mnóstwo rzeczy! Polska jest wielkim i ciekawym krajem. Kiedyś był „Pieprz i wanilia”, czyli to, co dalekie, egzotyczne, inne. Widzowie mieli do nas duże zaufanie, więc uznałam, że warto to wykorzystać i zrealizować program pt. „Groch i kapusta”. Później napisałam książki pod tym tytułem. Kiedy świat stał się bardziej otwarty i ludzie zaczęli wyjeżdżać za granicę, ja zajęłam się Polską, bo ona się jakby trochę zamknęła. Obecnie organizuje się znacznie mniej krajowych wycieczek szkolnych czy wczasów pracowniczych. Rodacy interesują się tym, co dalekie. Teraz każdy, kto ma czas i pieniądze, może wyruszyć niemal gdziekolwiek. A ja uważam, że trzeba przede wszystkim poznać swój kraj. I dlatego też jeżdżę i odkrywam różne ciekawe rzeczy – Polskę znaną i mniej znaną, która interesuje mnie najbardziej. Najpierw napisałam cztery tomy „Grochu i kapusty”, a następnie cztery tomy „Polski znanej

i mniej znanej”, zaś obecnie przymierzam się do piątego tomu. Polska mnie naprawdę fascynuje. Przeszłam ją kiedyś wzdłuż i wszerz, przepłynęłam ją kajakiem i żaglówką. A teraz jeżdżę sama albo z przyjaciółmi. Zawsze też staram się, aby towarzyszył mi ktoś, kto tę Polskę zna: historyk lub przewodnik, bo wtedy łatwiej znaleźć to, co najciekawsze, i więcej się można dowiedzieć. Oczywiście praca nad książkami to nie tylko wyjazd, fotografowanie i rozmowy. Później trzeba jeszcze poczytać, zrozumieć, nauczyć się, co bardzo mnie cieszy, bo dzięki temu wciąż się rozwijam. A jak nie idziemy do przodu, to nie stoimy w miejscu, tylko się cofamy.

**KB:** Dzisiejsze przewodniki raczej syntetyzują, a pani tomy o Polsce formatem zbliżają się do dużej encyklopedii.

**ED:** Chcę, aby moje przewodniki były bardzo osobiste. Staram się zachęcić czytelników do poznawania nie tylko poprzez ścisłe fakty historyczne, ale także poprzez anegdotę, opis sytuacji, w których się znalazłam, aby zdobyć materiał. Zresztą nie tylko





**1** Prezbiterium Sanktuarium Maryjnego w Brzesku w Zachodniopomorskiem

**2** Polichromia w kościele pw. św. Michała Archanioła w Binarowej

**3** Wnętrze Kościoła Pokoju w Jaworze



© ELŻBIETA DZIKOWSKA (3)

piszę książki o charakterze przewodników, ale też wydaję albumy, np. „Moje Ponidzie”. Pytają mnie, gdzie to Ponidzie. A ja mówię, że tam, gdzie Nida płynie; tam, gdzie Pińczów, Wiślica, Jędrzejów, Szydłów. To jest nasza dawna, bardzo ważna polska dzielnica, poza Krakowem i Sandomierzem niegdyś najważniejsza. Pięć lat przygotowywałam ten album i myślę, że nie tylko wyszedł ładnie, ale też wiele można się z niego dowiedzieć. Zapraszam na Ponidzie, choćby do Buska-Zdroju – gdzie reaktywuję swój kręgosłup – ale też w Bieszczady. Wydałam album „Moje Bieszczady”. Jestem obywatelką honorową Ustrzyk Górnych, mam w hotelu górskim pokój, podobno bezterminowo, z widokiem na Połoninę Caryńską, a pod oknem szmerze potok Wołosaty. To naprawdę przepiękne miejsce, bo jeszcze bez smogu, bez tłumów, niezadeptane. Mam rozdarte serce, bo chciałabym, aby jak najwięcej turystów tam przyjeżdżało i cieszyło się pięknem oraz by tamtejsi ludzie mieli z czego żyć. A zarazem boję się tego zadeptania.

**KB:** Niebawem rozpocznie pani pisanie piątego tomu „Polski znanej i mniej znanej”, a ja poproszę o wymienienie pięciu polskich atrakcji, niekoniecznie z głównego turystycznego nurtu, które można polecić przyjacielowi z zagranicy po raz pierwszy odwiedzającemu Polskę.

**ED:** Koniecznie Bieszczady. Tam, gdy się jest na połoninach, to nic widoku nie zaśnie, a w dobrą pogodę można nawet Tatry zobaczyć. Uwielbiam Biebrzę i lubię nad nią latać balonem – przepięknie z góry wygląda. Kolejne miejsce to oczywiście... Toruń! Również dlatego, że jest tam Muzeum Podróżników im. Tony'ego Halika. Już dwie kamieniczki są pełne przekazanych przeze mnie eksponatów. Samo miasto też jest przepiękne, ratusz gotycki, chyba najpiękniejszy w Europie, czyli też na świecie, bo gotyku poza Europą nie było. Kolejna pozycja to Dolny Śląsk z Doliną Pałaców i Ogrodów. Jest tam więcej pałaców i zamków niż nad Loarą. Absolutnie godne polecenia. Teraz odkrywam Zachodniopomorskie – bardzo ciekawy region. Kto wie o Trzcińsku-Zdroju, o Moryniu? A to kolejne – po Paczkowie i Szydłowie – piękne średniowieczne miasta, otoczone murem niczym francuskie Carcassonne, do których warto pojechać. W Zachodniopomorskiem znajdziemy też budownictwo ryglowe, charakterystyczne dla Pomorza Zachodniego. A ileż tam jest romańskich i gotyckich kościołów, naprawdę zupełnie nieznanymi! Jest Kłępsk w Lubuskim, a w nim cudowny drewniany kościół z przepiękną polichromią. A niedaleko Warszawy, pod Rawą Mazowiecką, mamy Boguszyce, w których znajdziemy kościół z przepięknym manierystycznym malarstwem na stropie i ścianach. Podobnie w Dębnie. A Binarowa w Małopolsce?

A Małujowice na Opolszczyźnie, gdzie w kościele znajdziemy gotyckie malarstwo pokrywające wszystkie ściany? No i jeszcze przy okazji przypomnę Wiślicę, z pięknymi polichromiami, i Bejsce, koło Kazimierza Wielkiej, w której znajdziemy kaplicę Firlejów, najpiękniejszą manierystyczną kaplicę w Polsce. I do tego też gotyckie malarstwo na ścianach. A w Wiślicy bizantyjskie, wykonane przez malarzy sprowadzonych ze Wschodu przez Władysława Jagiełłę.

**KB:** Chciałbym wrócić do czasu pierwszych „Kontynentów”. Zajęła się w nich pani Ameryką Łacińską.

**ED:** Tak, po raz pierwszy z ramienia „Kontynentów” popłynęłam do Ameryki Łacińskiej, statkiem o romantycznej nazwie „Transportowiec”, przez Kubę do Meksyku. Moja podróż trwała trzy miesiące. Nie było łatwo wówczas wyjechać, bo trzeba było zdobyć paszport, a ja miałam złe uwarunkowania polityczne, ponieważ siedziałam w więzieniu za działalność antykomunistyczną. Mój szef z „Kontynentów” o tym nie wiedział i postanowił mnie wysłać. Zwierzylam mu się przed wyjazdem, ale widocznie miał chody, gdzie trzeba, bo mi ten paszport załatwił. A jak wyjechałam i wróciłam, to później już nie miałam problemów. Na trzymiesięczny wyjazd dostałam 180 dolarów, za które – oszczędzając nawet na wodzie – zwiedziłam wszystko, co chciałam. Głównie interesowała mnie przeszłość przedkolumbijska, a także sztuka współczesna. Poznałam wszystkich najważniejszych meksykańskich artystów. Z moich przeżyć zwierzać się w książce pt. „Tam, gdzie byłam”. Opisuję w niej podróże do Ameryki Środkowej, na Antyle, Haiti, Jamajkę. W drugim tomie opisuję Amerykę Południową, a dokładnie Wenezuelę, Ekwador, Kolumbię, Boliwię i Peru, do którego jestem szczególnie przywiązana – w ubiegłym roku byłam w tym kraju po raz 13.

**KB:** Dziś dziennikarze pędzą, nieraz trzeba napisać kilka tekstów dziennie. Jak w czasach pani pierwszej podróży wyglądała praca reportera? Wysyłała pani teksty czy formułowała je po powrocie do Polski?

**ED:** Pisałam po powrocie. Prowadziłam już wówczas dział, więc nie miałam obowiązku oddania zaplanowanych tekstów. Za każdy artykuł dostawałam honorarium. Moim zadaniem było wymyślanie, redagowanie, zamawianie, a sama pisałam to, co chciałam, bowiem nie były to sprawy polityczne, więc z cenzurą niewiele miałam do czynienia.

**KB:** Później zaczął się etap multimedialny, rozpoczęła pani przygodę z filmem i fotografią.

**ED:** To wynikało z wymogów czasopisma, ale także z mojej wewnętrznej potrzeby. Uczylałam się fotografowania na historii sztuki, ale nie bardzo umiałam się z tym uporać. Początkowo zdjęcia niezbyt dobrze mi wychodziły. Przed wyjazdem Tadeusz Kubiak z „Ekranu” nauczył mnie, jak się zakłada film, bo wcześniej nie miałam do czynienia z tego typu aparatami. Szybko odczułam potrzebę realizowania obrazu ruchomego, więc skończyłam kurs

**Elżbieta  
Dzikowska  
w podróży**



© ARCHIWUM ELŻBIETY DZIKOWSKIEJ

operatorski u pana Adama Gotwalda. Od tego czasu jeździłam z kamerą. Jednak sama zrobiłam zaledwie sześć filmów. Kiedy poznałam Tony’ego, uznałam, że on jest znacznie lepszym operatorem niż ja, więc wspólnie zajmowaliśmy się wymyślaniem i realizacją tematów, a on filmował. Natomiast przez całe życie zajmuję się fotografią. Wydałam albumy: „Uśmiech świata”, „Biżuteria świata”, „Moje Poniemie”; teraz pracuję nad albumami: „Dzieci w obiektywie Elżbiety Dzikowskiej”, „Drzwi i okna świata” i „Fryzury i nakrycia głowy świata”. Oprócz fotografii dokumentalnej robię zdjęcia artystyczne. Wykonuję makrofotografie: małe fragmenty natury przeskalowuję do dużych formatów (nawet 2 × 1,40 m) i ta natura staje się abstrakcją, a jednocześnie pozostaje realna i zaświadcza, że abstrakcji nie ma – wszystko wywodzi się z natury, ona jest największą inspiracją.

**KB:** Dziś nie trzeba dźwigać sprzętu, aby zrobić niezłą fotografię, nie trzeba być specjalnie zdeterminowanym, żeby podróżować po świecie – każdy może zostać dziennikarzem, a przynajmniej blogerem.

**ED:** To świetnie. Niech się ludzie przemieszczają, niech poznają świat, porównują, wyciągają wnioski, niech fotografują, filmują. Nie traktuję tych działań w kategoriach konkurencji. Przeżywam rzeczywistość na własny użytek, a dzielę się swoimi obserwacjami i emocjami ciągle, bo na tym polega mój sens życia. Chcę się dzielić, dawać coś od siebie; chcę, żeby coś pozostało. To moja pasja, a życie bez pasji jest jak potrawa bez soli. Oczywiście też przestawiłam się na technologię cyfrową, co jest nieprawdopodobnym ułatwieniem. Szczególnie w przypadku podróżników, bowiem chodzi o zredukowanie bagażu. Nie możemy się jeszcze całkowicie zdać na telefon – chcąc dobrze fotografować, trzeba zabrać kilka obiektywów, jakiś statyw (ja mam akurat jednonożny, bo lżejszy – monopod).

**KB:** Przeczytałem niedawno, że wiele nowoczesnych kobiet chce dziś podróżować w pojedynkę, samodzielnie doświad-





czać świata. Pani podróżowała sama, zanim to stało się modne.

**ED:** Przez 15 lat podróżowałam sama, było to dla mnie naturalne, ale też wynikało z uwarunkowań mojej pracy. Później, przez lata, odbywałam podróże z mężem, a teraz wyjeżdżam z przyjaciółmi i dziś najbardziej lubię taki sposób spędzania czasu. To daje możliwości wymiany doświadczeń, obserwacji, możliwość wspólnego wspomnienia. Nie znam aktualnych trendów i najbardziej znanych obecnie podróżników. Moja przyjaciółka Martyna Wojciechowska jeździ sama... ale z ekipą. To dobrze, bo dzięki temu powstają jej świetne programy.

**KB:** Chciałem poprzednim pytaniem zainicjować kwestię równouprawnienia. W tej niesamowitej opowieści, którą pokochały miliony Polaków, państwo funkcjonowali jako równorzędni partnerzy. Jednak nawet dziś pozostaje wiele obszarów rzeczywistości zdominowanych przez mężczyzn, a kobieta nie zawsze jest partnerem.

**ED:** Przeczytałam niedawno w prasie, że kobiety zarabiają średnio ponad 700 zł mniej niż mężczyźni, co jest potwierdzeniem, że równouprawnienia nie ma. Natomiast ja się nigdy z dyskryminacją nie spotkałam, nigdy nie byłam gorzej traktowana dlatego, że jestem kobietą. Zawsze miałam w pracy różne możliwości, podobnie jak mężczyźni, i nigdy mi moja płeć nie przeszkadzała.

**KB:** Ostatnio modna jest w naszym kraju literatura biograficzna, w której dokonuje się dekonstrukcji wielkości dawnych bohaterów. Symbolem takiej książki jest „Kapuściński non-fiction” Artura Domosławskiego, ale w ostatniej biografii pani męża „Tu byłem. Tony Halik” również możemy odnaleźć podobne tropy.

**ED:** Odnośnie książki Artura Domosławskiego jestem bardzo krytyczna. Część informacji o najbliższej rodzinie nie powinna się tam znaleźć. Biografowie mogą przedstawiać takie fakty 50 lat po

śmierci opisywanych osób, ale nie za ich życia. W przypadku książki o Ryszardzie uważam, że mamy do czynienia z wykorzystaniem przez autora osobistych relacji i nadużyciem zaufania. Domosławski jest dobrym dziennikarzem, ale użył wtedy swego warsztatu w złym celu. Rysiek miał prawo tworzyć nową jakość, nowy gatunek, czyli reportaż literacki, a kiedy zmarł, wpatrzony wcześniej w niego uczeń zarzucił mu konfabulację. A jeśli chodzi o Tony’ego – mój mąż nie chciał, aby upubliczniono pewne dokumenty, dlatego napisał na zaklejonej kopercie: „spalić po mojej śmierci”. Na szczęście ich nie spaliłam, a z owych dokumentów wynika, że choć był wcielony siłą do wermachtu, to zdezerterował z tego wojska, aby walczyć we francuskim ruchu oporu. Dokumenty, które uważałam za jakieś brzemie, tak naprawdę wspaniale świadczyły o jego dzielności. Są tam między innymi świadectwa jego dowódców. Chcę podkreślić, że nie oceniam negatywnie ostatniej biografii mojego męża. Zgadzam się z opinią, że uczłowiecza guru podróży.

**KB:** Pani, doświadczona dziennikarki, nie razi, że niby żyjemy dziś w czasach dalece mniej podłych niż głęboka komuna, ale nie dotyczy to standardów obowiązujących w mass mediach?

**ED:** Oczywiście razi, ale też proszę zwrócić uwagę, że kiedyś pewne teksty i audycje nie mogły powstać, bo nie można było wszystkiego napisać. Dziś mamy wolność słowa i płacimy za to pewną cenę, ale to lepsze niż niegdysiejsza cenzura. Nie wyobrażam sobie, żeby można było wtedy pisać o kimś, kto współpracuje z ubecją.

**KB:** Czy podczas rozlicznych podróży w rozmaite zakątki globu patrzyła pani na napotykanych ludzi przez pryzmat cech zbiorowości, zarówno tych wzniosłych, jak i stereotypów czy przywar?

**ED:** Wszyscy jesteśmy ludźmi i powinniśmy przede wszystkim to brać pod uwagę. Szanować swoje jestestwo, swoją odmiennność, mieć empatię, rozumieć i uczyć się jeden od drugiego. A sporo się można nauczyć, kiedy przestanie się myśleć o swojej kulturze z wyższością. Wystarczy pojechać do Kambodży i zobaczyć obiekty, które tam wznoszono w czasach, kiedy Polska jeszcze nie istniała. Nie mogę powiedzieć, że ta Polska była wówczas lepsza, bo jej w ogóle nie było, tak jak wielu innych, ważnych dziś krajów. Uważam, że powinniśmy zasypywać przepaście, które tak bardzo nas teraz dzielą. Dziś czasami trudno jest rozmawiać z innym człowiekiem, bo się zaperza. Ludzie posługują się przeświadczeniem na różne tematy graniczącym ze ślepą wiarą, a nie odwołują się do głosu rozsądku.

**KB:** Gdyby miała pani wygłosić krótkie przesłanie dla całego świata, czy wspomniałaby w nim właśnie o rozsądku?

**ED:** Oczywiście, rozsądek jest kluczowy, ale także tolerancja, empatia, zrozumienie dla każdego, niezależnie od koloru skóry i pochodzenia. Nie zapominałabym także o wolności i demokracji.



# Design w muzeum

Fotele Józefa Chierowskiego i Romana Modzelewskiego, gramofon Bambino, unikalna porcelana i barwne tkaniny lat 50. i 60. XX w. Goście nowo otwartej Galerii Wzornictwa Polskiego w Muzeum Narodowym w Warszawie wybiorą się w pasjonującą podróż przez kolejne epoki polskiego designu.

**N**a zakończenie 2017 r. Muzeum Narodowe w Warszawie (MNW) przygotowało wyjątkową atrakcję dla zwiedzających. Od 15 grudnia rodzimy design zyskał stałe miejsce w Galerii Wzornictwa Polskiego, prezentującej najważniejsze zjawiska w polskim wzornictwie od początku XX w. po czasy współczesne.

MNW udostępnia widzom pierwszą przekrojową prezentację rodzimego wzornictwa. To prawdziwe święto designu! W kameralnej przestrzeni kuratorki prezentują ikony polskiego wzornictwa oraz modele i prototypy, które nie zaistniały w masowej produkcji. – *Mamy nadzieję, że w przyszłości uda nam się zaprezentować zbiory Ośrodka Wzornictwa Nowoczesnego w powiększonej przestrzeni naszego muzeum* – mówi Piotr Rypson, zastępca dyrektora Muzeum Narodowego w Warszawie.

Nowa galeria stała w MNW pokazuje, jak o projektowaniu myśłano w różnych epokach i środowiskach twórczych – od kręgu zakopiańskiego,

„Sexbomby”, figurki porcelanowe z Zakładu Ceramiki IWP, 1958–1959, prototypy; porcelana, szkliwo; Henryk Jędrasiak



© PIOTR LIGIER/MUZEUUM NARODOWE W WARSZAWIE



Zestaw New Atelier, fragment; proj. Marek Cecuła, Modus Design, Ćmielów Design Studio; prod. Polskie Fabryki Porcelany „Ćmielów” i „Chodzież”; porcelana, szkliwo; 2013 r.



© PIOTR LIGIER/MUZEUUM NARODOWE W WARSZAWIE



© PAWEŁ GIERGON/MUZEUUM NARODOWE W WARSZAWIE

Tkanina dekoracyjna z baru Christine w Warszawie, 1955–1959, Hanna Rechowicz



Krzesło Piórka,  
Jan Kurzątkowski,  
Spółdzielnia Arty-  
stów „Ład”, jesień,  
1935 r.

© MICHAŁ KORTA/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



Stółek Ribbon, proj. Jan Lutyk;  
sklejka gięta, klejona; 2012 r.

© PIOTR LIGIER/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



Fotel Tulipan,  
proj. Teresa Kruszewska,  
prototyp,  
Zakład Mebli Giętych  
w Radomsku;  
gięta sklejka,  
tapicerka; 1973 r.

© PIOTR LIGIER/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Aparat fotograficzny  
Alfa, proj. Krzysztof  
Meisner, Olgierd  
Rutkowski, prod.  
Warszawskie Zakłady  
Fotooptyczne; metal,  
tworzywo sztuczne;  
1959 r.



© MICHAŁ KORTA/MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE





© BARTOSZ BAJEŃSKI/MUZEUUM NARODOWE W WARSZAWIE

Warsztatów Krakowskich, Spółdzielni Artystów „Ład” i modernistów z grupy Praesens, przez powojenny czas odbudowy, socrealizm, odwilż i poodwilżową nowoczesność (najbardziej dynamiczne lata polskiego wzornictwa), po najlepszy współczesny design. Osobne miejsce znajdują w niej zagadnienia związane z projektowaniem przemysłowym, projektowaniem dla dzieci oraz etnoprojektowaniem. W nowoczesnie zaaranżowanej galerii prezentowane są przedmioty pochodzące z seryjnej produkcji: popularne odbiorniki telewizyjne i radiowe, meble, tkaniny, sprzęt gospodarstwa domowego, jak również wybitne prace polskich autorów, które jako projekty, modele i prototypy nie były powszechnie dostępne, świadczą jednak o wielkim potencjale polskiego designu. Stworzone z wyjątkową inwencją przedmioty codziennego użytku prezentowane są w układzie chronologicznym, wyznaczonym przez najważniejsze wydarzenia artystyczne i historyczne. Całość wzbogacają materiały fotograficzne i fragmenty archiwalnych kronik filmowych. Design, wzornictwo, projektowanie to działalność twórcza najbardziej związana z codziennością. Piękne i użyteczne przedmioty, którymi się posługujemy, mają wpływ na nasze życie. – *W nowej galerii pokażemy, jak na przestrzeni XX i XXI w. artyści kształtowali materialne otoczenie człowieka. Prowadzimy widza przez kolejne dekady z charakterystycznymi dla nich stylistycznymi przemianami. Przedstawiamy kolejne stowarzyszenia i ważne dla rozwoju projektowania instytucje oraz dominujące środowiska artystyczne, aby przybliżyć to wymykające się jednoznacznej definicji pojęcie,*

*jakim jest wzornictwo* – mówi Anna Maga z Ośrodka Wzornictwa Nowoczesnego MNW, współkuratorka galerii.

Porządek chronologiczny pozwala prześledzić zmiany sposobu myślenia o projektowaniu, a także ukazuje wpływ okoliczności dziejowych, w tym gospodarczych. Otwierają go ostatnie dekady zaborów, zdominowane przez styl zakopiański Stanisława Witkiewicza, który miał spajać tożsamość narodu jeszcze przed odzyskaniem niepodległości. Natomiast w międzywojennych pracach artystów Warsztatów Krakowskich i warszawskich środowisk, w tym Spółdzielni Artystów „Ład”, widoczne były inspiracje brytyjskim ruchem Arts and Crafts. Szczególną grupę stanowią prace Karola i Zofii Stryeńskich oraz Antoniego Kenara, którzy uczestniczyli w Wystawie Sztuk Dekoracyjnych i Nowoczesnego Przemysłu w Paryżu w 1925 r.

Najważniejsze dzieła powojennego wzornictwa reprezentują prace tak różnych twórców, jak Władysław Strzemiński, Jan Bogusławski, Jan Kurzątkowski, a także późniejsze projekty Teresy Kruszeńskiej, Andrzeja Jana Wróblewskiego czy Barbary Hoff. Oddają one specyfikę twórczości z czasów odbudowy kraju, socrealizmu, lat po odwilży, a także nadchodzącego kryzysu gospodarczego. Wyzwanie podjęli projektanci, którzy musieli zmierzyć się z trudną sytuacją ekonomiczną. Mimo ograniczeń twórcy dbali o estetykę przedmiotów użytkowych, co pokazuje nowa ekspozycja, obejmująca zarówno przedmioty luksusowe, jak i te znajdujące się w powszechnym użyciu.

Program wydarzeń towarzyszących otwarciu Galerii Wzornictwa Polskiego obejmował interaktywne warsztaty dla rodzin, a także spotkania i wykłady w Kinie Muz z udziałem wybitnych specjalistów i projektantów. Dla gości z dysfunkcją wzroku przygotowano audiodeskrypcje wybranych dzieł, specjalne warsztaty z wykorzystaniem ćwiczeń dotykowych oraz bezpłatne oprowadzanie i lekcje dostosowane do różnych potrzeb zwiedzających. Ekspozycję można zwiedzać z audioprzewodnikiem.

Galeria Wzornictwa Polskiego powstała dzięki Ośrodkowi Wzornictwa Nowoczesnego Muzeum Narodowego w Warszawie, który w ramach Zbiorów Sztuki Nowoczesnej MNW od 1978 r. zajmuje się dokumentacją i gromadzeniem najznakomitszych przejawów polskiego designu. Stale powiększająca się kolekcja liczy obecnie ponad 25 tys. obiektów, na które składają się realizacje i projekty mebli, szkła i ceramiki, tkanin i odzieży, metaloplastyki, biżuterii, zabawek, przedmiotów gospodarstwa domowego oraz maszyn i urządzeń przemysłowych. Powstanie galerii poprzedzały wystawy polskiej sztuki użytkowej w MNW, w tym cieszące się dużym zainteresowaniem „Rzeczy pospolite. Polskie produkty 1899–1999” (2000 r.) i „Chcemy być nowocześni. Polski design 1955–1968 z kolekcji MNW” (2011 r.).

Kuratorki Galerii Wzornictwa Polskiego: Anna Demska, Anna Frąckiewicz, Anna Maga, Kaja Muszyńska

Ośrodek Wzornictwa Nowoczesnego MNW



# Muzeum Polskiej Piosenki w Opolu zaprasza

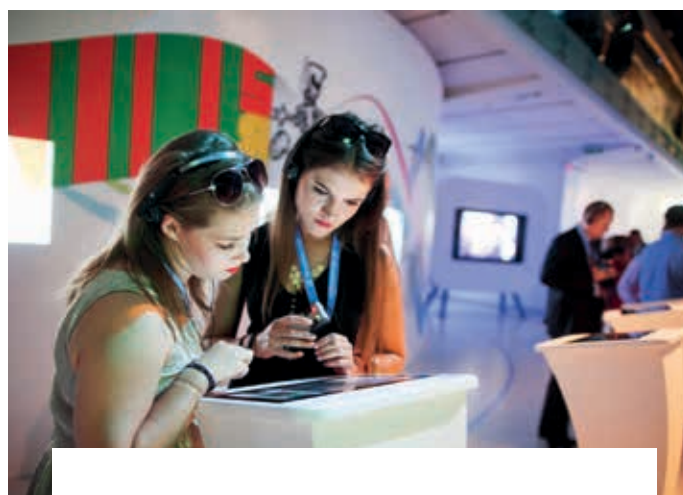
**27** sierpnia 2016 r. otwarto ekspozycję stałą Muzeum Polskiej Piosenki w Opolu. W tym wyjątkowym miejscu, będącym centrum informacji o polskiej piosence, chroni się jej dorobek, ze szczególnym uwzględnieniem zarówno wykonawców, jak i twórców.

Nowoczesne i interaktywne Muzeum mieści się w opolskim amfiteatrze. Wyróżnia je sposób zwiedzania. Każdy gość otrzymuje audioprzewodnik ze słuchawkami, który łączy się z poszczególnymi elementami ekspozycji i w sposób automatyczny transmituje dźwięk. Dzięki temu w Muzeum (w którym panuje cisza!) w jednym czasie zwiedzający mogą słuchać wybranych przez siebie piosenek, nie zakłócając odbioru innym.

Muzeum Polskiej Piosenki w Opolu, ul. Piastowska 14 A (Amfiteatr Tysiąclecia)  
[www.muzeumpiosenki.pl](http://www.muzeumpiosenki.pl), [muzeum@muzeumpiosenki.pl](mailto:muzeum@muzeumpiosenki.pl), tel. 77 441 34 86, 77 544 12 34  
 Wtorek–niedziela: 10.00–18.00  
 Ceny biletów: normalny – 15 zł, ulgowy – 10 zł, grupowy – 8 zł, rodzinny (2+2) – 42 zł

## Muzyczne ściany

To główny element wystawy stałej. Multimedialne treści – prawdziwa skarbnica wiedzy o polskiej piosence – wyświetlane są na wbudowanych monitorach. Po wybraniu folderu artysty można obejrzeć jego zdjęcia, teledyski, poznać dyskografię, a przede wszystkim posłuchać muzyki. Zasoby obejmują okres od lat 20. XX w. po czasy współczesne. Na ścianach znajdują się także specjalne soczewki, przez które można oglądać krótkie filmy pochodzące z Polskiej Kroniki Filmowej, przedstawiające historię Polski w każdej dekadzie.



## Wyspa tabletów

Muzyczne tematy związane z wybranym artystą mają swoją kontynuację na umieszczonych nieopodal tabletach. Jeśli na przykład wyświetlamy teledysk Maryli Rodowicz, to znajdujący się najbliżej nas tablet prezentuje pozostałe informacje dotyczące artystki (m.in. kolejne nagrania, informacje biograficzne, ciekawostki, wywiady).





## Ściana Opole

To miejsce poświęcone Krajowemu Festiwalowi Polskiej Piosenki. Monitory wyświetlają pełne informacje dotyczące każdej edycji festiwalu, a w wysuwanych szufladach można obejrzeć m.in. archiwalne bilety, scenariusze, a nawet pamiątki (np. porcelanowe filiżanki), specjalnie przygotowane na każdy festiwal.



## Wirtualne lustra

Tu jest najwięcej zabawy. Można stanąć przed wirtualnym lustrem, wybrać z katalogu zdjęcie stroju scenicznego podarowanego Muzeum przez polskich artystów, by za chwilę zobaczyć w lustrze swoją postać w kreacji np. Majki Jeżowskiej lub Piotra Rubika. Teraz wystarczy tylko zrobić zdjęcie i wysłać je na dowolny adres mailowy.



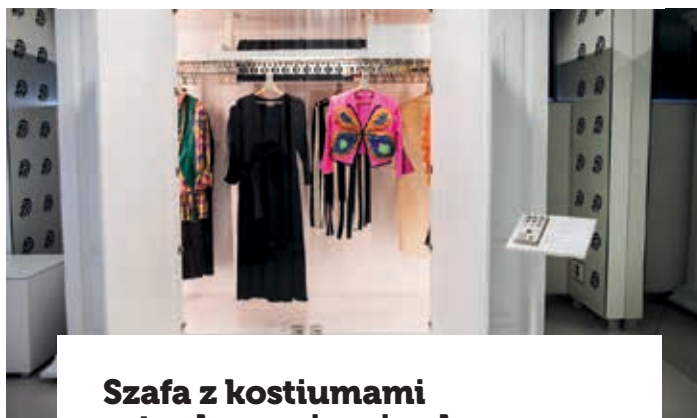
## Muzyczne kule

Osiem kul podwieszonych nad pierwszym poziomem Muzeum, a w nich ekrany i wygodne siedziska. Tu można zatopić się w historii polskich piosenek. Treści przedstawiane w tym miejscu pochodzą z „Leksykonu polskiej muzyki rozrywkowej” Ryszarda Wolańskiego. W kulach można też obejrzeć wszystkie odcinki programu muzycznego „Muzeum Polskiej Piosenki, czyli historia jednego przeboju”, wyprodukowanego przez Muzeum i TVP Rozrywkę.



## Budki nagraniowe

To jedna z największych atrakcji Muzeum. W trzech kameralnych studiach nagrań zgromadzono 200 pół-playbacków z najbardziej znanymi piosenkami dla dorosłych i dzieci. Po wybraniu podkładu muzycznego na monitorach wyświetla się tekst, który należy zaśpiewać, by zrealizować nagranie. Można je później przesłać na dowolny adres mailowy.



## Szafa z kostiumami estradowymi gwiazd

To miejsce idealne dla miłośników mody. W specjalnej szafie można oglądać sceniczne stroje gwiazd polskiej estrady, m.in. płaszcz Bogusława Meca, kostium Majki Jeżowskiej, frak Piotra Rubika oraz sukienki Kasi Kowalskiej, Reni Jusis i Justyny Steczkowskiej.



## Uwaga – oklaski!

W Muzeum znajduje się także stanowisko do nagrywania... oklasków. Wystarczy stanąć przed monitorem, uruchomić kamerę i po prostu klaskać. Nagranie można zobaczyć, wychodząc z obiektu. Zostanie wyświetlone wokół zainscenizowanej estrady.



## Muzyczne eksponaty

Muzeum posiada bogaty zbiór instrumentów, m.in. słynny fortepian Ed. Seiler z 1919 r., który widzowie mogą pamiętać z pierwszych opolskich festiwali, pianino Jerzego Petersburskiego, gitarę Jacka Skubikowskiego, harmoszkę Czerwonych Gitar, pałki Marka Kapłona, perkusisty TSA.

Atrakcją są również rękopisy największych przebojów, np. „Jezu, jak się cieszę” Lecha Janerki, „Piosenki księżycowej” Anity Lipnickiej czy „Korowodu” Leszka A. Moczulskiego, a także oryginalny, uzupełniony o notatki cenzury, scenariusz skeczu „Z tyłu sklepu” kabaretu Tey oraz list Edwarda Stachury do Jerzego Satanowskiego z rękopisem wiersza „Życie to nie teatr”.

W Muzeum znajduje się także wydzielony fragment ekspozycji poświęcony dźwiękowi, jego historii i formom zapisu. Można więc zobaczyć patefon, radiodiodniak detefon, ale i discman, który również przeszedł już do historii.



## Pokój dla dzieci

Mieści się w nim niezwykle atrakcja dla najmłodszych, czyli elektroniczna perkusja.



## Mediateka

Bogaty zbiór książek muzycznych oraz płyt CD i DVD.



© SŁAWOMIR MIELNIK/NPPWO (10)

## Działalność edukacyjna

Od czterech sezonów Muzeum organizuje Małą Akademię Piosenki – warsztaty muzyczne dla przedszkolaków i uczniów klas I–III prowadzone przez Igora Przebindowskiego oraz gwiazdy polskiej sceny muzycznej. Do tej pory gośćmi Akademii byli m.in. Anita Lipnicka, Katarzyna Groniec, Lora Szafran, Katarzyna Skrzynecka, Dorota Miśkiewicz, Rafał Brzozowski, Skubas, Szymon Wydra i Maciej Bałcar.

Muzeum zaprasza także na spotkania autorskie. Dotychczas gośćmi byli artyści i autorzy książek poświęconych polskiej piosence, m.in. Muniek Staszczuk, Maria Szabłowska i Krzysztof Krawczyk, Marcin Szczygielski i Alibabki, Izabela Skrybant-Dziewiątkowska.

W Muzeum odbywają się także interaktywne lekcje i warsztaty nawiązujące do podstawy programowej przedszkoli i szkół. Niebanalna forma zajęć pobudza kreatywność, dając przy tym dużą dawkę wiedzy z zakresu polskiej piosenki, również w aspekcie historycznym, społecznym i kulturowym.





Dr Małgorzata Bonikowska

*Prezes Centrum Stosunków Międzynarodowych, partner zarządzający w ośrodku ThinkTank*

## Po drugiej stronie lustra

**O**kresy przejściowe są trudne, pełne rozterek i niepokojów. Świat, który znamy, powoli odchodzi, ale wciąż w nim tkwimy, działamy po staremu. Nowa epoka niby jest odczuwalna, lecz nadal jej nie ma i właściwie trudno ją sobie wyobrazić. Większość z nas urodziła się i wykształciła jeszcze w XX w., a działamy już w następnym, nie bardzo wiedząc, co ten XXI w. oznacza. Przeszliśmy nie tylko do nowego stulecia, lecz także do nowego tysiąclecia. Z tej okazji w Watykanie wykonano nawet specjalne drzwi. Doprawdy nie każde pokolenie ma takie historyczne szczęście. I nie każde doświadcza tak dużych zmian.

Parafrazując Sławomira Mrożka: przyszłość to dziś, tyle że jutro. Często jednak „dziś” staje się już odległe, przynajmniej z perspektywy najmłodszych pokoleń. Trzylatki przeciągają palcem po telewizorach, spodziewając się dotykowego ekranu, lub usiłują przesunąć obrazki w gazecie. Ciekawe, co myślą o tych reliktach. Gdy dorosną, będą pracować w zawodach, których jeszcze nie

podobno 10 mld), ludzie kochają się i kłócą jak tysiące lat temu. Kobiety nadal karmią piersią, a niemowlaki są niesamodzielne, z mozołem opalowują sztukę chodzenia i mówienia. Lubimy jeść smaczne dania i popijać dobre trunki, umawiać się na randki i być z kimś blisko. Ludzkość pozostaje taka sama, chociaż wszystko jest inne. Przyszłość więc jest także przeszłością. Odkryli to już dawno Hindusi – w ich języku słowo *kal* oznacza zarówno „wczoraj”, jak i „jutro”.

Będąc między „przestarzałym” a „innowacyjnym”, tkwimy ciągle głęboko w naszym człowieczeństwie. Okazuje się bowiem, że ono się świetnie adaptuje. Równie dobrze przeżywa rewolucje, jak i ewolucje, ucząc się nowych rzeczy bez rezygnowania ze starych. Poszerzamy skalę możliwości – jak sportowiec, który dzięki treningowi zwiększa kondycję i odporność organizmu. A jednocześnie utrwalamy podstawowe ludzkie potrzeby, od stuleci niezmiennie. Jeśli chcemy coś komuś przekazać, piszemy – długopisem, palcem lub na klawiaturze; jeśli chcemy się

Będąc między „przestarzałym” a „innowacyjnym”, tkwimy ciągle głęboko w naszym człowieczeństwie. Okazuje się bowiem, że ono się świetnie adaptuje. Równie dobrze przeżywa rewolucje, jak i ewolucje, ucząc się nowych rzeczy bez rezygnowania ze starych.

znamy. Intuicja podpowiada, że zostaną zapewne jakoś powiązane z Internetem, robotami i sztuczną inteligencją. Znikną natomiast niektóre popularne dziś zawody, jak kierowca czy sekretarka. Inne zaś rozszerzą wachlarz swoich świadczeń. Psychologowie będą analizować skomplikowane relacje między człowiekiem i maszyną, a nauczyciele – uczyć abstrakcyjnego myślenia i opiekuńczości.

A jednocześnie przecież zasadniczo nic się nie zmienia. Dzieci się rodzą (w 2050 r. ma być nas

czegoś dowiedzieć, czytamy – obrazki, książki, e-booki. Ważne jest bowiem nie to, jak coś robimy, lecz dlaczego.

Życie w okresie przejściowym między epokami jest ciekawe. Pozwala dotknąć przyszłości, daje inspirację. Wyzwala energię, która może nas przenieść do krainy czarów, na drugą stronę lustra. Przyszłość jednak nie zmieni tego, że zawsze będziemy chcieli się w owym lustrze przejrzeć i zobaczyć swoją twarz.

© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM



## 4 grudnia

W **Warszawskim Domu Technika NOT** odbyło się spotkanie wigilijne Klubu „Teraz Polska” z udziałem laureatów Godła „Teraz Polska”, współpracowników i przyjaciół Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego.

© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM



## 6 grudnia

W gościnnych murach Szkoły Głównej Handlowej w **Warszawie** już po raz 11. nagrodzono najlepsze prace magisterskie dotyczące promocji i innowacyjności Polski. Podczas Gali „Teraz Polska Promocja i Rozwój” oprócz głównych nagród konkursowych i wyróżnień wręczono nagrody specjalne: ministra rozwoju i finansów, ministra sportu i turystyki, ministra rolnictwa i rozwoju wsi, ministra kultury i dziedzictwa narodowego oraz Instytutu Adama Mickiewicza. Po raz pierwszy w historii konkursu wręczono nagrodę ufundowaną przez prezesa zarządu Telewizji Polskiej SA. W ciągu 11 edycji konkursu zgłoszono 732 prace magisterskie, wyłoniono 124 laureatów z 36 uczelni z całego kraju.

© KAMIL BROSZKO/BROSZKO.COM



## 6 grudnia

Fundacja „Teraz Polska” we współpracy z Katedrą Innowacyjnego Miasta Szkoły Głównej Handlowej zorganizowała konferencję „Innowacyjne miasto”, z udziałem prof. Marka Rockiego, rektora SGH, i prof. Marka Bryxa, kierownika Katedry. W gronie naukowców, przedsiębiorców, innowatorów, polityków, działaczy społecznych i studentów zastanawiano się, jakie będą miasta przyszłości, a także rozmawiano o konkretnych rozwiązaniach wspierających innowacyjne miasta. Firma Altix, będąca laureatem Godła „Teraz Polska”, zaprezentowała najnowsze rozwiązania technologiczne w obrazowaniu przestrzeni miejskiej dla osób niewidomych i niedowidzących.

© PRACODAWCY RP



## 13 stycznia

Podczas uroczystej gali Pracodawcy RP przyznali Wektory 2017 tym Polakom i instytucjom, którzy w ubiegłym roku osiągnęli szczególnie znaczące sukcesy lub przyczynili się do rozwoju polskiej gospodarki. Laureatem Super Wektora 2017 został premier Mateusz Morawiecki.

© KRAKOWSKI TEATR KOMEDIA



## 22 stycznia

Krakowski Teatr Komedia, laureat Godła „Teraz Polska”, stworzył program „100 lat radości z niepodległości”, którego zamysłem jest stukrotnie wystawienie pięciu spektakli autorstwa Jana Jakuba Należytego, założyciela Krakowskiego Teatru Komedia, aktora, piosenkarza, satyryka, twórcy sztuk teatralnych. Przedstawienia będą prezentowane od maja 2018 r. w Polsce i na świecie w niecodziennych dla teatru miejscach. Projekt został wpisany do Programu Wieloletniego „Niepodległa” Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Teatr zaprasza wszystkich do współtworzenia obchodów setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości i przyjęcia tytułu Mecenasa Programu. Więcej informacji: [Krakowski-teatr-komedia.pl](http://Krakowski-teatr-komedia.pl).





© MAGAZYN GOSPODARCZY „NOWY PRZEMYSŁ”

## 25 stycznia

**W Warszawie** odbyło się Forum Zmieniamy Polski Przemysł, podczas którego redakcja Magazynu Gospodarczego „Nowy Przemysł” i portalu Wnp.pl już po raz 18. nadała honorowe tytuły „Tego, który zmienia polski przemysł”. Wśród nagrodzonych znalazły się m.in. firmy Budimex, Asseco Poland, Solaris Bus and Coach, Grupa Enea.



© BUSINESS CENTRE CLUB

## 27 stycznia

**W Teatrze Wielkim w Warszawie** Business Centre Club wyróżnił 10 firm tytułem Lidera Polskiego Biznesu. Nagrodami specjalnymi uhonorowano Wernera Hoyera, prezesa Europejskiego Banku Inwestycyjnego, za wspieranie polskiej gospodarki, a także prof. Normana Daviesa – za wskazywanie Polakom drogowskazów na przyszłość poprzez badanie historycznych sukcesów i porażek Polski.



© ARCHIWUM KRZYSZTOFA PRZYBYŁA

## 30 stycznia

**W Poznaniu** rozpoczęły się targi budowlane Budma 2018, organizowane przez Międzynarodowe Targi Poznańskie, partnera Konkursu „Teraz Polska”. Wzięło w nich udział wielu laureatów Godła „Teraz Polska”, m.in. firmy Blachy Pruszyński i FAKRO.



© BAL PRZYJACIÓŁ WARSZAWY

## 3 lutego

**W Hotelu Sofitel Victoria** po raz 14. odbył się charytatywny Bal Przyjaciół Warszawy, podczas którego zbierano środki na stypendia językowe dla dzieci wskazanych przez Wydział Oświaty i Wychowania m.st. Warszawy, a także na fizjoterapię małych dzieci z wrodzonymi chorobami układu oddechowego.



© GAZETA POLSKA

## 6 lutego

**W Teatrze Wielkim w Warszawie** odbyła się Gala Strefy Wolnego Słowa, podczas której wręczono nagrody św. Grzegorza I Wielkiego i Człowieka Roku Klubów „Gazety Polskiej” oraz nagrodę 25-lecia „Gazety Polskiej”.



## 9 lutego

**W Miami na Florydzie** rozpoczął się Kongres 60 Milionów – Globalny Zjazd Polonii. Ideą leżącą u podstaw kongresu jest integracja polskich środowisk biznesowych skupionych w kraju oraz poza jego granicami. Nazwa wydarzenia wiąże się z ogólną liczbą żyjących na świecie Polaków.

## A circular collage of 20 small images illustrating various activities and events, including conferences, outdoor gatherings, and social interactions. An orange circle in the bottom right corner contains the text "fitness dla umysłu".

dołącz do nas!

[www.twitter.com/THINKTANK.PL](http://www.twitter.com/THINKTANK.PL)





Poczta Polska



ZAUFANA  
BLISKA  
BEZPIECZNA

# PYEONGCHANG2018



Kolekcjonuj znaczki i kartki pocztowe w prosty i wygodny sposób!  
Zamów abonament filatelistyczny w najbliższej placówce  
pocztowej bądź za pośrednictwem strony internetowej:  
[www.filatelistyka.poczta-polska.pl](http://www.filatelistyka.poczta-polska.pl)